

HARLEQUIN *Orchidea*™

## Kate Welsh Nareszcie w domu!



Niespodziewane spotkanie kompletnie zaskoczyło zarówno Abby Hopewell, jak i Colina McCarthy'ego. Po raz ostatni widzieli się dziewięć lat temu, kiedy to, zakochani w sobie bez pamięci, spędzili upojną noc. Zaraz po tym Colin wyjechał, i to bez pożegnania. Abby długo nie potrafiła tego przeboleć, jednak dramatyczne wydarzenia rodzinne sprawiły, że nie rozpamiętywała miłostnego zawodu. Na widok Colina dawne emocje odżyły; Abby zrozumiała, że wciąż nie jest jej obojętny. Wkrótce dowiedziała się, że wtedy, przed laty, stali się ofiarami podłej intrygi...

HARLEQUIN™

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

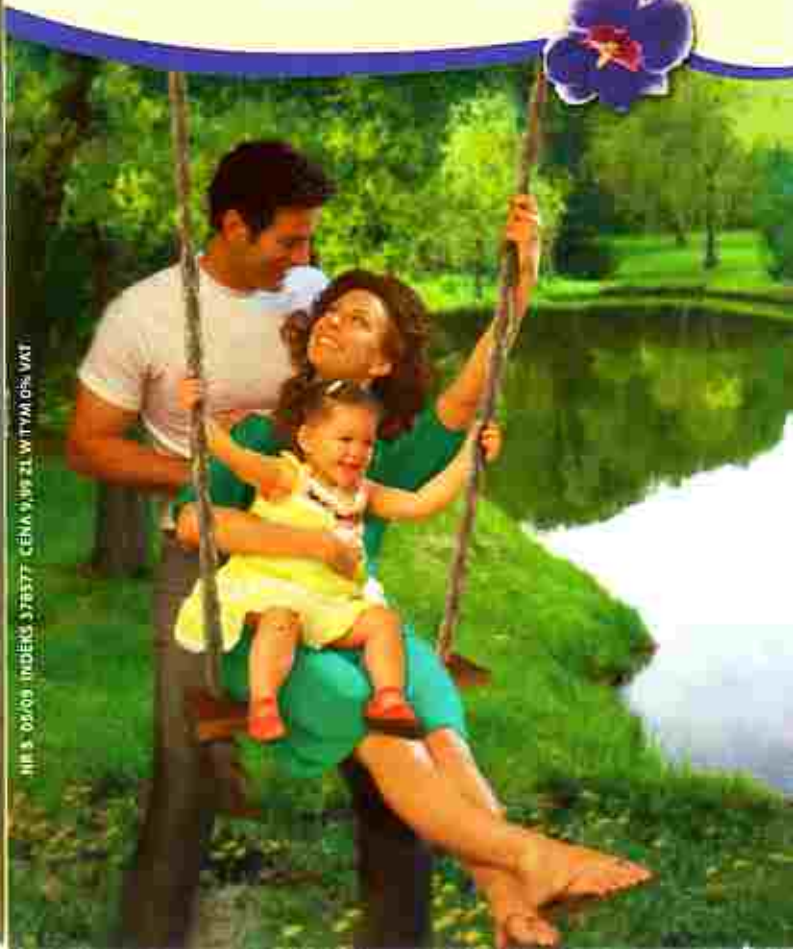
ISSN 978-83-238-6087-7  
ISSN 1509-6122



Cena 9,99 zł

HARLEQUIN *Orchidea*™

## Kate Welsh Nareszcie w domu!



HLE 8-06/09 INDEKS 378377 CENA 9,99 zł W TYM 0,95 zł VAT



***Kate Welsh***



***Nareszcie w  
domu!***

---

Tytuł oryginału: For Jessie's Sake

# Rozdział 1

---

Świat Abby Hopewell zatrzęsł się w posadach, gdy dotarło do niej, że Colin McCarthy powrócił do Hopetown.

Stał teraz przed nią w rześście oświetlonym foyer „Cliff Walk”, a z jego przemoczonego ubrania woda lała się na wyfroterowaną, drewnianą posadzkę. Był równie przystojny jak wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni. Ta sama gęsta, opadająca na czoło kasztanowa grzywa i te same chmurne, niebieskie oczy, spoglądające na nią z nieukrywanym zdziwieniem. Wystarczyła jego obecność, by Abby znowu poczuła skurcz serca i tak jak kiedyś owładnęło ją pragnienie, żeby znaleźć się w jego ramionach.

Zacisnęła jednak pięści. Przecież był to mężczyzna, który został jej pierwszym i jedynym kochankiem, i człowiek, który zaraz po tym zamienił się w potwora o zimnym sercu.

- Abby! - Colin patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, równie poruszony jak ona. Czy jej się zdawało, że zobaczyła w jego twarzy czułość? Zmierzył ją rozpłomienionym, spragnionym wzrokiem, jak wtedy... lecz nagle zacisnął usta, uniósł hardo głowę, a jego oczy stały się lodowate.

- Czy można wiedzieć, co jaśnie panienka Hopewell robi w recepcji taniego hoteliku na tym bezludziu?

Ta nagła odmiana zdumiała ją dokładnie tak samo jak wówczas. Wtedy też nic mu nie zrobiła poza tym, że wyznała mu swoją miłość i

ofiarowała wszystko, co miała, czyli całą siebie. A on tak dotkliwie ją zranił!

Wyniosły ton jego głosu znów ugodził Abby, przypominając najboleśniej w jej życiu.

Tamtej miłosnej nocy, przed laty, wychodząc z sypialni Colina, czuła się naprawdę kochana. Nie była jednak przygotowana na to, że w chwilę później Colin brutalnie ją odprawi i demonstracyjnie podepcze jej uczucia. Wcześniej sądziła, że były one odwzajemniane.

Później całymi latami ćwiczyła w myślach scenę ich ponownego spotkania. Zupełnie niepotrzebnie, bo nagłe pojawienie się Colina kompletnie zbiło ją z tropu. Udało jej się jednak odzyskać spokój - przynajmniej pozorny.

- Przepraszam, ale „Cliff Walk” to bardzo dobry hotel i cieszy się sporym powodzeniem - powiedziała najbardziej lodowatym tonem, na jaki było ją stać. - A ponieważ tak się składa, że jestem jego współwłaścicielką oraz menedżerem - bardzo proszę, aby opuścił pan to miejsce. Żegnam zatem i życzę dobrej nocy.

Hopewellowie nie mieli już, niestety, takich pieniędzy jak przed śmiercią jej ojca i późniejszym procesem, który doprowadził ich na skraj bankructwa. Jednak ich obecna sytuacja finansowa nie przedstawiała się aż tak katastrofalnie, by musiała tolerować obecność tej obmierzłej kreatury pod swoim dachem.

Sięgnęła po plik jadłospisów, które właśnie sortowała, zanim Colin otworzył drzwi. Zaczęła je układać, ignorując obecność niemiłego gościa. Miała nadzieję, że nie zauważył jej drżących rąk.

Nagle rozległ się cieniutki głosik, chwytający za serce:

- Och, tatusiu! Miałam rację. To pałac. A ta pani to Królowna Śnieżka.

Abby podniosła głowę znad papierów i zobaczyła małego, może czteroletniego cherubinka, obejmującego Colina za nogę, pod mokrą od deszczu peleryną. Dziecko oderwało się nagle od ojca i pomknęło przez foyer, by się zatrzymać przed wiktoriańskim biurkiem, za którym siedziała Abby.

Dziewczynka miała kruczoczarne włosy do ramion, podobnie jak Abby, z tą jednak różnicą, że jej włosy wyglądały jakby od tygodnia nie widziały grzebienia. Zaslaniały jasnooliwkową buzię ze śladami rozmazanego jedzenia. Jej oczy były tak ciemne, że niemal czarne, i wpatrywały się w Abby z nabożnym zachwytem. W zmiętym, przemoczonym ubraniu, z sińcem pod lewym okiem, przypominała bardziej chłopca niż dziewczynkę.

Gdyby jej ojciec nie okazał się niegdyś największym draniem, jakiego ta ziemia nosiła, mogłaby być dzieckiem Abby. Zapewne tak samo rozkosznym.

- Czy pani mieszka w tym pałacu? - zapytała córeczka Colina, która najwyraźniej wciąż brała Abby za postać z bajki.

Colin podszedł i opiekuńczym gestem położył jej ręce na ramionach.

- Ta pani tylko prowadzi ten pensjonat, Jessie. A mieszka w wielkim, wspaniałym domu nad rzeką.

- Naprawdę mieszkam tutaj - odpowiedziała Abby małej Jessie, ciesząc się w duchu, że może się sprzeciwić słowom jej ojca. - Dom, o którym mówił twój tata, to „Hopewell Manor”, rezydencja mojej rodziny, oddalona o jakiś kilometr od „Torthuil”. Czyli jesteśmy sąsiadkami.

Mały cherubinek skrzyżował ręce na piersi.

- Tatuś mówi, że torhul - powiedziała starannie - to irlandzkie słowo.

Prawda, tatusiu?

Colin pokiwał głową, wciąż nachylony nad dzieckiem.

Jessie MacCarthy była po prostu urocza. Abby uśmiechnęła się, ale jej serce ścisnęło się na myśli o tym, że skoro jest dziecko, to musi być i matka, czyli żona Colina...

Spojrzała na drzwi. Nikt się nie pojawił.

- „Torthuil” oznacza owocowy raj - odezwała się Jessie do Abby, znów przykuwając jej uwagę.

- Dawniej rzeczywiście było tam mnóstwo owoców

- przyznała Abby. - Kupowałam całe litry truskawek od twoich dziadków. I czarne porzeczki. A czasami, na drogę powrotną, dostawałam dojrzałe jabłko albo brzoskwinie.

- Miała nadzieję, że Colin nie zwrócił uwagi na ten nagły przyływ wspomnień. W tamtych czasach głównym powodem jej długich spacerów na farmę była Tracy i oczywiście on, chęć zobaczenia go, choćby tylko przelotnie.

Przyznała mu się zresztą do tego owej fatalnej, czerwcowej nocy.

- Mnie się tam nie podoba - oświadczyła Jessie. - To straszny dom. Chcę zostać tutaj. Wtedy będę królowną, jak pani.

- Ja naprawdę nie jestem **królowną** - zaprotestowała Abby.

- Inaczej to zapamiętałem - mruknął Colin.

W Abby się zagotowało. Można by pomyśleć, że to ona go wtedy skrzywdziła, a nie odwrotnie. A przecież to on cynicznie ją wykorzystał, a potem odtrącił, i na dodatek zabrał jej Tracy, najlepszą przyjaciółkę.

Rodzice Colina musieli się dowiedzieć, co zaszło tamtej nocy. Pewnie podsłuchali, jak w rozmowie z kolegą, Harleyem Bryantem, kłamał, mówiąc, że mu się narzucała. I to oni zabronili Tracy spotykać się z Abby. Utrata przyjaciółki była dla Tracy ogromnym ciosem. Po przymusowym rozstaniu i pożegnaniu z Abby rzuciła się w wir życia, które zabiło ją w przeciągu kilku miesięcy. Colin nie mógł przyjechać na pogrzeb siostry, tak więc Abby nie miała okazji powiedzieć mu, że to on jest winien jej śmierci.

I oto stał teraz przed nią, a ona mogła mu wreszcie wygarnąć w oczy to wszystko, co o nim myśli, ale nie chciała denerwować tego słodkiego dziecka. A zresztą, po tylu latach wcale nie była pewna, czy chce, aby Colin dowiedział się, przez co musiała przejść po jego wyjeździe. Po co mu dawać satysfakcję?

Colin nachylił się i spojrzał Jessie w oczy.

- Kotku, idź obejrzeć sobie ten pokój - powiedział, wskazując na salon. - Tylko niczego nie dotykaj, dobrze?

- Dobrze. - Mała pomknęła jak strzała. Odprowadziwszy ją wzrokiem, Colin zwrócił się do Abby:

- Gdybym wiedział, że nasz dom popadł w taką ruinę, inaczej bym to wszystko zaplanował.

Abby westchnęła.

- Zanim pojedziecie dalej, chciałam ci powiedzieć, że słyszałam o śmierci twojego ojca. To był dobry człowiek. Bardzo go lubiłam.

Colin pokiwał głową.

- Ja też ci współczuję po twojej stracie. Śmierć mojego ojca jest jednym z powodów, dla których przyjechałem tu, by przejąć „Torthuil”.

Nie mogę jednak zamieszkać tam z dzieckiem. Moglibyśmy, oczywiście, pojechać do miasta, ale... - W tym momencie huknął grzmot i błyskawica rozjaśniła foyer. Jessie krzyknęła przeraźliwie i zawróciwszy, rzuciła się ojcu w ramiona. Colin chwycił ją na ręce i mocno przytulił. - Dobrze już, dobrze, Jessie.

Abby patrzyła na nich przez dłuższą chwilę. Mimowolnie nasunęły jej się wspomnienia zupełnie innego uścisku tych samych ramion. A potem Colin podniósł na nią oczy, więc szybko odwróciła wzrok.

To prawda, że była zirytowana, nie miała jednak serca odesłać go z dzieckiem w taką burzliwą noc. Przy szosie do Hopetown były też inne pensjonaty, ale szwagier dzwonił już do niej z ostrzeżeniem, że warunki na drodze mogą być bardzo niebezpieczne. Spojrzenie Colina mówiło jej, że zdawał sobie z tego sprawę.

Zrezygnowana, poddała się z westchnieniem. Nie wypędza się nikogo, nawet wroga w taką pogodę, a co dopiero małżeństwo z dzieckiem.

- Czy twoja żona jest w samochodzie?

Pytanie Abby zaskoczyło Colina. Wszyscy znajomi w Los Angeles, nie mówiąc już o rodzinie, znali historię jego nieudanego małżeństwa. On i Jessie od tak dawna byli tylko we dwojkę, że zdążył już prawie zapomnieć, iż Jessie kiedykolwiek miała jakąś matkę.

- Nie. Jesteśmy tylko my - Jessie i ja. McCarthy i Córka, prawda, współniczko? - powiedział i uściskał dziewczynkę.

Jessie w jednej chwili zapomniała o strachu i pocałowała go w policzek. A potem uśmiechnęła się od ucha do ucha i spojrzała na Abby.



- Tata i ja jesteśmy współnikami, wszystko robimy razem. Abby patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, po czym skinęła głową.

- Mam pokój z dwoma osobnymi łózkami. Nie wyobrażam sobie, by Jessie chciała być daleko od swojego współnika w taką noc - dodała, uśmiechając się do Jessie.

Colin zmarszczył brwi.

- Gdybyś mogła zaprowadzić nas do pokoju, położyłbym Jessie do łóżka, bo potem muszę iść po rzeczy do samochodu.

- Zostawiłbyś ją samą w pokoju? - Abby pokręciła głową. - Idź teraz, a ja sama jej popilnuję.

Colin zawahał się, a tymczasem Jessie zaczęła się wyrywać, bo chciała porozmawiać z Królową Śnieżką. Abby westchnęła.

- Och, na Boga! Przecież nic jej się ze mną nie stanie. Po namyśle skinął głową.

- Dobrze. To nie potrwa dłużej niż dwie, trzy minuty. - Postawił Jessie na podłodze i wybiegł na dwór. Gdy dotarł na skraj pieczołowicie odrestaurowanej wiktoriańskiej werandy, niebo znów rozdarła błyskawica. Zamrugał. Gotów był przysiąc, że w oddali zamajaczył mu krajobraz Toskanii. Kolejna błyskawica oświetliła na moment równe szpalery winorośli, zanim znów zapadła ciemność.

Co się stało z tym miejscem? - pomyślał zdumiony. Nie ociągając się dłużej, ukrył głowę w ramionach i zanurkował w ścianę deszczu.

Wskoczył do kabiny furgonetki, żeby nie przemoknąć do reszty, i zaczął zbierać potrzebne rzeczy. Wziął podręczny bagaż z tylnego siedzenia, a potem zabawki Jessie i jej ukochanego pluszowego psiaka. Podnosząc go, uśmiechnął się. Nie mogę cię tu zostawić, Hau-hau.

Jessie miała jedenaście miesięcy, kiedy jedna z jego sióstr przysłała tego pluszowego pieska na Gwiazdkę. Jessie zobaczyła go pod choinką i powiedziała „Hau - hau”. Były to jej pierwsze słowa po „Da-da”. Od tamtej pory pies stał się jej nieodłącznym kompanem. Colin nie potrafił powiedzieć, czy stało się tak dlatego, bo Angelina zniknęła w tym samym mniej więcej czasie, czy dlatego, że zabawka była naprawdę ładna.

Z Angeliną ożenił się, kiedy stwierdziła, że jest w ciąży. Miała o to do niego pretensje, uważając ciążę za przeszkodę w swojej karierze aktorskiej. Udało mu się jednak przekonać ją, by urodziła dziecko, apelując do jej katolickiego wychowania.

Pobrali się wyłącznie z przyczyn formalnych oraz dla ubezpieczenia, ale nigdy nie zamieszkali razem jak mąż i żona. Przez pierwszy rok Angelina sporadycznie odwiedzała Jessie, później jednak zdecydowała się definitywnie zerwać wszelkie więzy i powróciła do swojej ojczyzny, Brazylii, gdzie czekał ją status gwiazdy i liczne role w serialach telewizyjnych.

Tak więc Jessie była pod jego wyłączną opieką od dnia, w którym przywiózł ją ze szpitala - i od tamtej pory byli nierozłączni. Śmiejąc się cicho, wepchnął pozostałe zabawki do torby i przypomniał sobie spojrzenia, jakie go powitały, kiedy zjawił się z Jessie na budowie. Przywiózł ją wraz z młodą opiekunką w kabinie pikapa, a tuż obok placu budowy postawił starą, turystyczną przyczepę. Wyglądała dosyć kiepsko, ale wyremontował ją i skanalizował, zamieniając w ruchomy pokój dziecienny.

Cała ekipa stała i patrzyła na niego, jakby postradał zmysły, ale on zabierał Jessie i tę przyczepę do każdego domu, który remontował lub

przebudowywał. Był to jej „dom poza domem” aż do zeszłego tygodnia. A Jessie rzeczywiście stała się jego współpracowniczką. Miała także co najmniej pięćdziesiątkę przyszywanych wujków i ciotek z jego kolejnych ekip.

Nigdy jednak nie miała matki.

Kolejna błyskawica przypomniawszy mu, że pomimo wszystko miała ojca, i pewnie bardzo go teraz potrzebowała. Wepchnąwszy Hau-haua pod pelerynę, Colin zgarnął bagaż - jedną starą torbę sportową i jedną nową walizeczkę na kółkach z obrazkiem Królowej Śnieżki.

Królowa Śnieżka, zżymał się w duchu, biegnąc w stronę werandy. Dokładnie to samo pomyślał na widok Abby w tym dniu, kiedy dokonał odkrycia, że na sąsiedniej farmie mieszka mała dziewczynka. Była wtedy z rodzicami na pikniku nad rzeką. Prąd porwał oponę, na której pływała, i zniósł ją w dół rzeki. Nie wyglądała na przejętą i śmiała się, kiedy wyłowił ją z wody.

Jako podłotek wyładniała i zaczęła być interesującą młodą damą. Wtedy uświadomił sobie, że sympatia, jaką darzył przyjaciółkę swojej młodszej siostry, przerodziła się w coś poważniejszego. Abby była jednak dla niego za młoda, dlatego zaciągnął się do wojska tuż po maturze, w nadziei, że odległość pomoże mu o niej zapomnieć.

Gdyby mógł przewidzieć, że rozłaka, zamiast ugasić płomień w jego sercu, jeszcze bardziej go podsyci, nie przyjechałby na maturę Tracy cztery lata później. Była to zresztą również matura Abby. W swej naiwności sądził, że Abby będzie nadal równie niewinna jak jej bajkowe alter ego. Niestety, mylił się, bo w ciągu kilku lat jego nieobecności mała Abby przemieniła się w wytrawną uwodzicielkę.

W kilku susach przebiegł werandę, wszedł do holu i zamarł. Jessie siedziała na schodach bardzo zadowolona, a Abby rozczesywała jej włosy. Była to jedna z nielicznych spornych kwestii między ojcem a córką: Jessie nie tylko nie zgadzała się na obcięcie włosów, ale i nie pozwalała rozczesywać loków.

- Uporamy się z tym i zaplotę ci warkocz - mówiła Abby do Jessie. - Jeśli zapleciemy włosy na noc, to rano nie będą takie potargane. Trochę pomaga też gładka poduszka. Przyniosę satynową poszewkę i tata oblecze ci poduszkę. W łazience znajdziesz płyn do płukania włosów, po którym staną się bardziej jedwabiste i łatwiej je będzie rozczesać. No, udało się. Teraz możemy je zaplatać - mówiła, a jej palce zręcznie poruszały pasmami włosów Jessie, by już po kilku sekundach założyć gumkę na końcu długiego, lśniącego warkocza. - No, wszystko gotowe - mówiła dalej. - Włosy rozczesane, warkocz zapleciony, buzia i ręce umyte. Teraz musisz już tylko przebrać się w piżamę i wymyć zęby, no i zjeść małe co nieco na dobranoc.

- Więc dostanę coś słodkiego? - rozmarzyła się Jessie. - Czy to na pewno nie jest pałac? Jakie ma pani ciasteczka?

Po myślach, które dopadły Colina w samochodzie, widok Abby Hopewell, zajmującej się tak troskliwie jego córeczką, omal nie ściął go z nóg. Przecież nawet rodzona matka nie okazywała jej takiego uczucia, natomiast Abby zdawało się to przychodzić w sposób naturalny. Jednak wspomnienie tego, jak go niegdyś potraktowała, uświadomiło mu, że powinien trzymać swoje dziecko jak najdalej od Abby Hopewell.

Gdyby nie obawa o bezpieczeństwo Jessie, uciekałby stąd, aż by się za nimi kurzyło.

- Zaraz zobaczymy. Myślę, że Genevieve upiekła kruche ciasto.

Zawsze też mamy mnóstwo mleka - mówiła dalej Abby.

- Jessie jest uczulona na mleko - wtrącił podniesionym głosem.

Jessie zmarszczyła brwi, bo rzadko słyszała u ojca ten surowy ton.

- Och, przepraszam, nie wiedziałam - powiedziała pospiesznie Abby

- ale mamy też mleko sojowe. Lubisz takie mleko?

- Aha. Mogę się napić, tatusiu?

To takie małostkowe z jego strony, ale fakt, że Jessie miała ogromną chętkę na coś słodkiego oraz, o ile się nie mylił, na kilka chwil z Abby, spowodował, że poniosła go zazdrość. To przecież on miał być ideałem Jessie!

- Oczywiście, współniczko - powiedział sztucznie ożywionym tonem. - Ale jest tu jeszcze ktoś, kto strasznie się bał w samochodzie. Założę się, że chciałby teraz, abyś go uściskała. - Wyjął spod peleryny pluszowego psa.

- Hau-hau! - wykrzyknęła Jessie i podbiegła do ojca, uśmiechając się z wdzięcznością.

Abby podniosła się; twarz jej spochmurniała.

- Przyniosę tacę do pokoju. Mam nadzieję, że sami tam traficie. Pokój jest na górze po lewej stronie. Numer dziesięć. - Wręczyła mu klucze, a kiedy ich palce się zetknęły, poczuł ten sam zdradziecki przypływ namiętności, co przed laty. Wzrok, jakim Abby na niego spojrzała, powiedział mu, że i ona to poczuła,

Cofnął rękę jak oparzony, marszcząc brwi. Tylko nie to! Było wiele powodów, dla których tu wrócił, ale nie miały one żadnego związku z Abby.

- Trafimy, bądź spokojna - zapewnił ją. A kiedy już się tam znajdzie, zamknie za sobą drzwi na klucz, odcinając się od Abby oraz wszelkich związanych z nią pokus. - A co do tacy, nie musisz się fatygować. Jessie nie jada nic przed snem, a ty nie masz chyba zwyczaju bawić się w kelnerkę?

Abby uniosła brwi, mrożąc go lodowatym spojrzeniem swych szmaragdowych oczu.

- Prawdę mówiąc, często zdarza mi się serwować posiłki do pokojów. To moja praca. Za kilka minut przyniosę coś dla Jessie. Aha, macie pokój z łazienką, więc Jessie nie będzie musiała gdzieś chodzić w środku nocy.

Odwróciła się i odeszła. Patrząc w ślad za nią, Colin miał szaloną ochotę pokazać jej język. Dobry Boże, pomyślał zdesperowany, przeczesując palcami włosy. Co się z nim dzieje? Odkąd przekroczył ten próg, zachowuje się jak smarkacz. Czemu się na to godzi, by miała na niego taki wpływ?

Bo zawsze miała na ciebie wpływ, baranie, pomyślał, i to właśnie było źródłem wszelkich kłopotów. Nie musiała nawet nic robić.

- Ona nie jest Królewną Śnieżką, wiesz? – powiedziała z przejęciem Jessie. - Tylko jest taka śliczna, nie uważasz, tatusiu?

Colinowi natychmiast przyszło do głowy mnóstwo innych słów, jednak z uwagi na Jessie starał się mówić wyjątkowo spokojnie.

- Pójdziemy teraz na górę i położymy się do łóżka.

Musi znaleźć sposób, by uwolnić się od wspomnień, jakie wciąż budziła w nim Abigail Hopewell.

Lecz czy naprawdę tego pragnął?

## Rozdział 2

---

Abby postawiła na tacy szklanę sojowego mleka o waniliowym smaku i talerz ciasteczek, a potem dodała jeszcze kryształowy wazonik z różą, którą zerwała przed nadciągającą ulewą. Przyjrząwszy się swemu dziełu, pokiwała z uznaniem głową. Chciała, aby ten wieczór był dla Jessie czymś wyjątkowym, ponieważ uważała, że każda mała dziewczynka przynajmniej raz w życiu powinna się poczuć jak prawdziwa królewna.

Przypomniała sobie siebie oraz swoje siostry w tym wieku i uśmiechnęła się. Wciąż pamiętała te magiczne rytuały związane z pójściem do łóżka - przysmaki, bajki, całusy i zabawki. Były rozpieszczane nie tylko przez matkę, ale i przez Hannah Canton, ich oddaną, kochającą nianię.

Jessie tymczasem nie miała nikogo prócz ojca, który nawet nie umiał rozczesać jej włosów.

Mając to wszystko na uwadze, Abby przystanęła przed schowkiem z pościelą. Wyciągnęła z pachnącej lawendą szuflady satynową poszewkę, wsunęła ją pod pachę i pomaszerowała dalej, do końca korytarza.

Przed drzwiami pokoju numer dziesięć zatrzymała się na chwilę. Myśl, że znów stanie oko w oko z Colinem, napawała ją trwogą. Co się z nią dzieje? Przecież powinna poczuć słuszny gniew. Skąd więc te nerwy? Czyżby wciąż była pod jego urokiem, mimo iż potraktował ją tak okrutnie? To bardzo niebezpieczne zauroczenie. Jej miłość nie osłabła nawet po tym, jak ją odtrącił w obecności swojego kolegi. Szczerze mówiąc, spodziewała się, że Colin przyjdzie później do „Hopewell

Manor" z wyjaśnieniem, że specjalnie tak się zachował, by ocalić jej reputację, mając na uwadze długi język Harleya. Kiedy jednak dowiedziała się, że wyjechał przed czasem, pogrzebała swoje głupie, dziewczęce marzenia.

Później próbowała się jeszcze spotykać z dwoma innymi mężczyznami. Pierwszy studiował nauki polityczne na tej samej uczelni co ona, a drugi był hotelarzem, który przed kilku laty zatrzymał się w „Cliff Walk” podczas pierwszego Festiwalu Sztuki Ludowej w Hopetown.

Można powiedzieć, że obaj jej się podobali w pewnym sensie, próbowała więc przekształcić obie znajomości w coś poważniejszego. Niestety, nie potrafiła przełamać oporów przez zbliżeniem fizycznym. Kiedy prosiła o więcej czasu, za każdym razem napotykała brak zrozumienia. Obaj mężczyźni zdawali się lekceważyć jej potrzeby. Koniec końców, postanowiła robić to, co jej zarzucali, czyli traktować wszystkich chłodno i z dystansem. Lęk przed popełnieniem kolejnej pomyłki paraliżował ją do tego stopnia, że przestała ufać samej sobie.

Dostała od życia nauczkę - i to nie raz, ale trzy razy. Po prostu nie była stworzona do romansów. Przekonawszy się, że namiętność to groźne, niszczycielskie uczucie, postanowiła już nigdy więcej nie ryzykować. Od tamtej pory poświęciła się budowaniu spokojnej, bezpiecznej egzystencji.

Nie przejmowała się tym, że ludzie uważali ją za zbyt spokojną i zbyt sterylną. Ani tym, że jej byli kawalerowie nazywali ją Królową Śniegu - nawet jeżeli przezwisko to do niej pasowało. Tak było i wygodniej, i bezpieczniej.



Spojrząwszy w lustro przy drzwiach, stwierdziła z ulgą, że ma na twarzy wyraz chłodnego spokoju. Colin nie może się nigdy dowiedzieć, co poczuła na jego widok. Pewnie by się ucieszył i próbował to wykorzystać.

Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i zapukała. Drzwi się otworzyły, serce załomotało jej w piersi, ale w progu stanęła Jessie.

- Tatuś poszedł się przebrać. Powiedział, że nawet slipki mu przemokły. Czy te ciasteczka są dla mnie?

Abby zamruwała.

- T-tak - powiedziała. - Przyniosłam ci też poszewkę na poduszkę.

Jessie zapiszczała z wdzięczności i zachwytu. Wzięła poszewkę i przytuliła ją do policzka.

- Och, jaka mięciutka i gładka. Abby uśmiechnęła się.

- Właśnie dlatego jest odpowiednia. Włosy będą się po niej ślizgały, więc rano nie będą takie potargane.

Jessie rzuciła się, by ją uściskać. W tym momencie drzwi do łazienki otworzyły się na oścież.

- Jessie, kto to... - zaczął Colin i nagle zastygł w progu, marszcząc brwi.

Abby popatrzyła na niego i dech jej zapało. Był nagi do pasa, z rękawiczkami przerzuconym przez ramię, a górny guzik dzinsów miał rozpięty.

Podszedł do niej kocim krokiem i sięgnął po tacę. Kiedy ich palce się zetknęły, szybko cofnęła rękę, omal nie przewracając przy tym szklanki.

- Prze-przepraszam - wyjąkała. - Mam nadzieję, że będzie ci smakowało, Jessie. Śniadanie jest o dziewiątej. Miłego pobytu w „Cliff Walk”.

Wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Potem oparła czoło o chłodne deski i zaczerpnęła tchu, aby się uspokoić. Powinna wziąć się w garść. Nie może sobie pozwolić na to, by na jego widok wciąż przeżywać wstrząs. Przecież to tylko szczur w ludzkiej skórze. Wprawdzie piękna to skóra, ale szczur zawsze będzie szczurem. Bez względu na to, jaki jest urodziwy.

I bez względu na to, jak działa na jej zmysły.

Zdecydowana walczyć o swój spokój wewnętrzny, zamknęła dom na noc i wycofała się do swojego pokoju w wieży. Kiedyś był to pokój służącej, teraz jednak był jej azylem. Przystanęła na górze w oczekiwaniu na znajome uczucie spokoju, ale zamiast tego niespodziewanie poczuła, jak ogarnia ją przytłaczające poczucie samotności. Każdy ze znajomych kogoś miał, tylko ona była sama jak palec. W chwilach przygnębienia ratunkiem było dla niej to miejsce, a nie osoba bliska jej sercu.

Przypomniała sobie, że tak chciała; tak właśnie miało być. Dlatego zamiast się dalej uzalać nad sobą, zaczęła rozpinać bluzkę, kierując się w stronę szafy. To, że jest teraz taka roztrzęsiona, to wina burzliwej pogody... Albo szoku, jakim był dla niej widok Colina po latach.

A może to wspomnienie uścisku Jessie? Lub przypadkowego dotyku Colina?

Otrząsnąwszy się z jałowych rozmyślań, rozebrała się i założyła trykot, po czym usiadła na macie przed wąskim wiktoriańskim oknem. Po głębokim, oczyszczającym oddechu przybrała pierwszą pozycję i nie zwracając uwagi na grzmoty i błyskawice, zanurzyła się w swoje wnętrze w poszukiwaniu spokoju.

W ciągu następnej godziny wyginała się i rozciągała we wszystkich pozycjach jogi, które już opanowała, zdążyła też wypróbować kilka nowych. A potem, odświeżona pod prysznicem, położyła się do łóżka i wtedy zmuszona była spojrzeć prawdzie w oczy.

Przeszłość nie przestała jej prześladować.

Powiedziała sobie, że choć jej ojciec uważał, iż dzieci powinny zasłużyć sobie na jego miłość, dzieciństwo wspominała jako bardzo miły okres w swoim życiu. Wszystkie jej kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy przed dziewięciu laty, po balu maturalnym, postanowiła przenocować w domu Tracy.

Zgasła właśnie światło w kuchni w „Torthuil”, po tym jak zmyła kilka talerzyków, które zostały po nocnym poczęstunku, kiedy usłyszała głos Colina, dobiegający od strony bocznego wejścia.

Abby, od lat beznadziejnie zakochana w Colinie, miała już dosyć bycia ignorowaną i traktowaną jak mała dziewczynka. Przybrała więc pozę, która wydała jej się uwodzicielska, w nadziei, iż Colin wreszcie ją zauważy i zobaczy, że jest już dorosła.

Zawołała go zmysłowym, aksamitnym tonem i w jej serce wstąpiła nadzieja, gdy zobaczyła, że jest wyraźnie zdenerwowany. Wspięła się więc na palce i podała mu usta do pocałunku.

Trzeba mu to zapisać na plus, że próbował ją ostrzec, gdy oderwał usta od jej ust, bo zabrakło mu tchu, ale było już za późno. Upojona smakiem zwycięstwa, przesunęła ręką po jego muskularnym torsie, powodując u niego wybuch namiętności...

Abby poderwała się z łóżka. Choć burza szalała na zewnątrz jej zacisznego pokoiku w wieży, cała była mokra i zlane potem. Znowu

wróciły wspomnienia, mimo iż przysięgała sobie, że to się więcej nie powtórzy.

A wszystko dlatego, że przyjęła pod swój dach Colina McCarthy'ego...

Colin siedział na fotelu pod oknem i patrzył na Jessie, która słodko spała. Jemu, niestety, nie było dane zaznać tego luksusu. Spotkanie z Abby przywołało wspomnienia szeregu przykrych wydarzeń, które stały się punktem zwrotnym w jego życiu.

A co z jej życiem?

Wydawała się odmieniona. A jednak, kiedy rozmawiała z Jessie, była miła i słodka, jak ta dawna Abby, którą zapamiętał. Bowiem Abby zawsze była uśmiechnięta i miała roześmiane oczy. Kiedy pojawiała się w pobliżu ich domu - a bywała tam często - lubił na nią patrzeć, bo umiała się cieszyć z najprostszych rzeczy.

Dlatego też obecny chłód w jej oczach był dla niego szokiem - niemal tak wielkim, jak jej obecność w przydrożnym pensjonacie. Gdy po raz ostatni widział te oczy, pełne były bólu i łez. Ukrył twarz w dłoniach, próbując zapomnieć, co było ich przyczyną, a także jaką cenę zmuszony był za nie zapłacić już następnego dnia.

Kiedy to nie poskutkowało, zrozumiał, że musi zrobić coś, czego do tej pory unikał, a co było nieuniknione, zanim podjął decyzję o powrocie do Hopetown. Musi ponownie przemyśleć swoją rolę w zamieszaniu, jakie było następstwem tych kilku cudownych chwil z Abby. Spróbował wobec tego przeanalizować na nowo każdy swój krok.

Tamtej nocy wypił prawdopodobnie o jedno piwo za dużo, upoił go też zapach Abby, ale ledwie wytrzeźwiał, konsekwencje tej chwili zapomnienia zwały się na niego jak stutonowy ciężar.

Ogarnęła go panika, równie gwałtowna jak wcześniejsza namiętność. Abby była jeszcze dzieckiem, nieświadomym kłopotów, jakie mogli ściągnąć sobie na głowę. Po pierwsze, nie użył zabezpieczenia, a Abby była dziewicą. Po drugie, oboje mieli jeszcze przed sobą lata nauki. Poniewczasie przypomniał też sobie, że leżą nadzy w łóżku, w jego pokoju, który był tylko zabudowaną werandą, przylegającą do kuchni jego rodzinnego domu!

Kiedy Harley Bryant przyszedł do kuchni, Colin zerwał się z łóżka, naciągnął pospiesznie ubranie i kazał Abby się ubrać, bo wiedział, że Harley ma najdłuższy język w całym mieście. Po przejściu do kuchni starannie zamknął za sobą drzwi, myśląc, że Abby zostanie w jego pokoju. Tymczasem ona po chwili zjawiała się za nim. Harley z miejsca się domyślił, co było grane, więc Colin zaczął energicznie zaprzeczać. Zrobił to jednak wyjątkowo niezręcznie. Bał się, że Abby będzie chciała go objąć, więc zaczął na nią krzyczeć, że jest za młoda na takie rzeczy, a jej umizgi to czyste żarty. A potem zimnym tonem kazał jej wracać do łóżka.

Boże drogi! Zachował się jak skończony cham. Powinien był wymyślić jakiś lepszy sposób na rozładowanie sytuacji, niż okrucieństwo wobec Abby. Próbując ją chronić, zranił ją dotkliwiej niż najgorsze plotki.

Błyskawica rozjaśniła ciemności za oknem ich pokoju. W tym samym momencie huknęły okiennice i szyby zadrżały od grzmotu. Jessie poderwała się z krzykiem.

- Dobrze już, dobrze, kochanie. Tatuś jest przy tobie. -Dopadłszy łóżka, usiadł naprzeciwko córki.

Gdy kolejny grzmot przetoczył się nad ich głowami, Jessie zatkała uszy.

- Straszny hałas. Nie lubię burzy.

Colin wziął ją na kolana i mocno przytulił.

- Nie będziesz się bała, jeżeli zapamiętasz, że grzmot nie może zrobić nikomu krzywdy. To tylko chmury zderzają się ze sobą.

Jessie ziewnęła szeroko.

- Chciałabym, żeby już przestały.

- Ja też - przyznał. - Spróbuj zasnąć. Tatuś zostanie z tobą, dopóki burza nie przejdzie, a jutro pojedziemy dalej, do naszego domu. Obiecuję ci, że ci się tam spodoba. Kiedy wszystko naprawię, pomożesz mi wybrać kolor ścian w pokojach. - Uśmiechnął się w ciemności.

Jessie znowu ziewnęła.

- Brązowy, jak mój czarodziejski kamień. Chcę, żeby dom pasował do mojego czarodziejskiego kamienia.

Po tych słowach zapadła w sen, a Colin z nostalgicznym uśmiechem przypomniawszy sobie czasy, kiedy wierzył, podobnie jak teraz Jessie, że jego tata potrafi sobie ze wszystkim poradzić. Teraz jednak wiedział, jak przed nim jego ojciec, że są problemy, których ani on, ani czarodziejski kamień Jessie nie potrafią rozwiązać.

Ten brunatny skalny odłamek podniósł w dniu, w którym opuszczał „Torthuil”, praktycznie wygnany z miasta przez Jamesa Hopewella. Woził go wszędzie ze sobą, aby przypominał mu utracony dom i motywował do walki o to, by stać się równie możnym i bogatym jak człowiek, który

zmusił go do wyjazdu. Tamtego dnia nie miał wcale pewności, że jeszcze zobaczy rodzinny dom. Kamyk dał Jessie wtedy, kiedy już wiedział, że wrócą do „Torthuil”, do Pensylwanii. Czy przewidział, jakie zmiany czekają na niego i na jego córkę?

Nie pozbył się poczucia winy i pretensji do Abby, nie potrafił się uporać z własną przeszłością. Czy tylko z własną? Ta właśnie świadomość nie pozwalała mu zasnąć tej nocy.

Gdy siedział teraz w „Cliff Walk” z Jessie w ramionach, rozważając ponownie wydarzenia tamtego poranka, nagle, z perspektywy dziewięciu lat, wszystko zaczęło wyglądać zupełnie inaczej. Gniew Jamesa Hopewella także nabrał innego wymiaru. Czy on sam nie byłby gotów na wszystko, by chronić Jessie? Może więc wizyta, jaką Hopewell złożył w „Torthuil” następnego dnia, była usprawiedliwiona? Miał przecież jeszcze dwie młodziutkie córki na wychowaniu, więc to logiczne, że chciał porozmawiać z rodzicami Colina. Także i to, że kazał Colinowi wyjechać z miasta, zakazując dalszych kontaktów z Abby, miało sens. To jeszcze można było Hopewellowi wybaczyć, lecz dalsze jego postępowanie było niewybaczalne i do dziś trudne do wytłumaczenia.

Zagroził McCarthym, że dopilnuje, by lokalny bank zajął im hipotekę, jeśli Colin nie przystanie na jego żądania. A ponieważ byli nieco spóźnieni ze spłatą pożyczki, a Hopewell miał wystarczająco mocną pozycję, groźba wydawała się całkiem realna. Gdyby się jeszcze okazało, że Abby jest w ciąży, nic nie zdołaloby ocalić jego rodziny przed gniewem jej ojca.

Nieco później, jeszcze tego samego lata, Hopewell przekroczył wszelkie granice okrucieństwa. Po śmierci Tracy zabronił Colinowi przyjechać do Hopetown na jej pogrzeb.

Byli jednak tacy, którzy twierdzili, że Hopewell wyświadczył mu przysługę, a Colin, chcąc nie chcąc, musiał im przyznać rację. Hopewell obudził w nim taką nienawiść, że harował odtąd jak wół, by odnieść w życiu sukces. Niestety, Abby go zdradziła, wyznając swojemu ojcu, co się stało.

Z początku nie wierzył, że poszła do ojca i powiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło między nimi. Hopewell powiedział mu jednak, że natknął się na Abby tamtego ranka. Mówił, że płakała, więc próbował ją pocieszyć, a potem wyciągnął z niej całą prawdę. No cóż, była wtedy taka młoda i naiwna. Czy mógł ją o to winić?

Nadal pozostawało jednak głębokie przekonanie, że Abby miała swój udział w śmierci jego siostry. Bo w jakim to inny sposób Tracy mogłaby poznać tego bogatego bubka, który zasiadł po pijanemu za kierownicą motorówki w dniu, w którym zginęła, jeśli nie przez Abby? Niewątpliwie musiał należeć do tego uprzywilejowanego towarzystwa, w którym obracali się Hopewellowie.

Teraz James Hopewell już nie żył, a to stawiało Colina w obliczu poważnego dylematu. Gniew na Hopewella za to, jak go potraktował, to jedno, ale co ma począć ze swoim namiętym uczuciem do córki tego człowieka?



## Rozdział 3

---

Abby wyjrzała z kuchni do jadalni „Cliff Walk”. Kucharka Genevieve Richards przygotowała zamówione menu już poprzedniego wieczora i teraz wszyscy goście siedzieli przy śniadaniu. Wszyscy, oprócz Colina i jego uroczej córeczki. Ich przyjazd do tego stopnia wytrącił Abby z równowagi, że zapomniała ich poprosić, by wybrali sobie zestaw śniadaniowy. Skutkiem tego Genevieve nawet nie wiedziała, że nocowali w pensjonacie.

- Wszystko gotowe, Abby - odezwała się Genevieve tuż obok. Abby podskoczyła i omal nie wytrąciła jej tacy z rąk.

- Boże, Genevieve - wyjąkała. - Dlaczego tak się skradasz?

Genevieve spojrzała na swoje obfite kształty i roześmiała się dobrodusznie.

- Jestem za ciężka, żeby się skradać, a ty dobrze o tym wiesz.

- To co robiłaś tuż pod moim bokiem? - zapytała Abby.

Lubiła swoją pulchną kucharkę, która zawsze żartowała ze swojej tuszy oraz nieposkromionego apetytu.

- Szłam do jadalni, żeby zanieść ostanie śniadanie. A ty stanęłaś mi na drodze - cierpliwie tłumaczyła Genevieve.

- Przepraszam, byłam zamyślona.

- Pewnie cię interesuje ten przystojniak w rogu? Dlaczego nie rozmawiasz z nim i z innymi gośćmi, jak to zwykle robisz?

- Interesuje? Mnie? Nie bądź niemądra. Nienawidzę tego człowieka.

Nie zamierzała tłumaczyć się z tego, że zaniedbała gości. Pod przenikliwym spojrzeniem Genevieve czuła się jak robak pod mikroskopem.

- Jeśli kobieta nienawidzi mężczyzny, który tak wygląda i tak kocha swoje dziecko, to powinna przebadać sobie głowę. Myślę, że to skakanie wokół obcych ludzi padło ci na mózg, dziewczyno. A teraz zejdz mi z drogi. Mam coś lepszego do roboty, niż stać i patrzeć, jak marnujesz sobie życie.

- Wcale nie marnuję sobie życia - zaprotestowała Abby. - Prowadzę życie pracowite i urozmaicone. Poza tym, co tu jeszcze masz do roboty, skoro podałaś już wszystkim śniadanie?

- Muszę przygotować obiad. Wszyscy goście zdecydowali się przedłużyć pobyt i zostać na obiedzie. Zamierzam podać dania włoskie, więc muszę się wziąć za robienie świeżego makaronu.

- Jak to? - zdumiała się Abby. - Nawet Colin i jego córeczka zostają?

- Tak. Nawet oni. Radzę ci, zacznij się przyzwyczajać do jego obecności. - Genevieve uśmiechnęła się znacząco.

Abby spochmurniała.

- Myślałam, że dziś wyjeżdża. Wie, że nie jest tu mile widziany. A poza tym myślę, że sam też nie chce zostać dłużej.

- Odkąd to postanowiłaś zniechęcać gości do dalszego pobytu? Przecież to najładniejszy pensjonat w okolicy. - Przyjrzała się uważniej Abby. - Czy mi się dobrze wydaje, że coś się za tym kryje?

- Colin McCarthy to gad. I niech tak zostanie.

Genevieve nie mieszkała zbyt długo w tych stronach. Jediną osobą z rodziny McCarthy, którą poznała, była Erin. Najmłodsza siostra Colina

zatrzymała się w „Cliff Walk” tej wiosny, gdy odwiedzała swoje rodzinne strony, wracając z uczelni. Abby zaczęła się modlić, by Genevieve przestała ją wypytywać. Gniew, jaki budził w niej Colin, był uczuciem zbyt intymnym, by o nim z kimkolwiek rozmawiać.

Pchnąwszy drzwi, spojrzała wymownie na Genevieve.

- Jajecznicza tej małej dziewczynki wystygnie - powiedziała, wchodząc do jadalni i przytrzymując drzwi Genevieve.

Sądziła że jest przygotowana na spotkanie z Colinem. Jednak gdy usłyszała, jak swoim głębokim barytonem mówi do Jessie, nieomal poczuła, że nogi się pod nią uginają. Przypomniała sobie ten sam głos droczący się z nią rozkosznie i szepczący jej komplementy, by w chwilę później zasypać ją gradem okrutnych słów.

Gdy Genevieve postawiła talerz przed Jessie, Abby zdołała tylko powiedzieć:

- Smacznego, kochanie. - A potem odwróciła się i szybko przeszła na drugi koniec jadalni, żeby być jak najdalej od Colina. - Czy ktoś z państwa ma już jakieś plany na ten dzień? - zapytała i niemal odetchnęła z ulgą, gdy starszy mężczyzna, pan Kane, pokiwał głową.

- Chcieliśmy pojechać do miasta - powiedział. - Czy droga jest już przejezdna?

Abby potrząsnęła głową.

- Przed chwilą dzwoniłam na policję. Osuwisko skalne powinno zostać uprzątnięte do trzeciej po południu, ale nie wcześniej. Mogą państwo jednak pojechać inną drogą. - Podała im alternatywną trasę przez stan New Jersey oraz miasto leżące dokładnie naprzeciwko Hopetown, na drugim brzegu rzeki. - Most jest otwarty, więc będziecie państwo mogli

przejechać z powrotem do Pensylwanii i do samego centrum Hopetown. Może to się wydać dziwne, ale ta droga jest znacznie szybsza, choć nie tak malownicza.

Po tych słowach wycofała się do biura, zadowolona, że udało jej się omijać wzrokiem Colina. Wzięła plik broszurek wraz z mapką przedstawiającą tę drugą trasę do Hopetown i wróciła do gości.

Niestety, gdy wkroczyła z powrotem do jadalni, Colin właśnie coś głośno mówił, więc bezwiednie skierowała wzrok w tamtą stronę. W tym samym momencie Colin uniósł głowę i ich oczy się spotkały. Przerwał w połowie zdania i przez chwilę patrzyli na siebie, a potem zamrugał powiekami i znów zwrócił się do pana Kane'a, by dokończyć swoją wypowiedź.

Abby dała starszemu panu plik broszurek z prośbą; by rozdał je wszystkim chętnym. Na szczęście pan Kane siedział daleko od Colina i Jessie, więc nie musiała do nich podchodzić. Jessie zajęta była jedzeniem, ale Colin znów spojrzał w jej stronę i ich oczy spotkały się po raz drugi.

- Ślicznie pani dziś wygląda. Zupełnie jak księżniczka -odezwała się Jessie znad swojej jajecznicy.

Abby otrząsnęła się i spojrzała z uśmiechem na dziewczynkę, wdzięczna za ten komplement. Był on dla niej miłym zaskoczeniem, ponieważ zwykła się ubierać dosyć jednostajnie i tradycyjnie. Jej najstarsza siostra, Caroline, znana elegantka, zarzucała jej, że w fałdzistych spódnicach i staroświeckich bluzkach z falbankami wygląda jak matrona. Caroline może sobie mówić, co chce, ale ona dobrze się w nich czuje. Poza tym nie czuje się wcale księżniczką. Skoro uważano ją za

Królową Śniegu, nigdy więcej nie zaryzykuje cieplejszego uczucia w swym sercu.

- Tak, brakuje jej tylko korony - dorzucił gładko Colin. Wokół rozległy się przytłumione śmiechy, a w oczach gości pojawiły się domyślne błyski. Abby, w przeciwieństwie do nich, nie zamierzała potraktować jego uwagi jako zachęty do flirtu. Podejrzewała, że miał to być zawołany przytyk do jej uprzywilejowanego pochodzenia.

Zresztą od lat nikt nie próbował się do niej zalecać, a jej to odpowiadało.

Jeżeli z jakichś sobie znanych przyczyn Colin próbował ją teraz podrywać, był to przecież tylko Colin McCarthy, więc ten fakt nic nie znaczy. Absolutnie nic!

Rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu. Nie pozwoli Colinowi na to, by zakłócił jej spokojną egzystencję lub dał powód do podejrzeń i plotek.

- Dziękuję, Jessie. A teraz państwo wybaczą, ale wzywają mnie codzienne obowiązki - powiedziała. Odwróciła się i z uniesioną głową wycofała się do swojego biura.

Mózg Colina pracował na najwyższych obrotach. Jakie to obowiązki? Słanie łóżek i odkurzanie? Co się stało z tą bogatą tatusiną córeczką, którą znał przed laty?

Potrząsając głową, pomyślał, że nie powinno go to zupełnie obchodzić.

Spojrzał na swoje napoczęte śniadanie, ale był zbyt zdenerwowany, by dokończyć. Przez cały posiłek, zamiast jeść, wodził wzrokiem za Abby, która gawędziła z innymi gośćmi. Wnioski z tej obserwacji okazały się

przykre: nadal był tak samo zauroczony Abby Hopewell, jak przed laty, i to właściwie wbrew własnej woli. Szczerze mówiąc, nie był z tego zadowolony. Poczł się jak skończony głupiec.

Rezygnując ze śniadania, zagonił Jessie do samochodu. Zapiął pasy, a po chwili wyjął ze schowka buteleczkę pastylek na zgagę i połknął całą garść, obwiniając o nowy atak bólów żołądka oczywiście Abby.

Potem spojrział na wiktoriańską rezydencję, której nie miał jeszcze okazji obejrzeć w dziennym świetle. Musiał przyznać, że była doskonała pod każdym względem.

Każdy detal został pieczołowicie odrestaurowany i nawet meble na werandzie pochodziły z epoki.

Wszystko to oznaczało, że Abby była prawdopodobnie jedyną kobietą zdolną zrozumieć jego pasję, jaką było odrestaurowywanie zabytków, oraz obsesyjną wręcz wierność historyczną.

Nagle Jessie wydała przenikliwy pisk i zaczęła podskakiwać.

- Popatrz na te krzaki, tatusiu. Nie wiesz, co jest w tych domkach?

- Zauważyłem je wczoraj wieczorem. Ktoś z gości przy śniadaniu wspomniał, że chciałby zwiedzić winnicę Hopewellów. A te krzaki to winorośl.

- Jak tam ładnie, chociaż te domki nie są takie piękne jak zamek Abby.

- Ten dom nazywa się „Cliff Walk”, a nie „Zamek Abby” - powiedział Colin do córeczki, której oczy lśniły jak gwiazdy.

- Ja wiem, że to jest jej zamek. Ona nawet mieszka w wieży, jak królowna. A tamte domki to pewnie jej miasto - paplała podekscytowana Jessie.

Colin spojrział na dom i zauważył, że Abby przygląda im się przez okno, a na jej twarzy maluje się bezbrzeżny smutek

- Dowiem się, o co tu chodzi - powiedział, mając na myśli zupełnie co innego niż Jessie.

- One wyglądają jak nasz stary dom, ale inaczej - ciągnęła dalej Jessie.

Colin otrząsnął się i oprzytomniał. Ich dom w południowej Kalifornii miał cechy stylu hiszpańskiego, jak wiele innych w tamtych stronach. Ten zaś był nieco inny, wyraźnie było widać wpływy toskańskie.

- To styl włoski. Przypomina mi wioskę, którą odwiedziłem we Włoszech, kiedy byłem w wojsku. Pani Hopewell stamtąd pochodzi.

Gładkie czoło dziewczynki przecięła raptem głęboka zmarszczka.

- Tu jest tylu nowych ludzi. Kto to jest pani Hopewell, tatusiu?

Colin uśmiechnął się.

- Mama Abby. Jedźmy teraz pozwiedzać, zanim pojedziemy do domu.

- Czy po przyjeździe do „Torthuil” będę musiała siedzieć sama w salonie i na werandzie?

- Będzie tak samo jak zawsze, kiedy zaczynam pracować w nowym domu. Dopóki wszystkiego nie obejrzę i nie sprawdzę, gdzie jest bezpiecznie, będzie ci wolno wchodzić tylko do tych pokoi, które zostały sprawdzone.

- Przecież nie zabraliśmy przyczepy. Mówiłeś, że tym razem...

- Ale się myliłem, współpracowniku. Tatusiowie też mogą się mylić. - Tak było istotnie, zważywszy na to, w którym domu się zatrzymali, a także w jakim stanie był jego własny dom.

- Nie było mnie tu przez wiele lat - ciągnął dalej, gdy podjeżdżali do wioski Hopewellów, która wyglądała jak wyjęta ze stronic przewodnika po Toskanii. - Myślałem, że w „Torthuil” jest tak samo, jak przed moim wyjazdem.

Jessie westchnęła rozdzierająco.

- No to jedźmy już zwiedzać. To lepsze niż nudzić się w „Torthuil”. Czemu babcia nie naprawiła dachu, kiedy się zepsuł?

- Od lat nikt tu nie mieszka. Farma babci na Florydzie nie przynosi takich zysków, żeby babcia mogła się tam utrzymać i jeszcze dbać o dom, w którym już nie mieszka. Nikt, kto widział ten dom, nie powiedział mi, w jakim okropnym stanie jest dach, bo byłbym go przecież naprawił. Szkoda, bo...

- Zobacz, jaki duży pies! - zapiszczała mu Jessie do ucha.

- Czy on nie jest śliczny?

Duży? Psisko było po prostu ogromne. Odkąd to Hopewellowie mieli psa? I to jeszcze takiego wielkiego? Jak widać, świat się zmienia.

- Jesteś pewna, że to pies, kotku? Bo mnie przypomina on raczej konia.

Jessie zachichotała i wyciągnęła szyję, żeby jak najlepiej widzieć zbliżającego się psiego olbrzyma. Colin zatrzymał się na parkingu dla gości, a potem wypiął Jessie z krzeselka i posadził ją sobie na kolanach. Jessie zwykła przy takich okazjach chwycić za kierownicę i udawać, że prowadzi. Teraz jednak całą jej uwagę pochłonął pies, który skakał za piłeczką rzucaną przez jasnowłosego chłopca.

Choć zwierzę było przyjaźnie usposobione, Colin zaczął się obawiać, że olbrzym mógłby przewrócić Jessie. Niepotrzebnie się jednak martwił,



bo pies podbiegł do niego i wyciągnął się u jego stóp brzuchem do góry. Chłopiec nadszedł tuż za nim i zaczął go drapać po brzuchu.

- Mogę go pogłaskać? - Jessie spojrzała błagalnie na Colina.

- Pewnie, że możesz - powiedział chłopiec. - Możesz go też użyć jako poduszki. Ja tak robię.

Colin ostrożnie opuścił Jessie na ziemię. Nie miał się czego obawiać, bo pies wywiesił tylko język i zaczął głośniej dyszeć, kiedy Jessie niezbyt delikatnie podrapała go po brzuchu. A potem zaczął skomleć z radości.

Jessie zachichotała.

- Jaki on śmieszny.

- Mój tata mówi, że to pies z charakterem - powiedział chłopiec. - Dostałem go od wujka Nicka, kiedy przywieźli moją małą kuzynkę ze szpitala do „Hopewell Manor”.

- O ile pamiętam, to wujek Nick kupił go dla twojej kuzynki - odezwał się z tyłu damski głos. - Na twoje szczęście, bo Grzmot okazał się trochę za duży dla takiego maleństwa.

- Nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym psom będzie wolno przekroczyć próg „Hopewell Manor” - rzucił Colin jakby od niechcienia, patrząc na Julianę Hopewell, która wyłoniła się z pobliskiego budynku i zaczęła mu się przyglądać, mrużąc oczy. Spodziewał się oznak wrogości, kiedy go rozpozna, tymczasem jej zielone oczy zaśmiały radością.

- Colin McCarthy? Mój Boże, jesteś taki podobny do Tracy. A Grzmot jest tu tylko z wizytą. To jest Jamie, syn Caroline. Mieszkają w domu wybudowanym na tyłach winnicy. Pies został kupiony dla dziecka Samantha. Nikki ważyła niespełna dwa i pół kilo, kiedy przywieźliśmy ją do domu, a jej tata oszalał z radości. - Zaśmiała się cicho. - A co u ciebie

słysząc, Colin? Poza tym, że masz małą córeczkę? I co tu robisz po tylu latach?

Colin pomyślał, że James Hopewell najwyraźniej nie powiedział żonie, co zaszło między nim i Abby. Czyli Juliana nie miała nic wspólnego z nikczemnym postępowaniem męża. Poza tym, z tego co słyszał, sama także doświadczyła jego okrucieństwa.

- Wróciłem do „Torthuil”, ale zastałem dom w znacznie gorszym stanie, niż sądziłem.. Dlatego zatrzymaliśmy się na razie z Jessie w „Cliff Walk”. Przyjechaliśmy wczoraj w nocy, w samym środku burzy. Było ciemno, więc nie widziałem tego wszystkiego. - Machnął ręką w stronę repliki toskańskiego ryneczku otoczonego czterema budynkami. Tworzyły one cztery boki pięciokąta, piąty bok był otwarty, odsłaniając widok na winnicę, opadającą łagodnymi tarasami w kierunku nadbrzeżnych skał.

- Założyłam tę winnicę z dziewczynkami po śmierci ojca. Ten budynek mieści biura. A w tamtym - wskazała na lewo - mamy sklep, probiernię oraz część urzędzeń. Pod nami znajdują się wykute w skale piwnice. Pozostałe dwa budynki, te na drugim końcu dziedzińca, to „Bella Villa”, centrum bankietowe z trzema salami.

- Nic o tym nie słyszałem. Zdumiałem się też, widząc Abby w biurze „Cliff Walk”.

- Och - westchnęła pani Hopewell - muszę zajrzeć do niej i sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Śmierć Tracy kompletnie ją załamała, chociaż tamtego lata całkiem się od siebie oddaliły. Na twój widok musiały się w niej obudzić wspomnienia. Dla ciebie to pierwszy przyjazd w rodzinne strony od tamtego czasu, więc pewnie i ty przeżywasz to samo. To było podłe ze strony mojego męża, że nie pozwolił ci

przyjechać na pogrzeb rodzonej siostry. - Ujęła go za rękę. - Szczerze ci współczuję z powodu nieszczęść, które cię spotkały. Wiem, jak bliscy byliście sobie z Tracy. Słyszałam też od Erin, która była tu w maju, o śmierci waszego ojca. - Zawahała się, a potem, marszcząc brwi, zapytała - Czy Abby bardzo się zdenerwowała na twój widok?

- Chyba tak - odparł Colin lekko zdezorientowany. -Więc Abby i Tracy nie trzymały się razem tamtego lata? Przecież od dziecka były sobie bliskie jak siostry. Co zaszło między nimi? Nagle zaczął żałować swoich słów wypowiedzianych do rodziców, że już nigdy więcej nie chce słyszeć imienia Abby. Szkoda też, że go posłuchali.

- Abby bardzo przeżyła śmierć twojej siostry, a potem nasz rozwód. Od tamtej pory przestała być sobą. - Juliana spojrzała w stronę „Cliff Walk” i zamrugła, jakby do tarło do niej, że powiedziała za dużo. A potem chrząknęła i zmieniła temat. - Jeżeli mamy znowu być sąsiadami, powinienes wiedzieć, co się tu dzieje. Co powiecie na małą wycieczkę?

- Bardzo chętnie - powiedział i nagle zauważył, że Jessie oraz chłopiec z psem za bardzo się oddalili. Szli właśnie w kierunku budynków winiarni, za którymi zaczynało się strome urwisko. Pamiętał, jak z kolegami wspinał się na te skały, i pamiętał swoje podrapane kolana. Jessie była uparta i bardziej beztroska niż on w jej wieku. Dlatego nie chciał, żeby się dowiedziała o istnieniu tych skał. - Jessie! - przywołał ją, a kiedy wróciła, wziął ją za rękę. - Pani Hopewell powiedziała, że pokaże nam te wszystkie budynki.

Jessie skrzywiła się.

- Nie mogłabym zostać i pobawić się z psem?

- Jamie, ty też chodź! - Pani Hopewell przywołała wnuka. - Możecie z Grzmotem wziąć udział w tej wycieczce - powiedziała do chłopca, po czym, zwracając się do Colina, wyjaśniła - Zgodziłam się popilnować go przez następne dwie godziny. A tak przy okazji, gdybyście myśleli o psie, chciałabym wam polecić schronisko w Hopetown.

- Schronisko dla zwierząt? To chyba trochę nie pasuje do Hopetown? Pamiętam, że porządni obywatele woleli raczej utopić kundla, niż trzymać go, dopóki ktoś go nie weźmie.

Juliana Hopewell uniosła ciemne brwi. Choć zbliżała się do pięćdziesiątki, była wciąż piękną kobietą.

- Może nie pasuje do tego Hopetown sprzed dziesięciu lat, ale ostatnio wiele się tu zmieniło. Zresztą, sam się przekonasz. - Odwróciwszy się, wskazała na stok z równymi rzędami winnych krzewów. - Zaczęliśmy od pięćdziesięciu trzech tysięcy sadzonek z najprzedniejszych szczepów europejskich...

Colin oraz dwójka dzieci i pies poszli w ślad za nią do budynku tłoczni. Już po kilku minutach Jessie była równie podekscytowana jak on na widok wielkich kotłów, pras oraz rzędów baryłek w piwnicach. Po spróbowaniu kilku gatunków win, Colin z przyjemnym zdumieniem skonstatował, że Hopewellowie oferowali produkty z najwyższej półki. Wycieczka sprawiała mu tym większą przyjemność, że, jak przypuszczał, James Hopewell musiał przewracać się w grobie. Jego była żona oraz córki firmowały jego rodzowym nazwiskiem kilka przedsięwzięć, do których nigdy by się nie zniżył.

Juliana była dyrektorem generalnym rodzinnej spółki, Caroline Hopewell-Westerly dyrektorem finansowym winnic oraz centrum „Bella

Vista", Samantha nadzorowała uprawę winorośli oraz produkcję wina, a Abby prowadziła „Cliff Walk” i dbała o reklamę.

Po skończonej wycieczce Colin spędził resztę dnia w „Torthuil”, zrywając zniszczone gipsowe stropy oraz opukując ściany. Zamierzał wiernie odrestaurować liczącą sobie sto pięćdziesiąt lat farmę, wybudowaną w stylu kolonialnym przez jego przodka Liama McCarthy'ego około roku 1860.

Podczas pracy jego myśli wciąż krążyły wokół Abby. Doskonale pamiętał tę odważną, wesołą dziewczynkę, którą wyłowił z rzeki i która stała się najlepszą przyjaciółką jego siostry. Psotna i impulsywna, była także szczodra i miała złote serce. Kiedy przyjechał do domu na święta po półrocznej służbie w wojsku, odkrył nową Abby. Nadal była tym samym wyrośniętym podlotkiem, stała się jednak spokojniejsza i bardziej powściągliwa. A potem przyjechał na maturę Tracy i odkrył, że Abby przemieniła się w uwodzicielską syrenę. Zmusiła go wtedy, by z nią tańczył na przyjęciu, które jego rodzice wydali na cześć obu dziewczynek. To właśnie tamtej nocy wyzbył się skrupułów i uległ jej niewinnej zmysłowości.

Obecna Abby była drażliwa, chłodna i pedantyczna. Jednak w jej stosunku do Jessie odnalazł cień dawnej Królowy Śnieżki. Pewnie zresztą chodziło jej tylko o to, by pozostali goście zobaczyli, jak troskliwie zajmuje się dzieckiem i wyrobili sobie dobre zdanie o pensjonacie oraz jego właścicielce.

Co zaszło pomiędzy Abby i Tracy? Jeżeli przestały się przyjaźnić, oznaczałoby to, że Abby nie ponosiła winy za śmierć jego siostry.

Nadal nie wiedział, co wydarzyło się w tych miesiącach między jego wyjazdem a śmiercią Tracy, ale jedno było oczywiste - musi się tego dowiedzieć. Niestety, wcale nie był pewny, czy poznanie prawdy przyniesie mu ulgę. Podejrzywał, że ani trochę.

RS

## Rozdział 4

---

Abby dokładała wielu starań, aby przez cały poprzedni i dzisiejszy dzień nie spotkać Colina nawet przypadkiem. Co to, to nie.

Zbyt wiele zajęć ją pochłaniało i nie chciała zawracać sobie głowy przeszłością, a zwłaszcza jednym, szczególnie irytującym klientem. Bo tym był dla niej Colin i tak właśnie starała się go traktować.

Tego wieczora zamierzała wziąć udział w spotkaniu w ratuszu. Chciała zobaczyć minę Harleya Bryanta, na wieść o tym, że jego oficjalną kontrkandydatką w listopadowych wyborach na burmistrza jest dobrze mu znana Abby Hopewell.

Przed obiadem przebrała się w elegancki letni garnitur i starannie upięła włosy. Jako kandydatka na burmistrza Hopetown chciała wyglądać jak poważna kobieta biznesu. Nigdy w życiu nie zamierzała się starać o urząd publiczny, lecz teraz musiała podjąć to wyzwanie. Trzeba było się pozbyć Harleya Bryanta, zanim doprowadzi Hopetown do ruiny, a ją samą pozbawi wszystkiego, czego się dorobiła wspólnie z matką i siostrami. Harley bezwstydnie wykorzystywał stanowisko burmistrza do swoich własnych interesów. Abby uznała, że nie ma innego wyjścia, musi wystartować w najbliższych wyborach, zwłaszcza że namawiali ją do tego zatroskani mieszkańcy miasta oraz Izba Handlowa. Chciała pokonać Bryanta. Chciała go uciszyć i odsunąć na bok, aby ofiarą jego oszustw padli jedynie ci, którzy robili interesy z Kasą Oszczędnościowo-Pożyczkową należącą do jego rodziny.

Na wyjazd do miasta Abby postanowiła pożyczyć od matki małego mercedesa. Miała jeszcze trochę czasu, zanim Juliana przywiezie jej samochód, więc usiadła w jednym z wiklinowych foteli na werandzie i zapatrzyła się na pagórki porośnięte winnymi krzewami. Zanim się zorientowała, jej myśli znów zaczęły krążyć wokół Colina.

Nagle usłyszała, że podłoga zaskrzypiała za jej plecami. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Colina w drzwiach werandy. Sądząc po jego minie, był równie zaskoczony tym nieoczekiwanym sam na sam, co ona.

- Nie spodziewałem się, że cię tu zastanę - powiedział.

- A to dlaczego? Mówiłam ci przecież, że tu mieszkam. - Abby szybko odzyskała rezon, chociaż serce zaczęło kołatać w jej piersi jak oszalałe.

- Tak, słyszałem - rzucił z ironicznym uśmiechem. - Ale dosyć trudno cię tu zobaczyć. Jessie od rana doprowadzała mnie do szału, dopytując się o ciebie. Czy pani się przed nami ukrywa, panno Abby?

Miała ochotę odpowiedzieć, że ukrywa się tylko przed nim, ale zacisnęła usta, wstała i chciała odejść. Nagle Colin położył jej rękę na ramieniu. Uznała ten gest za zbyt poufały, spojrzała wymownie, a potem... ich oczy się spotkały. Nie potrafiła się od niego oderwać, nie mogła przestać na niego patrzeć. Trwało to tak długo, że Abby nieomal odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała cienki, uradowany głosik Jessie:

- O, tu pani jest, panno Abby! Tatuś wreszcie panią znalazł.

Colin zamrugał i cofnął rękę.

- Tak, znalazłem Abby i rozmawialiśmy o dawnych, dobrych czasach - skłamał. Głos miał lekko schrypnięty. Od-kaszlnął i ciągnął dalej. -



Wtedy nikt z nas nie musiał szukać Abby, bo ciągle u nas przesiadywała. Była najlepszą przyjaciółką twojej cioci Tracy.

- Ciocia Tracy to ta, co umarła?

- Tak. - Colin znowu zakasłał, by ukryć wzruszenie. - Kiedy miała osiemnaście lat - dodał. Jego zaciśnięte usta i gniewny błysk w oku świadczyły o tym, że pamiętał nie tylko o śmierci Tracy, ale o rozpacz i wszystkich nieprzyjemnościach związanych z tym wypadkiem.

Myśl o tym tragicznym zdarzeniu budziła gniew Abby, lecz był on wymierzony w Colina. Gdyby Tracy nadal się z nią przyjaźniła, uwierzyłaby w to, co próbowała jej powiedzieć o Kielu Laughlinie. Tracy miała jedno wielkie marzenie - zdobyć pieniądze, więc kiedy poznała Kiela, zaczęła sobie wyobrażać, że to on jest jej księciem z bajki.

Kiel był jednak rozpuszczony i nieodpowiedzialny. Któregoś dnia zaprosił Tracy wraz z grupką znajomych na rejs po rzece motorówką jego ojca. W którymś momencie puścił kierownicę i oderwał wzrok od wody, by pociągnąć kolejny łyk piwa. Łódź uderzyła z dużą prędkością w brzeg, a Tracy, która stała na dziobie, wyleciała w powietrze i skrzyła kark, wpadając do płytkiej wody. Postawiono mu zarzut nieumyślnego zabójstwa, ale na brzegu nie było ludzi, a jedyna osoba świadcząca przeciwko niemu w ostatniej chwili zmieniła zeznania. Pozostali uczestnicy wycieczki utrzymywali, że nic nie widzieli, bo patrzyli w inną stronę. Tak więc wobec braku dowodów Kiel został uniewinniony.

Tracy trzymała się Kiela tylko z jednego powodu - chciała go zdobyć wraz z jego bogactwem. Nie rozumiała, że prawdziwym skarbem jest miłość, taka, jaka łączyła jej rodziców.

Inaczej było u Hopewellów. Matka Abby poślubiła człowieka bogatego, lecz to małżeństwo nie było szczęśliwe i kilka miesięcy po śmierci Tracy rozpadło się.

Abby dopiero po ostatniej, nieudanej próbie związania się z mężczyzną zrozumiała, jakie piętno wywarły na niej przeżycia tamtego pamiętnego, tragicznego lata. Nie chciała więcej cierpieć i postanowiła wyciągnąć naukę z tamtego okresu, więc zdecydowała, że najlepszym rozwiązaniem dla niej i pewnie dla innych będzie, jeśli nigdy więcej nie pozwoli zbliżyć się do siebie żadnemu mężczyźnie. Bała się reakcji swego złamanego serca, ponieważ z natury była osobą impulsywną i namiętną. Jak niebezpieczna to kombinacja, przekonała się, patrząc na życie swojego ojca.

James Hopewell po skończeniu studiów wyruszył w podróż do Europy. Bawiąc w Toskanii, poznał Julianę, siedemnastoletnią córkę tamtejszego właściciela winnicy, i zakochał się w niej bez pamięci. Wziął z nią ślub, mimo sprzeciwu jej ojca, po czym przywiózł młodą żonę do domu. Okazało się, że jego rodzice również byli niezadowoleni z tego mariażu.

Wiele lat później Hopewell znowu dał się ponieść zmysłom i zdradził żonę. Kilka miesięcy po aferze Abby z Colinem oraz śmierci Tracy, Juliana Hopewell przyłapała męża w ramionach innej kobiety. Wybuchł skandal w szacownej dotąd rodzinie Hopewellów. Nie dość na tym. Nieco później najstarsza siostra Abby przeżyła miłosną tragedię, bo jej narzeczony zerwał zaręczyny, zniechęcony aurą skandalu.

Młodziutka Abby od tamtej pory narzuciła sobie ostrą dyscyplinę i wyrzekła się samej siebie. Przestała także ufać własnym sądom tam, gdzie w grę wchodził mężczyźni albo miłość.

- ... od tamtej pory - usłyszała dobiegający jakby zza mgły głos Colina - ilekroć widziało się moją siostrę Tracy, zawsze była z nią Abby Hopewell.

Abby się zachnęła. Ból po stracie Tracy nie osłabł. Nie pomagało jej przekonanie, że winę za rozpad ich przyjaźni ponosi Colin, siebie także oskarżała o to, że obudziła w Tracy pragnienia, których nie można było zaspokoić bez pieniędzy.

- Muszę was teraz przeprosić, bo mam spotkanie z matką - skłamała. Zbiegła po schodkach z werandy i skierowała się w stronę winiarni, żeby tam poczekać na Julianę.

Abby wkroczyła do ratusza dokładnie za dwie minuty siódma i zaczęła się rozglądać za grupką swoich zwolenników. Oczywiście wszyscy już tam byli i zajęli pierwszy rząd, gotowi do akcji. Jean Anne, współwłaścicielka hotelu w Hopetown oraz restauracji i baru „Blue Moon”, odwróciła się i wskazała Abby krzesło, które dla niej zajęli. Jerry, mąż Jean Anne, był nieobecny. Prawdopodobnie został w domu, by przypilnować dzieci oraz hotelu. Gdy Abby ruszyła ku nim środkiem sali, wstał Harry Clark, właściciel sklepu z rowerami, i zwrócił się w jej stronę. Jego czoło przecinały głębokie zmarszczki. Wyglądał tak groźnie, że nie chciałoby się go spotkać w ciemnej ulicy, lecz w rzeczywistości był łagodny jak baranek.

- O co chodzi? - zapytała Abby, widząc stropioną minę Muriel Haversham.

Muriel była właścicielką jednego z rozsianych po mieście sklepików z antykami. Nieodmiennie pogodna, była tego wieczora wyjątkowo pochmurna.

- Harley zmienił harmonogram zebrania. Przełożył dyskusję nad wnioskiem o dotację dla miasta na inny termin.

Abby zasepiła się.

- Co może być ważniejszego niż uzyskanie dotacji rządowej na zabezpieczenia przeciwpowodziowe? Na co on czeka? Na czwartą powódź? W przeciągu ostatnich osiemnastu miesięcy były trzy, to chyba wystarczy?

Harry Clark pomachał trzymanym w ręku programem zebrania. Podeszła i wzięwszy egzemplarz z krzesła, które dla niej zarezerwowali, przebiegła go szybko wzrokiem.

- Mowa jest tylko o ogólnym rozwoju miasta - stwierdziła.

- To wszystko jest jakieś podejrzane. Nie podoba mi się to - burczał Harry. - Czuję, że on chce naszym kosztem załatwić sobie wybór na następną kadencję. I pewnie znowu będzie próbował zrzucić winę za kolejne powodzie na winnice Hopewellów.

- Nie martw się - powiedziała Abby. - Nie pozwolę Harleyowi Bryantowi na żadne dywersyjne taktyki. Kontrola naszego systemu kanalizacyjnego wykazała, że żadne ścieki nie spływają z winnicy do rzeki.

- W tobie cała nasza nadzieja, dziecinko - odezwał się basem Albert Canter. Albert był kowalem i niedawno skończył siedemdziesiąt pięć lat. Na prośbę turystów demonstrował swoje umiejętności równie ochoczo, jak sprzedawał swoje artystyczne wyroby żelazne. Al kochał to miasto, w

którym osiadł po przejściu na emeryturę. Uważał się za emeryta, choć w sezonie turystycznym pracował po sześćdziesiąt godzin w tygodniu.

Trzeba dodać, że w Hopetown sezon turystyczny trwał przez okrągły rok.

Tymczasem do sali zaczęli napływać mieszkańcy miasta. Abby miała przez chwilę nadzieję, że inni przedsiębiorcy także wystąpią przeciwko Harleyowi, szybko jednak zrozumiała, że postawiłoby ich to w niewygodnej sytuacji. Wiele rodzin pracowało w Kasie Oszczędnościowo-Pożyczkowej Bryantów, inni przyjaźnili się z Shirley Bryant, śliczną, ciłą kobietą, której względy Harleyowi udało się zdobyć ku zdumieniu całego miasta. Jeszcze inni znali jego rodziców. Hopetown, mimo ożywionego ruchu turystycznego, nadal pozostało małym miasteczkiem.

Po kilku minutach Harley wszedł na podium i postukał w mikrofon.

- Mogę prosić o chwilę uwagi?

W tym samym momencie drzwi na końcu sali otworzyły się, przyciągając spojrzenia zebranych, w tym także Abby. Colin McCarthy przemknął pod ścianą i zanim usiadł w pierwszym rzędzie, uśmiechnął się do niej. Szybko wciągnął się w życie Hopetown, pomyślała, prostując się dumnie. Niech mu się nie wydaje, że swoim pojawieniem się wytrącił ją z równowagi.

Harley tymczasem zaczął mówić:

- Na pewno wszyscy państwo zadajecie sobie pytanie, dlaczego przełożyłem na później dyskusję nad dotacją. Po pierwsze, mamy sześć miesięcy na złożenie wniosku. Po drugie, nie dostałem jeszcze rozliczeń od wszystkich, więc jeżeli ktoś dotąd tego nie zrobił, proszę je dostarczyć do mojego biura. A po trzecie, mam znacznie ciekawszy temat na ten

wieczór. Chciałbym państwu przedstawić mojego starego przyjaciela, Colina McCarthy'ego. Podejdź tu, Colin, i przypomnij się wszystkim.

Colin wstał i wskoczył lekko na podium, a Harley ciągnął dalej:

- Colin powrócił do Hopetown jako człowiek sukcesu. Wielokrotnie nagradzany architekt oraz właściciel firmy budowlanej w Kalifornii powrócił tutaj, aby zrealizować w Hopetown swoje kolejne zamierzenie. Chciałbym teraz poprosić radę miejską o poddanie pod dyskusję projektu zmiany planu zagospodarowania przestrzennego terenów należących do Colina, tak by można było jak najszybciej uruchomić tę inwestycję. Mam prawo sądzić, że dzięki niej nasze miasto bardzo się wzbogaci. Colin, może zechciałbyś nam teraz przedstawić w zarysie swój plan.

- Dzięki, Harley. - Colin podszedł do mikrofonu z pewną siebie miną, jakby nie słyszał pomruków z głębi sali.

- Wróciłem tu, aby zainwestować w tereny należące od pokoleń do mojej rodziny, a teraz do mnie.

Abby nie wierzyła własnym uszom. Colin chce budować na terenach w górnym biegu rzeki? Czy to on upadł na głowę? Czy może Harley?

- Zamierzam wybudować tam kolonię kameralnych apartamentowców oraz jeden długi segment wzdłuż rzeki. Osiedle jest w zamyśle przeznaczone dla osób powyżej pięćdziesiątego roku życia - ciągnął dalej Colin. - Dzięki temu ograniczymy napływ ludności z dziećmi w wieku szkolnym, a co za tym idzie, nie trzeba będzie podnosić podatków od nieruchomości w celu zdobycia funduszy na budowę nowych szkół. Myślę też o klubie z salami bilardowymi i gimnastycznymi dostępnymi dla wszystkich mieszkańców Hopetown, którzy wykupią roczną kartę członkowską. - Podniósł rękę, by uciszyć coraz głośniejsze

pomruki, po czym dokończył - Wszystko to jest na razie na etapie propozycji. Szczegółowe rysunki i plany powinny być gotowe za kilka tygodni.

Gdy skończył, głos znów zabrał Harley.

- Jestem dumny z tego, że udało mi się zabezpieczyć fundusze na realizację tej inwestycji. Same tylko wpływy z podatków uczynią więcej dla Hopetown niż jakiegokolwiek dotacje z państwowej kasy.

Abby zerwała się na równe nogi.

- Jeżeli zabudujecie tereny „Torthuil”, wyłoni się kwestia dodatkowych ścieków. To może być wielki problem dla miasta. Będziesz potrzebował znacznie większych pieniędzy na jego rozwiązanie, Harley. - Przerwała, bo na sali rozległy się głośne potakiwania. - Jak można w ogóle brać coś takiego pod uwagę po ostatnich powodziach? Zaraz, zaraz... - Spojrzała na Bryanta przez zmrużone powieki. - Ponieważ, jak twierdzisz, zabezpieczyłeś już fundusze, rozumiem, że twój bank nieźle na tym zarobi. Nie mam racji? Co tu mówić o podatkach, jeżeli nasze piękne miasto przestanie istnieć? - Odwróciła się do członków rady. Jej rodzina była wcześniej związana z większością z nich.

- Błagam was, nie zapominajcie, że to miasto to coś więcej niż tylko wpływy z podatków. Naszym obowiązkiem jest chronić nasze dziedzictwo historyczne. Proszę o przełożenie tej dyskusji na później, po dokładnym przeanalizowaniu wszystkich dostarczonych planów. Chciałabym wam też przypomnieć, z jakim to zapałem Harley Bryant sprzeciwiał się całkiem niedawno rozbudowie naszych winnic. - Wiedziała, że chciał doprowadzić ich firmę do bankructwa, zająć hipotekę i przejąć kontrolę nad winnicami. Niestety, nie miała na to mocnych dowodów.

- Przypominam też, że nasz kompleks położony jest wysoko i dlatego mamy pod sobą setki metrów rur odwadniających - inaczej niż „Torthuil”, które leży nad rzeką. Spora część płaskowyzu, na którym położone jest centrum naszego miasta, od zawsze była przeznaczona na tereny rolnicze oraz rezerwat przyrody. Przeprowadzone badania wykazały, że nasza działalność - mam na myśli winnice - ma zerowy wpływ na poziom wód w naszej rzece.

Dopiero teraz Abby odważyła się spojrzeć na Colina. Patrzył na nią lodowatym wzrokiem, z zaciśniętymi ustami.

Po krótkiej dyskusji rada zatwierdziła jedynie plan renowacji budynków farmy, przekładając resztę na sierpień, kiedy pozostałe dokumenty będą gotowe. Tak więc Colin przegrał tę rundę. Przegra też następną i kolejne tak długo, jak długo ona będzie miała tu cokolwiek do powiedzenia.

Abby była bowiem gotowa walczyć do upadłego, by uratować miasto założone przez jej przodka, Josiaha Hopewella. Hopetown nad rzeką Delaware istniało od roku 1689. Miałoby teraz zniknąć z mapy na skutek działań jakiegoś chciwego dewelopera?

W ciągu minionych osiemnastu miesięcy miasto nawiedziły trzy wielkie powodzie, które uszkodziły wiele domów i dróg. Jednym z głównych powodów była zbyt intensywna zabudowa rejonów nadrzecznych. Plan Colina oznaczał jeszcze większą ilość ścieków odprowadzanych do rzeki w jej górnym biegu, w niebezpiecznie małej odległości od miasta.

Nazwisko Hopewell wciąż wiele znaczyło w tych stronach, dlatego Abby postanowiła użyć wszelkich wpływów, by pokonać Colina



McCarthy'ego. Chciała zobaczyć na własne oczy, jak jego marzenia legną w gruzach.

On także zniszczył kiedyś jej marzenia.

RS

## Rozdział 5

---

Colin stał pod jednym z potężnych dębów oceniających najstarszą część Main Street i czekał na Abby. Przez ostatnie dziesięć minut starał się pohamować gniew, który ogarniał go, ilekroć o niej pomyślał.

Wcześniej tego popołudnia, kiedy natknął się na nią na werandzie, umyślnie wspomniął o Tracy, żeby zobaczyć jej reakcję. Juliana Hopewell miała rację. Abby nadal nie pogodziła się ze śmiercią jego młodszej siostry.

A skoro już to wiedział, pomyślał, że czas najwyższy zrozumieć przeszłość. Dlatego zadzwonił do swojej matki, która wyznała mu, że to jego ojciec zabronił Tracy przyjaźnić się z Abby. Powiedział Tracy tylko tyle, że James Hopewell zagroził im finansową ruiną, jeżeli Abby będzie się kontaktowała z McCarthymi. Nie powiedział Tracy całej prawdy, ponieważ wraz z matką postanowili zataić przed młodszymi dziećmi to, co się wydarzyło, by ich niepotrzebnie nie denerwować.

Teraz jednak Colin pragnął zrozumieć, co się stało. Wiedział już, dlaczego Tracy i Abby przestały się przyjaźnić. Wiedział też, że Abby w najmniejszym stopniu nie ponosiła winy za śmierć Tracy. Nie miał żadnego powodu, by się na nią gniewać. Zwłaszcza gdy uświadomił sobie, że nadal jest nią zainteresowany. Wspomnienia zaczęły go osaczać. Pragnął jej, ale nie miał pojęcia, co z tym zrobić. Jak się zachować?

Abby miała wszelkie podstawy by sądzić, że wykorzystał ją tamtej nocy. Z sobie znanych powodów uważała, że to on jest odpowiedzialny za

śmierć Tracy, co było nonsensem. Była młoda i załamana, ale dlaczego zdradziła ojcu ich tajemnicę. Po co to zrobiła?

A teraz próbowała storpedować jego plan, czym podsyciła na nowo jego gniew. Po raz kolejny okazało się, że szacowne nazwisko Hopewell znaczy w tym mieście więcej niż wszystko inne.

On i Harley wcale nie ukrywali, że ta inwestycja jest potrzebna miastu, żeby zwiększyć wpływy z podatków. Rodzinie McCarthych także była ona potrzebna. „Torthuil” zaczęło podupadać już dawno, prawie rok przed śmiercią Tracy, a późniejsze wydatki doprowadziły ich na skraj bankructwa. Marzeniem Liama McCarthy'ego było zachowanie farmy dla przyszłych pokoleń. Sprzedaż „Torthuil” złamałaby mu serce. Śmierć córki była dla niego ciosem, po którym już się nie podniósł. Sprzedali wtedy wszystkie kosztowne maszyny rolnicze, żeby spłacić bankowy dług, i przeprowadzili się na Florydę, aby podreperować zdrowie, a także zapomnieć o przeszłości.

Po śmierci ojca, ryzykując przyszłość swoją i Jessie, Co-lin zdecydował się na przekształcenie leżącej odłogiem ziemi „Torthuil” w źródło niezłych dochodów. Sprzedawszy wszystko, łącznie z dobrze prosperującą firmą, wrócił do Hopetown, żeby zamieszkać w swoim starym domu. Zamierzał zachować kilka akrów ziemi wokół domu, aby uszanować życzenie ojca, a resztę przeznaczyć pod inwestycje. Było to jedyne praktyczne rozwiązanie, jakie mu przyszło do głowy.

Zaprojektował już i wybudował tego typu osiedla w Kalifornii, za które dostał nawet nagrodę. Dlatego był pewny, że w przypadku „Torthuil Garden” także odniesie sukces, a inwestycja przyniesie spodziewane zyski i jemu, i miastu.

Ukryty w cieniu patrzył, jak Abby odrywa się od grupki ludzi i idzie w stronę swojego samochodu. W przyćmionym wieczornym świetle zobaczył, jak na widok Harleya uśmiech znika z jej twarzy.

- Oho, nasza Królowa Śniegu - prychnął pogardliwie burmistrz.

Abby skrzyżowała ręce na piersi.

- Czego chcesz, Harley?

- Myślisz, że wygrasz wybory, rujnując lokalną gospodarkę?

Większość ludzi na sali była po mojej stronie, a nie po twojej.

- Ale ci ludzie nie są właścicielami przedsiębiorstw, dzięki którym to miasto żyje i rozkwita. To przybysze, którzy w każdej chwili mogą pójść i pracować gdzieś indziej. Main Street to serce tego miasta i trzeba je chronić. Podobnie jak domy przy River Road.

- Aha, a jednym z nich jest bezcenna rezydencja Hopewellów. Jak widać, nie tylko ja walczę o swoje interesy. Już ja cię załatwię w tych wyborach, w taki czy inny sposób. Słyszysz mnie? - Harley szarpnął ją za rękę. - Mam na to różne sposoby, o których ty nie masz pojęcia.

Dosyć już tego podpatrywania z ukrycia! Colin oderwał się od pnia i wyszedł z cienia. Zbliżając się, widział, jak Abby bezskutecznie próbuje wyszarpnąć rękę z uścisku Harleya.

- O, Harley, co się dzieje? - zawołał Colin.

Na dźwięk jego głosu Harley puścił Abby i jakby nigdy nic odwrócił się do niej plecami. Nie zmienił się, nadal pozostał takim samym tchórzem jak niegdyś i wyglądał jak istne wcielenie niewinności, z fałszywym uśmiechem przyklejonym do twarzy. To ten uśmiech kazał się Colinowi zastanowić, dlaczego wcześniej nie zauważył, że Harley przypomina śliskiego węża.

- Wszystko w porządku, Abby? - spytał Colin. W odpowiedzi skinęła głową. Widać było, że znów wstępuje w nią bojowy duch.

- Ja... ja tylko próbowałem przemówić twojej oponentce do rozsądku - tłumaczył się Harley.

- Więc to się tak nazywa? - Colin spytał głośniejszym głosem, niż zamierzał. - Sam potrafię zadbać o swoje sprawy, Harley. Zawsze tak było.

- Nie przejmuj się, stary. Nie będzie żadnej bitwy. Jej protest się nie liczy. Ona i jej rodzina nie jest od nas ani trochę lepsza.

- Nigdy nie mówiłam, że jesteśmy lepsi - powiedziała Abby. - Reprezentujemy jednak w Hopetown coś, czego ewidentnie nie rozumiesz.

- Och, świetnie rozumiem. Tak samo jak rozumiem, co w tej chwili kombinujesz. Wiem, dlaczego uwzięłaś się na Colina.

- Nie uwzięłam się na Colina, tylko chcę chronić nasze miasto.

- Nie wciskaj mi kitu. - Harley machnął lekceważąco ręką. - Uwiodłaś go, ale nie udało ci się przywiązać go do siebie, na co w duchu liczyłaś. On tymczasem cię wykorzystał, potem kazał ci wracać do łóżka, a sam na drugi dzień wyjechał. Ty przez całe lata chodziłaś wkurzona z tego powodu.

Abby osłupiała i spojrzała z furią na Colina. Lecz to właśnie Colin był najbardziej zaszokowany słowami Harleya. Czy Abby zdążyła to dostrzec? Nie wiadomo, bo Harley wpadł w trans i trajkotał jak nakrecony.

- A twoje siostrzyczki też nie lepsze. Całe miasto wie, że Caroline i Samantha wyszły za mąż dla pieniędzy, żeby wyciągnąć winnicę z kłopotów. Seks za pieniądze to prostytutka. Uprawiały ją, żeby ocalić wariackie marzenia waszej matki. Myślisz, że tak mogło być, Colin, stary druhu?

Colin myślał w tej chwili tylko o jednym: że już nigdy więcej nie chciałby usłyszeć z ust Harleya swojego imienia w połączeniu ze słowem „druh”.

- Myślę, że dosyć już powiedziałeś, Harley.

Abby jakby go nie słyszała. Colin patrzył z podziwem, jak prostuje się i zaciskając pięści, zwraca się do Harleya:

- Moje siostry wyszły za mąż z miłości, ty obleśny głupcze. A ich mężowie nie musieliby inwestować w winnice, gdybyś nam ciągle nie szkodził. Od lat próbujesz okraść nas ze wszystkiego, na co tak ciężko pracowaliśmy. Pożyczyłeś mamie pieniądze na rozwój firmy, znając nasz biznes-plan. A potem przycisnąłeś radę miejską, powodując opóźnienia budowlane, które omal nas nie zrujnowały. Całe miasto o tym wie, Harley. A jeżeli nie, już ja dopilnuję, żeby się wszyscy dowiedzieli - dokończyła lodowatym tonem, po czym odwróciła się i wsiadła do samochodu.

Colin zauważył, że kilka osób popatrzyło w ich stronę. Miał nadzieję, że nie usłyszeli aluzji Harleya do jego nocy z Abby.

Zdumiało go, że Harley z ogromną pewnością siebie mówił o tym zdarzeniu. Czyżby dowiedział się czegoś więcej? Colin był przekonany, że jego wybieg się powiodł i że nie zranił Abby na próżno.

Abby odjechała, a Harley przeszedł na drugą stronę ulicy. Nienawiść, jaką okazywał Abby, zaniepokoiła Colina.

Dogonił Harleya i kiedy szli w milczeniu przez miasto, znów wrócił myślami do przeszłości. Wszystko zdawało się wyglądać inaczej, niż sobie wyobrażał. Dlaczego Abby powiedziała ojcu prawdę? Przecież to bezsensowne. Każda z jego pięciu sióstr zrobiłaby wszystko, by ich ojciec nie dowiedział się o ich romansach. A tym bardziej Abby, dziewczyna,

która tak idealizowała swojego ojca. Czemu się nigdy nad tym głębiej nie zastanowił? Potrząsnął głową. Prawda wyglądała tak, że był zły na Abby i dzięki temu łatwiej było mu z nią zerwać.

Czy to możliwe, że James Hopewell dowiedział się o wszystkim nie od Abby, a od kogoś innego? Colin spojrział podejrzliwie na Harleya. W szkole Harley był wesołym rozrabiaką, ale z czasem jego urok zaczął blednąć. Kiedy Colin przyjechał po raz ostatni do domu, stwierdził, że w wojsku dojrzał o wiele szybciej niż Harley na uczelni.

Widząc, jak teraz Harley potraktował Abby, Colin uświadomił sobie, że przestaje go lubić. Nagle stracił do niego zaufanie. Harley ewidentnie zmienił się z czasem na gorsze, a nie na lepsze.

Przystanęli przed hotelem i Harley spojrzął na drzwi baru „Blue Moon”, mieszczącego się w rogu budynku.

- Napiłbym się czegoś. Może wstąpimy na jednego? - Westchnął. - Nie wiem, dlaczego pozwalam tej drętwej starej pannie tak mnie traktować. Jestem przecież od niej mądrzejszy. Listopad już niedaleko, a wtedy utnę jej nosa.

Colin poszedł za nim, zastanawiając się, czy to aby nie Harley poinformował o wszystkim Jamesa Hopewella. Po godzinie do „Blue Moon” przyszedł Jerry Money, właściciel hotelu, by zwolnić na chwilę barmana. Porozmawiali z Colinem o dawnych, dobrych czasach, a potem Jerry dał wyraz swojemu niezadowoleniu z Harleya. Nie próbował ukrywać niepokoju z powodu planów rozbudowy miasta oraz zagrożenia powodziowego, o którym wspominała Abby.

Kiedy Harley zrobił się zbyt nachalny i hałaśliwy, Jerry zaczął kierować nowo przybyłych gości do stolików w drugim końcu sali.

Nadmienił przy tym żartem, że próbuje w ten sposób chronić burmistrza przed nieodpowiedzialnymi zaczepkami turystów.

Colin tymczasem sączył drugie piwo, zastanawiając się, jak wyciągnąć prawdę z Harleya. Przez cały wieczór próbował skierować rozmowę na dawne czasy, ale ilekroć wydawało mu się, że jest u celu, Harley nagłe zmieniał temat.

Colin czuł, że popada w coraz głębszą frustrację. Oto tkwił tu z kompletnie już pijanym Harleyem, zamiast wracać do domu, do Jessie, którą tego wieczora zaopiekowała się kucharka z „Cliff Walk”. Mimo to nie chciał wyjść, dopóki nie uzyska paru odpowiedzi. Rozejrzał się po sali. Oprócz grupki mówiących po francusku turystów byli z Harleyem sami. Upewniwszy się, że nikt nie usłyszy ich rozmowy, rzucił jakby od niechcienia:

- Więc domyśliłeś się, że tamtej nocy byłem z Abby?
- Niewiele na tym zarobiłem - prychnął Harley.
- A czego się spodziewałeś? - W spokojnym głosie Colina

zabrzmiały podejrzliwe nuty.

Wściekłość w oczach Harleya wskazywała, że musiało się wydarzyć coś więcej, niż podejrzewał. Nie był jednak przygotowany na to, co usłyszał.

- Poszedłem do starego Hopewella i opowiedziałem mu, jak jego kochana córeczka zabawiała się poprzedniej nocy.

- Dlaczego to zrobiłeś?! Co ci Abby zawiniła?

- Nic. Ale chciałem czegoś, co tylko Hopewell mógł mi załatwić, więc zrobiłem wszystko, żeby to dostać. Wiedziałem od swego ojca, że Hopewell ma wysoko postawionych przyjaciół. No to powiedziałem



Hopewellowi, że podam mu nazwisko faceta, z którym się zabawiała Abby, jeżeli załatwi mi posadę w pewnej firmie inwestycyjnej. - Harley wzruszył ramionami. - Obiecał mi to, więc cię wsypałem.

Colin spojrział na niego przez zmrużone powieki.

- Czy kiedykolwiek byliśmy przyjaciółmi? Harry prychnął pogardliwie.

- Nie wiem. Pamiętam, jak się starałeś, żeby cię przyjęto do drużyny piłkarskiej. Więc cię przyjęli na moje miejsce, chociaż miałem już wszystko załatwione. Czy tak postępuje przyjaciel?

- Harley, na miłość boską! Przecież byliśmy wtedy w liceum! I wcale o tym nie wiedziałem!

- A wracając do rzeczy, czy stało się coś złego, że mu powiedziałem? Ty służyłeś już wtedy w wojsku, a od jesieni miałeś studiować na uniwersytecie w Los Angeles, więc Hopewell nie mógł ci nic zrobić. Nic cię już nie wiązało z tym miastem. I nic ci się nie stało.

Colin zacisnął pięści pod blatem stolika.

- To przez ciebie nigdy nie miałem okazji przeprosić Abby za słowa, które powiedziałem tamtego ranka - powiedział wściekły.

Harley zamrugał. Oczy miał załzawione od alkoholu.

- To po cholere je mówiłeś? - wybełkotał. - Myślałem, że ci wcale na niej nie zależy.

- Próbowałem ją ochronić przed twoim długim jęzorem. - Colin spojrział z furią na Harleya. - Hopewell przyszedł do nas, zanim zdążyłem się z nią zobaczyć. Kazał mi się natychmiast wynosić z miasta i groził moim rodzicom. Miał obietnicę twojego ojca, że bank zajmie farmę, gdybym odmówił. Gdyby się jeszcze okazało, że Abby jest w ciąży, nie

byłoby ratunku dla „Torthuil”. Hopewell groził po śmierci i Tracy, że zniszczy naszą farmę, jeżeli przyjadę na pogrzeb mojej siostrzyczki. A ty pozbawiłeś mnie wszelkich szans, u Abby

- Och, proszę cię. Ożeniłeś się przecież i masz córkę, więc nie płakałeś za Abby przez te wszystkie lata. A Hopewell i tak nie wywiązał się z umowy. Wiem, że poszedł do mojego ojca i groził naszemu bankowi. Powiedział, że jeżeli pisnę chociaż słówko o Abby, zlikwiduje konto w naszym banku, zabierze swojego wspólnika oraz tylu przyjaciół, ilu uda mu się namówić. Więc zostałem w tym mieście, ale co mi z tego przyszło? Mogłem sobie być dyrektorem banku, ale to Hopewell był prezesem rady nadzorczej i trzymał wszystkich w garści.

- Dlaczego nie zgłosiłeś się do firm inwestycyjnych w Filadelfii albo Nowym Jorku?

- Bo nie miałem odpowiednich ocen na dyplomie -burknął Harley, jakby jego złe stopnie nie były jego wyłączną winą.

Colin wstał. Poczul, że musi natychmiast wyjść z baru. Chciał wrócić do Jessie, byle dalej od Harleya.

- Boże, nie mogę w to uwierzyć, że kiedykolwiek uważałem cię za przyjaciela. Od jutra zacznę szukać nowych źródeł finansowania.

- Jeżeli tak zrobisz, nie licz na to, że pomogę ci przepchnąć twój projekt. Jestem, mimo wszystko, grubą rybą w tej kałuży, i nie zapominaj o tym. A tak przy okazji, powiedziałem wtedy Hopewellowi, że chciałem chronić Ab-by, bo ty przespałeś się z nią tylko po to, żeby się później przechwalać.

Colin odwrócił się i ruszył do wyjścia. Jeszcze sekunda, a byłby rzucił Harleyem o ścianę. Nie chciał tracić ani minuty więcej na takiego śmiecia jak burmistrz Harley Bryant.

Po powrocie do domu sprawdzi, co u Jessie, a potem przeprosi Abby za wszystko. Nie był pewny, czy powinien jej teraz wyjaśnić przyczyny swojego postępowania. Przestało ono już mieć jakiegokolwiek znaczenie, bo teraz najważniejsze było, jak to wszystko naprawić?

Niestety, nie miał pojęcia, jak się za to zabrać.

RS

## Rozdział 6

---

Abby odpoczywała na werandzie „Cliff Walk”, siedząc na huśtawce i wsłuchując się w letnią serenadę żab i świerszczy. Co jakiś czas odpychała się nogą od balustrady, wprawiając ławkę w leniwy ruch. Czuła, że musi się odprężyć po męczącym zebraniu, bo nie będzie mogła zasnąć. Nazajutrz czekał ją ciężki dzień.

Dwie pary miały rano wyjechać, a trzy osoby zapowiedziały swój przyjazd. Trzeba będzie przygotować pokoje oraz przenieść Colina i Jessie, bo starsze małżeństwo, które często przyjeżdżało do „Cliff Walk”, zarezerwowało pokój numer dziesięć.

Na myśl o tym, dokąd przeniesie go wraz z jego uroczą córeczką, uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Przypomniała sobie, jak Jessie nie tylko wzięła ją za Królową Śnieżkę, ale i uwierzyła, że pobyt w „Cliff Walk” z niej także uczyni księżniczkę. Dzięki zamianie pokojów spełni marzenie Jessie, przynajmniej częściowo. Postanowiła umieścić ją w pokoju w wieży, na piętrze. Pokój urządzony był w różnych odcieniach błękitu, a pośrodku stało łóżko pod baldachimem z błękitnymi draperiami. Identyczne jedwabne draperie przysłaniały dwa okna, opadając miękkimi fałdami na podłogę.

Pokój na wieży miał też małą przytulną łazienkę oraz salonik z telewizorem i kanapą, na której mógł sypiać Colin. Dzięki temu nie będzie musiał kłaść się do łóżka o tej samej porze co Jessie.

Nagle drgnęła. Już po raz drugi dzisiaj stanął przed nią Colin. Widziała przez okno, jak wrócił po zebraniu, i myślała, że poszedł spać, ale się pomyliła.

Nie miała ochoty na kolejną sprzeczkę. Po tym jednak, jak się dowiedziała, że powiedział Harleyowi, iż zostali kochankami, awantura była nieunikniona.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Colin. Stał oparty o ścianę, a mosiężne latarnie umieszczone po obu stronach frontowych drzwi oświetlały jego sylwetkę.

Abby postanowiła zachowywać się tak, jakby to, co zaszło na zebraniu, nie było dla niej żadnym zaskoczeniem.

- Nie przekonasz mnie, żebym zmieniła zdanie. Nie masz pojęcia, co twoja głupia inwestycja oznacza dla Hopetown.

Colin potrząsnął głową.

- Nie o tym chcę mówić. Proszę cię, to bardzo ważne. - Zerknął w górę, a potem znów spojrzał na nią. - Zostawiłem otwarte okno na wypadek, gdyby Jessie się obudziła. Musimy porozmawiać. - Zaczerpnął tchu. - Abby, przysięgam, że nigdy nie powiedziałem Harleyowi, co zaszło między nami.

Powaga w jego głosie kompletnie ją rozbroiła. Odwróciła wzrok i znów wprawiła w ruch huśtawkę, siląc się na spokój, jakby przeszłość nie miała już dla niej żadnego znaczenia. Nie było to jednak prawda, bo mimowolnie wzdragała się na myśl o tym, że ktoś mógłby znów połączyć nazwisko Hopewell z jakimś skandalem, nawet tak błahym jak młodzieńcza niedyskrecja sprzed dziewięciu lat. Zdrada, a później bezsensowna śmierć jej ojca, to aż nadto. Przez całe lata była

wolontariuszką i swoim nienagannym postępowaniem starała się przywrócić dobrą opinię ich nazwisku. A teraz kandydowała na burmistrza, bo miała nadzieję, iż uda się jej uratować rodzinne miasto przed kolejnymi powodziami.

Cofnęła się w cień, by nie było widać jej twarzy, i ścisząc głos, skłamała:

- To już nie ma najmniejszego znaczenia, skoro on i tak o tym wie. Jeżeli wystąpię przeciwko twojemu osiedlu, będzie próbował mnie szantażować, nie bacząc na to, kto przy tym ucierpi.

- Nie przyjechałem tu po to, żeby ktoś przeze mnie cierpiał. A już na pewno nie ty. - Colin przysiadł na balustradzie, opierając się o drewniany filar.

- Teraz się o mnie martwisz? - spytała ironicznym tonem. - Daj spokój. Wolałam już twoją brutalną szczerłość.

W świetle mosiężnych latarni mogła obserwować zmienną grę uczuć na jego twarzy. Gniew. Żal. Rezygnację.

- Nie chciałem mówić ci wszystkiego, bo po tym, jak cię potraktowałem, nie zasługuję na żadne względy. Teraz jednak widzę, że powinnaś wiedzieć. Nic nie powiedziałem Harleyowi. Ale on i tak się wszystkiego domyślił, czyli niepotrzebnie byłem wobec ciebie tak okrutny.

Abby, która przez długi czas czekała na jakieś wytłumaczenie, nie chciała teraz tego słuchać. Nie po tylu latach.

- Pochlebiasz sobie - zdołała tylko wykrztusić.

- Wiem, że cię wtedy głęboko zraniłem, i przez wiele lat miałem z tego powodu wyrzuty sumienia.

- Niepotrzebnie. Dostałam wprawdzie nauczkę, ale jakoś to przeżyłam - powiedziała, kuląc się wewnątrz pod jego przenikliwym spojrzeniem.

- Chciałbym w to wierzyć - powiedział Colin tak cicho, jakby mówił do siebie. - Chcę tylko, żebyś rozumiała, że nie wyparłem się tego, co było między nami. Ani tego, jak wiele dla mnie znaczyłaś, Abby. Byłem jednak kompletnie zdezorientowany. Pragnąłem cię przecież, odkąd skończyłaś czternaście lat. Także tamtej nocy, a ty byłaś w porównaniu ze mną taka młoda i niedoświadczona. Miałem przed sobą lata nauki - podobnie zresztą jak i ty. Poza tym dopiero wtedy do mnie dotarło, że nie pomyślałem o zabezpieczeniu. Moja lekkomyślność mogła nam obojgu zmarnować życie. A potem jeszcze ten Harley... Musiałem go jakoś uciszyć.

Sens jego słów z trudem docierał do Abby. Pragnął jej przez tyle lat? Nie mogła tego słuchać, chociaż kiedyś dałaby wszystko, by usłyszeć takie słowa. A teraz, kiedy jest już za późno...

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego na drugi dzień? Przecież byłam u was aż do dziewiątej. Czemu nie próbowałaś się później dowiedzieć, czy nie jestem w ciąży? Obawiałaś się przecież braku zabezpieczenia, prawda?

- Mój Boże, chyba nie byłaś? - zapytał z przerażeniem. - Nie, oczywiście, że nie - dodał, potrząsając głową. - Gdybyś wtedy zaszła w ciążę, „Torthuil” już dawno przestałoby istnieć.

- „Torthuil”? Co farma twoich rodziców miała wspólnego z moją osobą albo z nami?

- Więcej niż możesz przypuszczać. - Colin zaczerpnął tchu. - Właśnie dlatego tak późno wróciłem. Poszedłem się napić z Harleyem, bo

chciałem go przycisnąć i dowiedzieć się, co się wtedy naprawdę stało.

Abby... to on powiedział o nas twojemu ojcu! Sam się do tego przyznał.

- Co takiego? Ale po co? - Aż się zakrztusiła.

- Żeby wkupić się w jego łaski. Liczył na to, że dzięki jego protekcji dostanie dobrą pracę w Nowym Jorku.

- Przecież Harley był twoim przyjacielem. Colin zaśmiał się gorzko.

- Jak widać, chyba nie. Zawsze myślał tylko o sobie. Jeżeli to dla ciebie jakaś pociecha, to ci powiem, że twój ojciec nie wywiązał się z umowy, a Harley jest wściekły, że ugrzązł na dobre w Hopetown.

- Może dlatego wziął się, żeby nas zniszczyć. - Abby pokręciła głową. - Nie rozumiem, dlaczego tata nigdy mi o tym nie powiedział?

- Sądząc po tym, jak miło powitała mnie wczoraj twoja matka, jej także nic nie powiedział. Miał za to mnóstwo do powiedzenia moim rodzicom następnego ranka. Kazał mi się wynosić z miasta i nigdy więcej nie wracać. Zabronił mi też kontaktować się z tobą. A gdybym złamał zakaz, moi rodzice straciliby farmę. Albo gdybyś zaszła w ciążę. A ponieważ nie nękał już później moich rodziców, założyłem, że nie było dziecka.

Kojące odgłosy nocy ucichły. Abby wyprostowała się i przestała kołysać huśtawką. Przynajmniej jedno zostało wyjaśnione. Co jednak z resztą?

Całe lata rozterek, braku wiary w siebie, strachu przed uczuciem - to wszystko wina jej ojca!

A Tracy? To przez jej ojca przestały się przyjaźnić z Tracy.

- A pogrzeb Tracy? - zapytała. - Mówiło się, że to twój dowódca odmówił ci przepustki, ale tak nie było, prawda? To mój ojciec zabronił ci



przyjechać, nie mam racji? - Nawet nie czekała na odpowiedź, bo wiedziała już, do czego był zdolny jej ojciec. - Tak mi przykro, Colin. Nic dziwnego, że przyjechałeś tu przepelniony nienawiścią do mnie i mojej rodziny.

Colin ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie, to nieprawda. Nigdy nie czułem do ciebie nienawiści.

Owszem, byłem zły; czułem się też do pewnego stopnia winny. Twój ojciec twierdził, że to ty powiedziałaś mu o tym, co zrobiliśmy. Swoim wyznaniem naraziłaś moich rodziców oraz „Torthuil” na poważne niebezpieczeństwo i tylko o to miałem do ciebie pretensje.

Abby otworzyła szeroko oczy.

- Nigdy w życiu nie powiedziałabym ani słowa mojemu ojcu.

Zawsze mi przepowiadał, że przez swój temperament popadnę w kłopoty i okryję hańbą nasze nazwisko.

-I kto to mówił? On, który zdradzał twoją matkę? - Westchnął głęboko. - Jest jeszcze coś, za co powinienem cię przeprosić. Dopóki twoja matka nie wspomniała, że przestałyście się przyjaźnić z Tracy tamtego lata, obwiniałem cię o jej śmierć. Ponieważ byłyście nierozłączne, podejrzewałem, że to przez ciebie poznała Kiela Laughlina i że byłaś z nią tamtego dnia, kiedy zginęła.

Abby potrząsnęła głową, przytłoczona poczuciem winy. Dopiero teraz w pełni dotarło do niej, że jej zachowanie tamtej nocy pociągnęło za sobą tak tragiczne skutki. Oczy jej zaszyły łzami.

- Zanim zaczniesz bić się zbyt mocno w piersi, powiem ci, że ja winą za śmierć Tracy obarczałam ciebie. Myślałam, że wasi rodzice zabronili jej spotykać się mną, bo powiedziałeś im, że mam na nią zły wpływ. Albo że

podsluchali twoją rozmowę z Harleyem. Próbowalam ją ostrzec przed Kielem Laughlinem, ale ona nie chciała mnie słuchać. Myślałam, że gdybyśmy się nadal przyjaźniły, może by mi uwierzyła. Nie wiem, jak cię przeproszać - powiedziała, tłumiąc szloch. Łzy popłynęły jej po policzkach. - Ja... mój ojciec... jego groźby... To przeze mnie Tracy zginęła.

Colin potrząsnął głową i ze ściśniętym sercem patrzył na jej rozpacz. Jak mógł ją osądzać tak niesprawiedliwie? Nigdy w życiu nie było mu bardziej wstyd. Przecież Tracy zginęła prawie dziewięć lat temu, a Abby nadal nie pogodziła się z jej śmiercią.

Wiedziony impulsem, podszedł i objął ją, chcąc ją pocieszyć. Jej delikatny zapach był jak balsam na jego skołatane serce.

- Wszyscy ponosimy winę za jej śmierć, Abby. Twój ojciec próbował cię chronić. Mój próbował bronić swojej ziemi oraz swojej rodziny. Niestety, obaj posunęli się za daleko. Mama mówi, że tata powiedział Tracy o groźbach twojego ojca. Że nas zrujnuje, jeżeli ty nadal będziesz utrzymywała kontakty z naszą rodziną. Dla Tracy wizja życia w ubóstwie była największym zagrożeniem. Kochała cię jednak i dlatego była taka wściekła.

Na wspomnienie siostry oraz jej pokrętnego rozumowania, uśmiechnął się smętnie.

- Gdyby знаła prawdę i gdyby farma moich rodziców nie była zagrożona, Tracy poruszyłaby niebo i ziemię, żebyśmy mogli być razem. Abby wzruszyła ramionami.

- Mój ojciec nie miałby powodów, żeby wam grozić, gdybym nie przyszła do ciebie tamtej nocy. A ja myślałam wtedy tylko o jednym, że

cię pragnę i że może to być moja jedyna szansa. Ty jednak próbowałeś mnie zniechęcić; trzeba ci to przyznać.

- Przez jakieś dwie sekundy. Byłem starszy i bardziej doświadczony. Powinienem być cię odesłać do pokoju mojej siostry.

- Zrobiłam jeszcze coś - powiedziała Abby tak cicho, że musiał się nachylić, żeby ją usłyszeć. - Kupowałam Tracy ubrania i dawałam je waszej mamie, mówiąc, że to rzeczy, z których wyrosłam. Tracy zawsze powtarzała, że będzie musiała poszukać sobie bogatego męża, bo przyzwyczaiałam ją do luksusów. O tym, że to nie były żarty, przekonałam się dopiero wtedy, kiedy zaczęła się uganiać za Kielem, głucha na moje ostrzeżenia.

- Niestety, tutaj Tracy sama była sobie winna.

Abby odsunęła się i spojrzała mu w oczy, zaszokowana i gniewna.

- Tracy? Jak możesz tak mówić? Ona była niewinną ofiarą.

- Tracy nie była niewinną ofiarą. - Po rozmowie z Harleyem w „Blue Moon” Colin miał już jasny pogląd na wydarzenia tamtego lata. - Ty kochałaś moją siostrę i dawałaś jej prezenty, żeby sprawić jej przyjemność. Dostrzegłaś też, że popełnia błąd, i próbowałaś ją ostrzec, jednak cię nie posłuchała, prawda? Ja też ją kochałem, ale ona nie była od nas ani trochę lepsza. Różnica polegała na tym, że jej błędy okazały się tragiczne w skutkach.

Abby zamyśliła się. Łza spłynęła jej po policzku.

- Nadal nie mogę się z tym pogodzić, że jej nie ma - przyznała się. - Tak mi przykro, Colin. Tyle złego się wydarzyło, a mnie wciąż się wydaje, że to ja uruchomiłam ten łańcuch zdarzeń.

Jej smutek rozdzierał mu serce. Chcąc ją pocieszyć, znów wziął ją w ramiona. Tym razem jednak delikatny zapach jej perfum sprawił, że obudziła się w nim namiętność.

Przypomniawszy sobie tę noc, kiedy leżała w jego objęciach. Powiódł palcami po jej ramieniu, a potem uniósł jej twarz i delikatnie pocałował ją w usta.

Chciał ją przede wszystkim pocieszyć, ale jego ciało miało zupełnie inne potrzeby - jak wtedy, przed laty.

Jego uścisk stał się mocniejszy, pocałunek bardziej namiętny. Poczuli, że cały płonie.

Zapomniał już, że może tak być - że namiętność może zatrzymać serce, by w chwilę później pobudzić je do gwałtownego łomotu.

Otaczał go zapach mięty i lawendy. Abby była samą miękkością i słodyczą, a jednak podświadomie wyczuwał w niej pokłady ukrytej zmysłowości. Zanurzył palce w jej jedwabiste włosy, mocniej przycisnął usta do jej ust i wreszcie pojął, że wrócił do domu.

Serce jej biło dziko przy jego sercu, a gdy nakrył dłonią jej pierś, jęknęła i mocniej przytuliła się do niego. A potem nagle zeszywniała i w jednej sekundzie wszystko się zmieniło. Poczuli się, jakby ktoś wylał na niego wiadro zimnej wody. Oderwał usta od ust Abby i wypuścił ją z objęć.

- Abby, przepraszam - powiedział, patrząc w jej udręczone oczy. - Chciałem cię pocieszyć, ale...

- Nie przepraszaj - przerwała mu. - To moja wina. Nie powinnam była do tego dopuścić... - Potrząsnęła głową. - Nie robię takich rzeczy. Nie mogę. To kwestia braku zaufania. - Wstała i zaczęła się wycofywać. -

Braku zaufania do samej siebie - dodała i uciekła, jakby ścigały ją demony.

Pewnie tak było i, co gorsza, to on uruchomił te demony.

W tym momencie Colin zrozumiał, że przeszłość wycisnęła swoje piętno na Abby, zabijając w niej kobietę, jaką mogłaby się stać, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Koszmar tamtego lata wciąż był żywy w jej sercu i pamięci. Tymczasem to on uważał się przez wiele lat za główną ofiarę. Och, jakże się mylił!

Jego życie się zmieniło, bo kazano mu uważać się za kogoś gorszego. On jednak użył swego gniewu, by zrealizować swoje marzenia. Do rodzinnego miasta powrócił głównie po to, aby pokazać wszystkim, iż udało mu się osiągnąć sukces. Miała to być zemsta na dawno już nieżyjącym Jamesie Hopewellu.

Lecz kiedy tu wreszcie dotarł, gniew nagle wyparował. Dotarło do niego, że teraz wszystkie jego uczucia zogniskowały się w Abby.

Trudno mu było przypomnieć sobie czas, kiedy Abby nie byłaby dla niego kimś ważnym. Jak sięgał pamięcią, zawsze zajmowała poczesne miejsce w jego sercu. Na początku jako przybrana siostra, mimo iż miał swoich pięć. A potem, tego lata, kiedy zdał maturę, a Abby skończyła czternaście lat, wszystko zaczęło się zmieniać.

Abby przyszła popływać w rzece, jak zwykle w pierwszym dniu wakacji. On siedział w wodzie i namawiał swoją najmłodszą siostrzyczkę, Erin, żeby skoczyła w jego objęcia. Abby podeszła i próbowała dodać jej odwagi. Gdy ją zobaczył w bikini, z rozpuszczonymi włosami, oniemiał z wrażenia. Kiedy zdążyła rozkwitnąć z podlotka w tak przepiękną

dziewczyne? Przerażony, zapominając o siostrze, dał nura na głęboką wodę, by ukryć mimowolną reakcję swego ciała.

Od tamtej pory wszystko się zmieniło pomiędzy nim a Abby. Był to jeden z powodów, dla których wybrał wojsko, zamiast pójść do miejscowego college'u. Wyjechał z Hopetown, gdyż Abby stanowiła zbyt wielką pokusę. Niestety, w końcu jej uległ, bo gdy do niego przysła, nie potrafił nad sobą zapanować.

Jej obecna reakcja na jego pocałunki świadczyła o jednym - że coś się w niej zmieniło. Przestała mu ufać. W pierwszym odruchu pomyślał, że spróbuje odzyskać jej zaufanie i odbudować dawną przyjaźń, lecz chwilę później zrozumiał, że sama przyjaźń Abby już mu nie wystarczy. Nagle pojął, że pragnie nie tylko jej przyjaźni, ale i miłości.

Jessie już miała bzika na jej punkcie, dlatego widział jedno wyjście - małżeństwo. Miał różne wady, ale na pewno nie był niezdecydowany. Szybko podejmował decyzje, a potem równie szybko starał się je wprowadzić w czyn.

Szybko, być może, ale nie pochwopnie. Coś ich przecież w przeszłości połączyło, podobała mu się, odkąd jej kucyki ustąpiły miejsca fali czarnych włosów. A ona, jak widać, zawsze coś do niego czuła.

No i przepadała za jego dzieckiem. Gdyby traktowała Jessie obojętnie - wtedy by się zawahał, na szczęście było inaczej.

Jedyną przeszkodą na drodze ich szczęścia zdawała się być sama Abby. Nie dlatego, by nie odwzajemniała jego uczuć, lecz dlatego, że przed dziewięciu laty, z jego winy, straciła zaufanie do samej siebie.

Nadchodzące tygodnie zapowiadały się bardzo ciekawie. Kto wie, może okażą się przełomowe w ich życiu?

## Rozdział 7

---

Następnego ranka Abby z wahaniem podeszła pod drzwi pokoju Colina i Jessie. Po tym, jak uciekła przed nim z werandy, niewiele spała tej nocy. Zasnęła dopiero o brzasku.

Teraz, stojąc pod drzwiami pokoju numer dziesięć, próbowała zapanować nad nerwami. Prawdę mówiąc, bała się stanąć oko w oko z Colinem.

- Przecież to śmieszne - mruknęła sama do siebie. -W końcu to tylko mężczyzna, w dodatku mój znajomy.

Owszem, mężczyzna, który minionej nocy całował ją do utraty tchu, a ona ochoczo oddawała mu pocałunki.

Wzięła głęboki oddech i zapukała mocniej niż trzeba. W następnej sekundzie drzwi otworzyły się na oścież.

- Abby! - zapiszczała Jessie, obejmując ją w pasie.

Do tej pory tylko jej siostrzeniec Jamie witał ją z takim entuzjazmem. Czy rezerwa, jaką świadomie sobie narzuciła, doprowadziła do tego, że reszta rodziny się od niej odsunęła? Może i tak. Przypomniała sobie, jak dokuczała Samancie, kiedy jej pączkujący romans z Nickiem Verdi-nim wylądował na pierwszych stronach tabloidów. Może trzeba było wtedy uściskać Samanthę, zamiast ją krytykować?

Zamknęła oczy i poddała się uściskowi Jessie, tłumiąc łzy, które na pewno były skutkiem braku snu. Po raz kolejny nie potrafiła przyznać się przed sobą, że dobrowolnie skazała się na samotność.

- Miałem nadzieję, że wpadnę na ciebie - szepnął jej Colin do ucha.

Gdy ujął ją za rękę, przeszedł ją prąd. Straciła wątek, oblała się rumieńcem i bez protestów pozwoliła się wciągnąć do środka.

Miała zamiar powiedzieć im tylko o zamianie pokoju i od razu się wycofać, ale zanim zdążyła zebrać myśli, Co-lin zaczął mówić:

- Obiecałem Jessie, że ją wezmę do kina, i miałem nadzieję, że się z nami wybierzesz. Po drodze moglibyśmy wstąpić gdzieś na obiad.

Potrząsnęła głową, zanim zdążyła wymyślić powód odmowy. Bała się, że mogłaby ulec pokusie.

- Nie mogę - powiedziała szybko. Nie powiedziała „nie chcę” Tylko szczerą prawdę. „Nie mogę”.

- Proszę cię, och, proszę, Abby - odezwała się Jessie błagalnym tonem, podnosząc na nią oczy pełne rozpaczliwej nadziei.

Abby spojrzała na Colina. Miała ochotę udusić go własnymi rękami. Ten błysk w oku, ten przekorny uśmiech... Wiedział, że nie będzie chciała sprawić Jessie zawodu.

- Proszę cię, Abby - zawtórował cicho.

- Niby dlaczego? - zapytała, zapominając o obecności dziecka.

- Bo chcę, żebyś z nami poszła. - Spojrzał wymownie na córeczkę. - Później ci wyjaśnię, jeżeli musisz wiedzieć.

- Zastanowię się - powiedziała.

Czego mógł chcieć? Pewnie chodziło o „Torthuil Garden”, czy jak tam się miało nazywać to jego głupie osiedle. Mieć nadzieję, że chodziło mu o coś innego, byłoby czystą głupotą. A ona przecież nie była głupia.

- Przyszłam tylko powiedzieć, że muszę was przenieść do innego pokoju - wyrzuciła z siebie, chcąc mieć to za sobą. - Pokój, który teraz zajmujecie, został już wcześniej zarezerwowany przez parę, która ma dziś



przyjechać - powiedziała. - Wobec tego daję wam „siódemkę”. Jest tam duża sypialnia i mały pokój z łazienką. Pomyślałam sobie, że mógłbyś go używać, kiedy Jessie pójdzie spać. Jest to mały salonik z rozkładaną sofą i telewizorem.

Colin spojrział na nią podejrzliwie.

- Dajesz nam apartament?

Jęknęła zniecierpliwiona. Czyżby sugerował, że chce nadużyć jego konta, by go ukarać za grzechy młodości?

- Cena zostanie ta sama - powiedziała sucho. Tym razem to on cicho westchnął.

- Abby, stać mnie na to, żeby zapłacić więcej - powiedział poirytowanym tonem. - Nie sugerowałem też, że chcesz mnie oskubać. Byłem tylko zdziwiony, że masz wolny apartament, a nie chciałbym znowu przenosić Jessie, gdyby się okazało, że i ten pokój obiecałaś komuś innemu.

- Właśnie skończyłam go urządzać i nie mam na niego rezerwacji aż do jesieni. Do tej pory zdążysz chyba wyremontować „Torthuil” na tyle, by Jessie mogła w nim zamieszkać?

Colin pokiwał głową.

- Spakujemy się, a potem zejdziemy na śniadanie.

- Mam nadzieję że nowy pokój ci się spodoba - powiedziała Abby do Jessie, po czym szybko wyszła.

Abby siedziała w swoim biurze i oglądała plakaty wyborcze. Nagle zobaczyła idących korytarzem Colina i Jessie. Dziewczynka biegła przodem roztańczonym krokiem i oczy jej się świeciły. Abby uśmiechnęła

się, po czym spojrzała na jej tatę. Colin miał zasepioną minę, jakby próbował rozgryźć jakiś problem.

Nie był jednak na tyle zamyślony, by zapomnieć o dobrych manierach wpojonych mu przez Colleen i Liama McCarthych. Toteż zanim Jessie zdążyła wbiec do biura, położył jej rękę na ramieniu, aby ją powstrzymać.

- Co trzeba zrobić, zanim się wejdzie do czyjegoś pokoju? - zapytał, uśmiechając się ukradkiem.

Jessie przewróciła oczami.

- Trzeba zapukać - odparła z teatralnym westchnieniem.

- A jeżeli drzwi są już otwarte? - pytał dalej Colin.

- Mówi się „przepraszam”. Przepraszam panią, Abby. - Zapukała we framugę. - Mogę wejść?

- Ależ proszę. Bardzo mi miło. - Uśmiechnęła się Abby. - Jak ci się podoba twój nowy pokój?

Jessie podbiegła i rzuciła jej się na szyję.

- Jest cudowny. Zapytałam tatusia, czy może mi zrobić taki sam pokój w „Torthuil”

- A co tatuś powiedział? - Abby była ciekawa, jak Colin zareagował na zachwyty Jessie. Nie ubierał jej przecież jak małej dziewczynki. Czy zgodzi się urządzić część domu w tak kobiecym stylu?

- Tatuś powiedział, że potrafi zrobić karnisze i pomalować ściany - powiedziała Jessie. - Ale będzie potrzebował pomocy przy wyborze kolorów i materiałów.

A więc zapamiętał jej marzenia! Marzenia, z którymi musiała się pożegnać, kiedy pojawiły się inne priorytety - kwestia przeżycia, a potem uratowania „Hopewell Manor”.

Abby już jako dziecko interesowała się urządzeniem wnętrza. Kiedy jej dziadkowie się wyprowadzili, i matka mogła urządzić dom po swojemu, zawsze zabierała ze sobą Abby, ilekroć szła do sklepu z materiałami lub antykami albo do tapicera. Zawsze też pytała Abby o zdanie. A potem, gdy jej decyzje materializowały się w postaci mebli, poduszek, kotar i tapet, dla pięcioletniej dziewczynki było to jak czary. Kiedy miała jedenaście lat, kupiła w prezencie urodzinowym dla Tracy farbę i materiał na zasłony. Pani McCarthy pozwoliła im pomalować pokój Tracy, a sama uszyła zasłony i kapę na łóżko.

A Colin to zapamiętał!

- Często się zastanawiałem, co stało się z tą dziewczyną. - Colin przysiadł na brzegu biurka. Jego bliskość postawiła zmysły Abby w stan pogotowia.

Odsunęła się wraz z krzesłem. Miała ochotę posadzić sobie Jessie na kolanach. Nie mogła jednak posługiwać się dzieckiem jak tarczą, nawet jeśli rozpaczliwie potrzebowała wolnej przestrzeni.

Chciała także odpowiedzieć Colinowi, i to szczerze. Po krzywdach, jakich zaznał od jej ojca, zasługiwał na to, by się dowiedzieć, jaką degrengoladą stało się życie Jamesa Hopewella.

Wzięła plik broszurek wyborczych przygotowanych do wysłania.

- Jessie, może chciałabyś mi pomóc? Na werandzie, pod skrzynką na listy, stoi pudło. Mogłabyś je tam zanieść?

Kiedy Jessie znalazła się poza zasięgiem głosu, Abby powiedziała:

- Wiele się od tamtej pory zmieniło. Ojciec wybrał się na rejs swoim jachtem, mimo iż meteorolodzy przewidywali sztorm. Co gorsza, nie popłynął sam. Zabrał na pewną śmierć swoją nowo poślubioną żonę oraz dwie inne pary małżeńskie. Ich rodziny wystąpiły później do sądu. Wszystkie pieniądze po ojcu poszły na odszkodowania. Nam pozostały jedynie fundusze powiernicze, przeznaczone na studia moje i Samantha, oraz „Hopewell Manor”. Musieliśmy się jakoś utrzymać, a także utrzymać dom. Mama miała kawałek ziemi kupionej za odprawę rozwodową, więc pomyślała o posadzeniu winorośli, a my podporządkowałyśmy się jej planom. Samantha studiowała już rolnictwo, ja byłam na drugim roku studiów, ale musiałam zmienić kierunek na hotelarstwo. Caro zrobiła dyplom z zarządzania, a mama znalazła specjalistę, który pomógł nam uruchomić produkcję win. A reszta to już przeszłość.

- Mój szwagier Ed, mąż mojej siostry Mary, powiedział mi o rozwodzie twoich rodziców oraz o śmierci twojego ojca. Wspomniał też o jakichś problemach finansowych w związku z tą tragedią. Ale to było wszystko, czego się dowiedziałem.

- Erin była tu w zeszłym roku - powiedziała Abby. - Dziwię się, że nic ci nie powiedziała o winiarni i „Cliff Walk”. Przecież zatrzymała się u nas.

- Erin zawsze cię kochała. Wcale się nie dziwię, że będąc w tych stronach, wstąpiła do ciebie. Twoja rodzina zawsze stanowiła dla mnie bolesny temat i siostry o tym wiedziały, chociaż ani ja, ani rodzice nie powiedzieliśmy im, dlaczego. Panowała taka niepisana umowa, żeby przy mnie nie wspominać nazwy Hopetown, a tym bardziej nazwiska

Hopewell. Kiedy Mary z Edem odwiedzili mnie i Jessie w Kalifornii, Mary przez cały czas wbijała Edowi szpile za to, że mi powiedział.

Abby roześmiała się cicho. Najstarsza z córek McCarthych zawsze miała charakterek i wszyscy się z nią liczyli.

- Pamiętasz, jak bawiliśmy się z Tracy w dom, i wzięliśmy suknię Mary, którą sobie kupiła na bal maturalny?

Colin prychnął.

- Co tu się dziwić, że dach przecieka? Mary zdmuchnęła go wtedy swoimi wrzaskami.

- Jak ciocia Mary mogła zdmuchnąć dach, tatusiu? Tak jak zły wilk?

- Jessie wbiegła do pokoju i znowu wdrapała się Abby na kolana.

- To tylko żarty - powiedział Colin. - Ciocia Mary była po prostu wściekła na twoją ciocię Tracy i na Abby i strasznie na nie krzyczała.

- Ciocia Mary zawsze jest na kogoś zła - powiedziała Jessie, machając lekceważąco ręką.

Colin zacisnął usta, żeby powstrzymać się od śmiechu.

- To nieładnie, Jessie. Masz ją szanować, a to znaczy, że nie wolno ci mówić o niej źle. A teraz idź do kuchni i poproś Genevieve o lunch, który miała nam zapakować.

Po kolejnej serii uścisków i podziękowań za komnatę księżniczki Jessie odeszła, a Colin, nie tracąc czasu, przystąpił do rzeczy. To, co powiedział Abby, śmiertelnie ją przeraziło, bo wyglądało na to, że czyta w jej myślach.

- Abby, nie ma nic złego w powrocie do przeszłości - mówił, patrząc jej w oczy. - Przeżyliśmy przecież kilka dobrych chwil. Zbyt wiele nas łączy, więc nie ma sensu wciąż się unikać. Za bardzo nas też do siebie

ciągnie, byśmy mogli udawać, że jest inaczej. Myślę, że trzeba sprawdzić, dlaczego po dziewięciu latach nadal między nami iskrzy.

- Nie. Wcale nie trzeba. - Odwróciła się, wzięła z biurka plakaty i zaczęła udawać, że je ogląda, nie zwracając uwagi na Colina.

Niezrażony, powiódł palcem po jej szyi, a potem się nachylił i muskając oddechem jej włosy, powiedział:

- A jednak nie zaprzeczyłaś, że wciąż iskrzy między nami.

- Nic z tego nie będzie - stwierdziła stanowczo. — Jesteśmy po przeciwnych stronach barykady, a zapowiada się długa i podstępna walka.

- Postukała palcami w plakat. -Startuję w wyborach na burmistrza, Colin. Sam widziałeś, jakim oportunistą jest Harley Bryant. Trzeba go wysadzić z siodła, a spora część mieszkańców naszego miasta uważa, że tylko ja jestem w stanie to zrobić. Nie możemy się razem pokazywać, bo ludzie mogliby pomyśleć, że działam na szkodę ich interesów.

- Abby, nie możesz kierować się w życiu tym, co ludzie sobie pomyślą. - Colin spojrział na nią, a choć się uśmiechał, jego oczy były poważne.

Abby odsunęła się od biurka, a także od Colina. Chciała mu coś wytłumaczyć, lecz jego bliskość ją rozpraszała.

- Nie było cię tu, kiedy mój ojciec zrujnował nam życie swoim romanssem. Nie słyszałeś tych szeptów dookoła, tych współczujących uśmiezków. Nie musiałeś stawiać czoła plotkom. A potem jeszcze ta jego bezsensowna śmierć i nagle nazwisko Hopewell stało się tematem sensacyjnych wiadomości. Nigdy więcej nie chcę przeżywać czegoś takiego.

- A jeżeli powiem każdemu, kto ośmieli się zapytać, że poszłaś z nami tylko dlatego, bo obiecałem dać ci szansę na przekonanie mnie, jak ty widzisz sprawę osiedla?

Nagle w serce Abby wstąpiła nadzieja. Przecież jej obawy dotyczące rzeki nie były wcale takie błahe. Może zdoła go przekonać, by zmienił plany?

- A dasz mi taką szansę? - zapytała.

Colin przybrał nonszalancką pozę i czekał. Przypuszczał, że Abby nie zrezygnuje z prób storpedowania jego planów, lecz on także nie zamierzał ustąpić, bo zbyt wiele zależało od tego, czy powiedzie mu się z „Torthuil Gardens”. Inwestycja miała przecież być spełnieniem jego marzeń, a także marzeń jego ojca, który pragnął zachować rodzinny majątek dla przyszłych pokoleń.

- To osiedle to nie tylko kwestia napchania sobie kabzy - powiedział.

- A ta rzeka to kwestia znacznie poważniejsza, niż ci to próbował wmówić Harley Bryant. Gdybyś tu był na wiosnę...

- Dobrze - przerwał jej Colin. - Porozmawiamy o tym. Naprawdę gotów jestem cię wysłuchać, ale to wszystko, co mogę ci obiecać.

- Na jaki film pójdziemy? - zapytała.

Colin uśmiechnął się. Nie odniósł wprawdzie całkowitego zwycięstwa, ale lepsze to niż jednoznaczna odmowa.

- Jestem ojcem czteroletniej dziewczynki, więc nie oczekuj zbyt wiele.

- Musisz wiedzieć, że kocham kreskówki i filmy dla dzieci - powiedziała Abby z uśmiechem. - Mam przecież siostrzeńca. A Caro ma

małą córeczkę i jest bardzo zajęta, podobnie jak Samantha. Dlatego zostałam oficjalnie mianowana ciocią od kina i hamburgerów.

- Stać mnie na coś lepszego niż hamburger z frytkami - zaprotestował energicznie Colin.

- Wierzę, ale wiesz, jakie są dzieci. Jessie...

- Pani Genevieve mówi, że będzie ładna pogoda - rozległ się zasapany głos Jessie zza drzwi.

Colin zobaczył, jak Jessie ciągnie po podłodze torbę chłodziarkę.

- Mamy strasznie dużo jedzenia - powiedziała do Abby.

- Może pani pojedzie z nami i pomoże nam to wszystko zjeść? A wcześniej, kiedy tatuś będzie pracował, mogłybyśmy pójść na spacer. Pokazałaby mi pani wszystkie miejsca w „Torthuil”, gdzie się bawiliście. I może...

- Uspokój się, Jessie - przerwał jej Colin. Nie miał nic przeciwko zaproszeniu Abby na obiad i do kina, ale nie chciał jej się za bardzo narzucać. - Abby musi pracować, tak jak ja.

Jessie zwiesiła głowę.

- Och, jaka szkoda.

- Nie mogę, kochanie - Abby była szczerze zawiedziona.

- Niedługo przyjeżdżają nowi goście. Ale któregoś wieczora na pewno wybiorę się z wami na obiad i do kina.

Jessie rozpromieniła się.

- Naprawdę? Ale będzie wesoło. Nie mogę się doczekać.

- Ja też - powiedziała Abby z uśmiechem.

Jessie podeszła do biurka i oparła brodę na łokciach.



- Och... - jęknęła. - Dzisiaj będą taaakie nudy. Znowu będę musiała siedzieć przez cały dzień na werandzie „Torthuil”? - zapytała, przekrzywiając głowę.

Colin popatrzył na nią wymownie i pokiwał głową. Jej nadąsana minka świadczyła o tym, że go zrozumiała.

- Mam pomysł - wtrąciła się nagle Abby. - Może chciałabyś zostać tu ze mną, Jessie? Pomogłabyś mi, a twój tata mógłby spokojnie popracować.

- Nie, Abby, nie mogę cię o to prosić... - zaczął Colin.

- To nie ty prosisz, tylko ja - rzuciła suchym, rzeczowym tonem, który nie pasował do tej dziewczyny sprzed lat, jaką zapamiętał. Nigdy by nie przypuszczał, że życie tak źle potraktuje córkę zamożnej, wpływowej rodziny.

- Proszę cię tatusiu. Proszę - błagała Jessie. Wyglądała, jakby zaraz miała uklęknąć.

- Byłam tam z Erin na wiosnę - wtrąciła Abby, zanim Colin się poddał. - Lepiej, żebyś nie zabierał ze sobą Jessie, dopóki nie będzie tam bezpiecznie. Poza tym, jeżeli będziesz sam, na pewno więcej zrobisz.

Musiał jej przyznać rację, choć niechętnie. Poprzedniego dnia większość czasu pochłonęło mu bieganie po schodach tam i z powrotem, żeby sprawdzić, co robi Jessie. Bał się, że jakieś czworonożne stworzenie wypełźnie skądś i ją zaatakuje. A ona, zamiast wzywać pomocy, będzie próbowała się z nim zaprzyjaźnić.

- Rzeczywiście, bardzo byś mi pomogła - przyznał, po czym skinął w stronę Jessie. - Mają dzisiaj robić dezynsekcję, więc jeżeli Jessie nie będzie ci przeszkadzać...

- Nie proponowałabym ci tego, gdyby mi przeszkadzała -  
powiedziała Abby, po czym spojrzała na jego córeczkę i uśmiechnęła się. -  
Będzie niezła zabawa, prawda Jessie?

Colin chciał zapewnić bezpieczeństwo swojemu dziecku. Poza tym, mówiąc szczerze, Abby jako kobieta mogła nieco utemperować tego małego łobuziaka. A jednak skwapliwość, z jaką Jessie się na to zgodziła, trochę go ubodła. Zazdrość? Dostyc marudzenia. Miał przed sobą pracowity dzień. Trzeba skuć zawilgocony gips, wyrwać przegniłe belki, a może i pomóc przy dezynsekcji.

Spojrzał na Abby, która uśmiechała się do Jessie, i sam także się uśmiechnął. Niewykluczone, że powrót do Hopetown okaże się najlepszą decyzją, jaką podjął w życiu.

## Rozdział 8

---

Trzymając się za ręce, Abby i Jessie szły prywatną drogą do „Torthuil”. Jessie prawie biegła, zachwycona swoją nową, zieloną sukienką. Abby kupiła ją dla niej, kiedy wybrały się na zakupy. Pojechały do miasta, jak tylko Abby przyjęła nowych gości i pożegnała wyjeżdżających.

Z każdym dniem coraz bardziej przywiązywała się do córeczki Colina. Dziecko zdawało się zapełniać pustkę w jej sercu, do której istnienia dopiero niedawno się przyznała. A Colin, choć minął już tydzień, każdego dnia rozstawał się z Jessie równie niechętnie jak na początku. Widocznie tęsknił za nią bardziej niż ona za nim. Dla Abby było to bardzo wzruszające.

Jednak na dłuższą metę wzruszanie się czymkolwiek, co miało związek z Colinem McCarthym, mogło się okazać niebezpieczne.

Z tego powodu Abby nadal starała się go unikać, chociaż przychodziło jej to z trudem. Colin zawsze potrafił wymyślić jakiś pretekst, by się jej przypomnieć. Poprzedniego dnia przysłał jej kwiaty jako podziękowanie za królewski pokój Jessie w „Cliff Walk”.

Po raz pierwszy w życiu dostała od kogoś kwiaty!

Innym razem, kiedy nie widziała go przez całe dwa dni, przysłał jej gorzkie czekoladki, które tak lubiła.

Podejrzewała, że będzie walczył nieczysto, ale do jakiego stopnia, zdała sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy Jessie wręczyła jej imienne zaproszenie na piknik. No i jak tu odmówić?

I oto szła teraz dobrze jej znaną drogą do „Torthuil”, trzymając Jessie za rękę. Droga wiodła obok urodzajnych niegdyś sadów - po prawej stronie rosły czereśnie, a po lewej jabłonie i grusze. Widok zdziczałych, zaniedbanych drzew napawał ją smutkiem.

Potem zbliżyły się do najpiękniejszego, zdaniem Abby, miejsca na farmie, czyli do zielonego tunelu, utworzonego przez stare dęby stojące w dwóch szpalerach po obu stronach drogi.

Do domu, biegiem!

Oczom Abby ukazał się dom, który długo uważała niemal za własny. Niegdyś tętniło tu życie, słyhać było gwar i śmiechy, a teraz wyglądał jak opuszczona ruina. Poczowała uścisk w gardle.

Weranda, na której bawiła się w dom, w szpital, a wreszcie w Miss Ameryki, była w tak opłakanym stanie, że gdyby nie tymczasowe stemple wstawione przez Colina, mogłaby runąć przy najmniejszym wietrze.

Jasnożółta farba zniszczyła się, odsłaniając warstwy starszej bieli albo gołe drewno. Większość okiennic zwiśla krzywo, a ich jaskrawa niegdyś zieleń spłowieła i zszarzała.

Dom w obecnym stanie był przerażającym symbolem także jej smutnego, pustego życia. Uświadamiała to sobie na nowo każdego wieczora, gdy Colin wracał do „Cliff Walk”, by zjeść kolację, wziąć prysznic i pobyć z Jessie. Zawsze ją wtedy zapraszał na spacer albo na telewizję do ich pokoju, ale ona, oczywiście, zawsze mu odmawiała.

Miała mnóstwo czasu by przemyśleć sobie wszystko, co jej powiedział po zebraniu w ratuszu. Teraz, kiedy zrozumiał już, dlaczego jej życie potoczyło się tak, a nie inaczej, tym bardziej nad tym bolała. Została wygnana z „Torthuil”, osądzona i skazana bez procesu. Jej uczciwość i

miłość do nich nic nie znaczyły; uwierzyli w najgorsze. Świadomość, że jej ojciec, idol jej dzieciństwa, tak nikczemnie ją zdradził, była tym bardziej bolesna, bo wszystko, co się zdarzyło, było, prawdę powiedziawszy, jej winą. Ulegając uczuciom do Colina, straciła niemal wszystko inne, na czym jej zależało.

Gdzie by nie spojrzała, zewsząd bombardowały ją wspomnienia. Były miłe, dlatego im bardziej zbliżały się do „Torthuil”, tym bardziej chciało się jej płakać. Zaczęła żałować, że nie przyjechały samochodem, bo spacer piechotą pozostawiał zbyt wiele czasu na rozmyślania i wspomnienia.

Gorący wiatr znad rzeki szarpnął jej spódnicą i potargał kilka ciemnych kosmyków. Wciągnęła w płuca zapach mchu i świeżo ściętego drewna.

- Czy to w tej stodole schowałyście się z ciocią Tracy, kiedy ciocia Mary tak na was krzyczała? - zapytała Jessie, wskazując w stronę rzeki.

Abby roześmiała się.

- Kiedy przebierałyśmy się w jej sukienkę? Tak, to było tam. Tam też znalazł nas twój tata i powiedział twoim dziadkom, gdzie jesteśmy. Babcia przyszła do nas i wygłosiła kazanie na temat zabierania bez pozwolenia sukienek cioci Mary. Potem jednak poprosiła nas, żebyśmy posiedziały chwilkę w kryjówce, żeby i ciocia Mary dostała nauczkę. Więc zostaliśmy tam aż do wieczora, a twój tata przyniósł nam obiad i kolację.

Jessie zamyśliła się, a potem zapytała, marszcząc nosek:

- A czego się nauczyła ciocia Mary?

Zdaniem Abby Mary dostała wtedy życiową lekcję. Przykucnęła przed Jessie i powiedziała:

- Nauczyła się, że rzeczy nie są ważniejsze od ludzi. Potem była bardzo zmartwiona, bo myślała, że uciekłyśmy z domu ze strachu przed nią, kiedy tak na nas krzyczała.

Jessie pokiwała głową, ale jej młodziutki umysł już zwrócił się w innym kierunku. Pociągnęła za patchworkową narzutę, którą Abby wzięła ze sobą?

- Czy ona jest taka stara jak ty?

Abby zaśmiała się i wstała.

- Nie, ale zrobiłam ją z kilku starych sukienek.

- Czy kiedy wyrosnę z mojej, też uszyjesz mi z niej kapę na łóżko? -  
Jessie obróciła się na pięcie, dumna z nowej sukienki.

Był upał i Abby też założyła podobną sukienkę. Czuła się jednak niezręcznie, bo przywykła ubierać się inaczej. To Jessie zobaczyła tę kreację na wystawie sklepowej i strasznie chciała, żeby obie ubrały się podobnie. Nie miała serca jej odmówić. Suknia była jasnozielona, z ciemniejszą lamówką na cienutkich ramiączkach i odsłaniała ramiona oraz dekolt.

Ruszyły ku lekkiemu wzniesieniu, na którym stał dom, i ich uwagę przykuł głuchy odgłos dobiegający z góry. To Colin stał na rozebranych częściowo dachu i wstrzeliwał gwoździe w belki. Pomachał im, a potem wskazał na ostatni dąb, gdzie na najniższym konarze zawiesił nowiutką huśtawkę. Jessie z piskiem wskoczyła na nią i spróbowała się odepchnąć.

Colin krzyknął ze śmiechem:

- Baw się dobrze! - Następnie wrócił do pracy.

Jak to dobrze, że Jessie była zajęta nową huśtawką, a Colin swoją pracą, bo żadne z nich nie zauważyło, że Abby stanęła jak wryta,

zapatrzona w jego nagi, muskularny tors i grę mięśni, gdy kończył wstrzeliwać ostatnie gwoździe. Dopiero kiedy zniknął w głębi domu, otrząsnęła się i wróciła do rzeczywistości.

- Abby, popchnij mnie! - zawołała Jessie.

Abby rzuciła narzutę na trawnik przy drodze i zaczęła huśtać małą. Kilka minut później usłyszała głośny tupot i spojrzała na werandę. Colin w towarzystwie dwóch chudych chłopaków szedł właśnie ku schodkom. Wręczył każdemu z nich pieniądze, a jednego klepnął w plecy.

Chłopcy przeskoczyli przez chwiejną balustradę i wsiedli na rowery. Abby oderwała oczy od Colina i odprowadziła ich wzrokiem aż do końca alei. Jednego z nich rozpoznała. Jej siostra, Samantha oraz Will Reigner często zatrudniali go do różnych robót w winnicy.

- Ten blondyn jest całkiem do rzeczy - odezwał się Colin tuż obok niej. - Ale jego kumpla trzeba pilnować - ciągnął dalej, kompletnie nieświadom wrażenia, jakie jego bliskość wywierała na Abby. - Przekazałem to Gregowi, a on go nieźle pogonił.

- Co mówisz? - zapytała, bo nie mogła nadażyć za jego tokiem myślenia.

- Jego kolega się obijał, ale Greg sobie z nim poradził, zanim ja się pojawiłem. Greg będzie w przyszłości świetnym majstrem. Może ich jeszcze kiedyś wezmę do pomocy.

- Greg jest synem Henry'ego Chaffee - powiedziała Abby. - Przychodził do nas pytać o pracę, odkąd skończył dwanaście lat.

Colin zdumiał się.

- Nie skojarzyłem nazwiska. Dałbym głowę, że Henry poszedł po maturze na prawo.

Abby sprawiała wrażenie pochłoniętej bez reszty huśtaniem Jessie, ale po kolejnym pchnięciu zerknęła na Colina, który przed chwilą ochlapał się wodą

Drobne kropelki lśniły na jego ramionach i wśród ciemnych włosków porastających jego tors. Abby nigdy nie widziała czegoś równie pociągającego jak połyskliwa kropelka spływająca środkiem jego muskularnej piersi.

Odwróciła wzrok i chrząknęła, próbując rozszyfrować ukryty sens jego uwagi na temat Grega. Było w niej coś irytującego. Wreszcie zrozumiała, co ją rozdrażniło.

- Straszny z ciebie snob, Colinie McCarthy - powiedziała z wyrzutem.

Colina zamurowało.

-Co?

- Henry Chaffee prowadzi świetnie prosperującą kancelarię prawniczą. Ale jeżeli Greg chce mieć gry video albo wyczynowy rower, taki jak ten, na którym właśnie odjechał, musi sobie na niego zarobić. Henry stara się wpoić swoim dzieciom etos pracy oraz szacunek do pieniądza. Uważa, że przyda im się to w przyszłości, bez względu na to, jak łatwo pójdzie im w życiu.

Colin naciągnął podkoszulek.

- Jak, u diabła, mogę być snobem, skoro stąd pochodzę? - zapytał, wskazując na otaczające ich pola.

- Ale uważasz, że praca fizyczna jest poniżej godności pewnej kategorii ludzi. Przyznaj się, byłeś w szoku, kiedy zobaczyłeś, że sprzątam i ścielę łóżka w „Cliff Walk”. Dodam więc, że czyszczę także toalety i



robię pranie. Czy mnie przeszkadza, że machasz młotkiem i rozrucasz nawóz? Otóż nie.

- Czy wy się kłóćcie? - zaniepokoiła się Jessie.

- Oczywiście, że nie - bez mrugnięcia okiem skłamał Colin. - Tylko Abby nie zrozumiała czegoś, co powiedziałem. Ale jej wytłumaczę i wszystko będzie dobrze. A teraz przestań ją męczyć. Sama możesz rozbijać tę huśtawkę. Pobaw się tu przez kilka minut, a my wypakujemy lunch, dobrze?

- Dobrze, tatusiu - zgodziła się Jessie. Odchyliła się do tyłu i tak zamachnęła nogami, że huśtawka pofrunęła znacznie wyżej niż dotychczas.

- Zawołamy cię, kiedy wszystko będzie gotowe - powtórzył Colin. Nachylił się, podniósł narzutę i pojemnik z jedzeniem, po czym ruszył w kierunku drzewa rosnącego po prawej stronie domu, a Abby za nim.

Na słonecznej łące królował samotny wiąz. Było to jedyne drzewo w promieniu stu metrów. Pewnie dlatego nie padło ofiarą zarazy, która ostatnio dotknęła wiązy. Ziemię pod nim pokrywał gruby kobierzec świeżo skoszonej trawy. Colin, jak widać, nie próżnował.

- Myślałem, że dawno go nie ma - powiedział, spoglądając w górę na gęstą koronę drzewa.

- Nie zmieniaj tematu. Powiedziałeś Jessie, że wszystko mi wytłumaczysz.

Colin strzepnął narzutę w powietrzu, po czym rozłożył ją na trawie. Sięgnął po pojemnik i zaczął wypakowywać jedzenie.

- Nie jestem snobem, ale rozumiem, o co ci chodziło. Chyba mam kłopoty z przystosowaniem się do nowego porządku społecznego.

- Colin, oprócz rodziny Bryantów, trzymającej się kurczowo dawnego statusu, nie ma już tu czegoś takiego jak dawny porządek społeczny.

- Ależ Abby! Jesteś bardziej sfiksowana na punkcie nazwiska Hopewell niż którykolwiek z Bryantów.

Abby opadła na ziemię. Co za irytujący facet!

- Nazwiska, a nie statusu społecznego. Nasz dom znajduje się w rejestrze zabytków. Sam możesz to sprawdzić, bo przy drodze jest żelazna tabliczka umieszczona przez konserwatora. Ponad trzysta lat temu jeden z moich przodków założył to miasto. Jestem dumna z naszej historii. Twój przodek przybył tu i zbudował „Torthuil” przed ponad stu laty. To także jest powód do dumy. - Zależało jej na tym, żeby to zrozumiał. - Colin, po mojej śmierci nie będzie już żadnych Hopewellów. Nie było cię tu, kiedy mój ojciec przeżywał kryzys wieku średniego. Przez niego zginęło kilka osób. Chcę, żeby pamiętano nazwisko Hopewell nie tylko z tego powodu.

Colin spojrział na nią, mrużąc oczy.

- Więc zrezygnowałaś ze swoich marzeń, bo pokutujesz za jego grzechy?

Abby potrząsnęła głową.

- Nie, ja kocham moją pracę. A także „Cliff Walk”. I cieszę się, kiedy ludzie mają później dobre wspomnienia.

- Tego dnia, kiedy przeprowadzaliśmy się do innego pokoju, sama przeniosłaś nasze bagaże - powiedział. - Ja mogłem to zrobić. Nigdy nie chciałem, żebyś została służącą, Abby. Owszem, przyznaję, że życzyłem twojemu ojcu, aby dożył dnia, w którym poczuje się równie bezradny jak

ja i moi rodzice, kiedy nam zagroził, że nas zniszczy. Ale nie zastanawiałem się nad tym, co by to znaczyło dla reszty waszej rodziny.

- Twoje życzenia nie miały żadnego wpływu na to, co się stało.

Przyczyną były błędy mojego ojca. To, co teraz robimy - mam na myśli winnicę i winiarnię - jest dobre. Nie mamy już takiego konta bankowego jak przedtem, ale w porównaniu z innymi wiedzie nam się całkiem nieźle. A przecież wystartowaliśmy z beznadziejnej pozycji. Mamie pozwolono zostać w „Hopewell Manor”, dopóki nie skończę studiów, a potem miał się tam wprowadzić ojciec ze swoją nową żoną. Mama nie wspominała nam o swoim marzeniu, jakim było założenie winnicy, ale po śmierci ojca okazało się, że wszyscy jedziemy na jednym wózku. Mam nadzieję, że zrobilibyśmy to samo, nawet gdyby ojciec nie zginął. Myślę, że tak czy inaczej pomogliśmy mamie zrealizować jej marzenia.

- Myślisz, że ojciec nie byłby przeciwny waszym planom?

Abby prychnęła pogardliwie.

- Bądź realistą. Dostałby apopleksji, widząc Samanthę na polu, a mnie w recepcji „Cliff Walk”!

- A widzisz?

- Nie, ty to widzisz. Dla niego byłoby to poniżej jego godności. Ale ja nie jestem moim ojcem. Nie chcę, żeby nasza rodzina pozostała w pamięci tutejszych ludzi jedynie jako temat kiepskich żartów.

Colin patrzył na Abby mówiącą z takim przejęciem i miał straszną ochotę objąć ją i pocałować. Jej bliskość przeszkadzała mu skupić się na naprawdę ważnych sprawach, jakimi były budowa nowego osiedla i próba zrozumienia Abby oraz życia, jakie sobie stworzyła.

Abby miała rację. Była zupełnie inna niż jej ojciec, chociaż jako jedyna z córek była do niego podobna. Zresztą Colin także myślał inaczej. Nigdy w życiu nie dopuściłby do sytuacji, w której szczęście Jessie mogłoby być zagrożone przez kogoś, od kogo byłby zależny finansowo. Miał nadzieję, że uda mu się zrealizować swoje plany i wtedy sam będzie o wszystkim decydował. Postara się być sto razy lepszy dla ludzi niż James Hopewell. Może przyszła odpowiednia pora, by opowiedzieć Abby o innych swoich zamierzeniach?

- Chcę ci powiedzieć, że „Torthuil Gardens” to nie wszystko. Zainwestowałem w firmę budowlaną. Jej właściciel ma kłopoty i chce się wycofać. W ten sposób będę miał wystarczającą ilość sprzętu oraz ludzi, by przeprowadzić remont „Torthuil”, i ewentualnie zacząć budowę osiedla.

Abby pokiwała głową i spojrzała ze smutkiem na dom. Wtedy zrozumiał, że on i Abby będą musieli się pogodzić z tym, iż nie osiągną zgody w kwestii jego projektu. Widok Abby na tle starego domu McCarthy'ch tylko umocnił jego przekonanie. Wróciła tu, gdzie zawsze było jej miejsce.

- Abby, nie pozwólmy, by to osiedle stało między nami. Przestań się przede mną ukrywać. Pobądźmy razem przez jakiś czas i zobaczymy, co będzie dalej. Tylko ty i ja. I Jessie - dodał ze śmiechem, kiedy usłyszał małą gadułę.

Spojrzał na córeczkę. Miała na sobie sukienkę, a nie szorty, które jej przygotował tego ranka. Nie znał tej sukienki. Jak to możliwe, że jej nie zauważył? Nagle do niego dotarło, że zapomniał na chwilę o Jessie, bo to Abby pochłaniała go bez reszty w ostatnich dniach. Czy to możliwe?

- Jeśli już mowa o mojej córce, to czy zmusiła cię, żebyś pojechała z nią na małe zakupy?

- Nie, to raczej ja wyciągnęłam ją do miasta. Chciałam kupić parę rzeczy dla dzieci Samantha i Caro. A Jessie spodobała się ta sukienka.

- Więc jej kupiłaś? Nie wystarczy, że jej pilnujesz?

- Chciała włożyć sukienkę, ale ta, którą ma, nie jest odpowiednia na piknik... albo raczej... dla Jessie.

- To Erin przysłała ją na Wielkanoc. Jessie powiedziała, że jest za bardzo „bombiasta”. W każdym razie dziękuję.

- Nie ma za co. A co będzie na lunch?

Colin uniósł pokrywkę pojemnika i zajrzawszy do środka, nie mógł powstrzymać uśmiechu. To, co zobaczył, nie przypominało kanapek, o które prosił Genevieve. Zaczął wyjmować kolejno: butelkę Pino Grigio z winnicy Hopewellów, pokrojoną bagietkę, ser brie, pasztet z wędzonego łososa. Potem truskawki i sos czekoladowy, a na koniec kanapki z masłem orzechowym, mleko sojowe o smaku czekoladowym oraz kruche ciasteczka.

Kucharka najwyraźniej postanowiła zabawić się w swatkę. On zaś nie miał nic przeciwko temu.

Spojrzał na Abby. Patrzyła na romantyczny lunch przygotowany przez Genevieve i coraz ciemniejszy rumieniec oblewał jej policzki.

- O Boże! Co ona sobie wyobrażała?! Zamorduję ją! Słowo daję! Czy Jessie w ogóle jada ser brie?

Colin potrząsnął głową.

- Nie. Mówi, że wygląda obrzydliwie. Abby zakrztusiła się ze śmiechu.

Colin lubił jej śmiech i był szczęśliwy, że udało mu się ją rozbawić.

- Co mogę na to powiedzieć? Moje dziecko nie wie, co dobre. Ale są też kanapki dla Jessie. Ta twoja Genevieve to istny skarb.

- Skarb? To jędra - burknęła Abby.

Posmarowała bagietkę pasztetem, po czym odgryzła kawałek, ukazując równe, białe zęby. Colin zobaczył, jak zamyka oczy, wzdychając rozkosznie, i puls mimowolnie mu przyspieszył. Pokręcił głową i sięgnął po wino. Potem znów popatrzył na Abby. Miała odsłoniętą szyję, bo włosy związała na czubku głowy. Wiedziony impulsem wychylił się i pocałował ją w kark.

Mimo upału Abby zadrżała i zwróciła na niego szmaragdowe oczy.

- Nie powinieneś tego robić. Jessie mogłaby nas zobaczyć - powiedziała lekko zdyszonym głosem.

Nie potrafił ukryć uśmiechu satysfakcji i nie potrafił też oderwać od niej roześmianych oczu.

- Nie martw się o Jessie. Ona cię uwielbia. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się na drugim miejscu.

Abby się stropiła.

- Hej, wyluzuj się - przerwał jej Colin. - To dobrze, że Jessie nareszcie zachowuje się jak mała dziewczynka. Ślicznie dziś wygląda i ja się bardzo cieszę, że lubi z tobą przebywać. - Doskonale ją zresztą rozumiał, bo on także lubił być z Abby.

Odwrócił się i spróbował przypomnieć sobie swoją farmę taką, jaką kiedyś była, a jaka będzie całkiem niedługo. Co za cudowne uczucie móc znowu spędzać tu tyle czasu, ile się tylko zechce.

Tęsknił za Abby przez ten tydzień, a ona wciąż się przed nim kryła, traktując Jessie jak tarczę, kiedy nie mogła się przed nim schować. Rozpoczął więc szturm z pomocą kwiatów i jej ulubionych czekoladek. A ostatniego dnia Jessie nieświadomie wytoczyła ciężkie działa, przekazując Abby serdeczne zaproszenie na piknik, które pomogła jej napisać nieoceniona Genevieve.

- Skoro już mowa o tym, że ona lubi być z tobą - rzucił jakby od niechcienia, choć był wewnętrznie spięty - jeśli mamy się wywiązać z obietnicy danej Jessie, że zabierzemy ją do kina i na kolację, musimy to zrobić dzisiaj. Dziś jest ostatni dzień, kiedy grają ten film. Abby, powiedz tak. Co złego w tym, że spędzimy razem jeden wieczór? Przecież ci obiecałem, że wysłucham twoich argumentów przeciwko budowie osiedla. To twoja szansa, daję ci ją.

Abby ciężko westchnęła.

- Dobrze - powiedziała.

Colin omal nie podskoczył z radości. Jego dawne uczucie do Abby, uśpione przez tyle lat, rozkwitło z całą mocą, kiedy ją znowu zobaczył. Nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, był jednak pewny, że to, co czuł do niej wtedy i co czuje teraz, to miłość. Abby zawsze znaczyła dla niego więcej, niż nakazywał rozsądek. Przynajmniej teraz nie była dla niego za młoda. Jeżeli jego plan się powiedzie, już wkrótce będzie miał wystarczający prestiż i pieniądze, by pozbyć się kompleksów wobec jej nazwiska.

Może będą mogli pomyśleć o wspólnej przyszłości?

Będzie to możliwe tylko wtedy, jeśli uda im się porozumieć. Tej nocy, obiecał sobie. Tej nocy udowodni jej, że są dla siebie stworzeni.

## Rozdział 9

---

Czekając na Abby i Jessie, Colin krążył po holu „Cilff Walk” To tylko kolacja i kino, powtarzał sobie, choć miał nadzieję, że to coś więcej. Wspólny lunch był bardzo miły, ale potem mu się znów wzięło się do pracy, żeby przed zmrokiem nakryć dach. Spieszył się, bo znowu zapowiadano burzę.

Na odgłos kroków przyglądał włosy i odwrócił się. Nie była to jednak Abby, tylko drobna blondynka, która wydała mu się jakby znajoma, z niemowlęciami na ręku.

- Ty jesteś Samantha, prawda? - zapytał. - A to musi być Nikki.

Siostra Abby uśmiechnęła się.

- Tak. Słyszałam, że wróciłeś.

Colin nachylił się, żeby z bliska zobaczyć jej córeczkę. Była miniaturową kopią swojej mamy, z wyjątkiem oczu czarnych jak dwa węgielki.

- Witaj, maleńka - powiedział. - Teraz rozumiem, dla czego ten pies był dla ciebie trochę za duży.

Samantha przyglądała mu się przez dłuższą chwilę a potem powiedziała:

- Mój mąż, Nick, zwariował na punkcie Ameryki. „Amerykańska babcina musi mieć psa” - powiedziała z uśmiechem, naśladowując włoski akcent męża, lecz w jej oczach zapaliły się ciepłe błyski. - Odbiliśmy z Nickiem poważną rozmowę i pies powędrował do Jamiego. A wracając do



rzeczy, jestem tu z paru powodów. Po pierwsze, chcę cię ostrzec. Nie waż się znowu skrzywdzić mojej siostry.

Colin zachnął się.

-Skąd... ?

Samantha podniosła rękę.

- Nie wiem, co zaszło między wami, i nie chcę wiedzieć. To sprawa Abby. Ale pamiętam, przez jakie piekło musiała przejść, kiedy wówczas wyjechałeś z miasta.

- Słyszałem. Mogę tylko powiedzieć, że nigdy nie chciałem jej skrzywdzić i nie po to tu przyjechałem. Wróciłem, żeby zagospodarować tereny farmy i odremontować mój rodzinny dom. A może i po to, żeby zrozumieć, czego mi w życiu brakowało - dodał ciszej, po czym się odwrócił, bo w korytarzu znowu rozległy się kroki.

To nadchodziła Abby, cała w uśmiechach. Na wieczorne wyjście włosy miała rozpuszczone. W białym garniturze z przejrzystej bawełny wyglądała delikatnie i eterycznie. Colin nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Wiem już, czego mi brakowało - mruknął sam do siebie. Musiał to powiedzieć za głośno, bo Samantha odparła cicho:

- Myślę, że tak - dając mu wzrokiem do zrozumienia, że słowa te były przeznaczone tylko dla niego, podobnie jak treść ich wcześniejszej rozmowy.

Colin skinął głową i zwrócił się do Abby. Gdy ujął ją za rękę, serce zabiło mu szybciej. Wystarczyło, że weszła do pokoju, a już znajdował się pod jej urokiem. Tego wieczora będzie musiał mieć się na baczności. Wysłucha jej cierpliwie, kiedy będzie zgłaszała swoje zastrzeżenie wobec

jego planów, a potem wytłumaczy jej, jak ważny jest ten projekt dla niego oraz dla miasta.

Chrzążnięcie Samantha za jego plecami wyrwało go z rozmyślań. Nie puszczając ręki Abby, odwrócił się do Samantha. Popatrzyła na ich splecione ręce, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Wstąpiłam tu, żeby ci powiedzieć o koloniach dla dzieci, które organizuję w sierpniu. Zaczynają się za tydzień i będą trwały dwa tygodnie. Wiem, że Abby zgodziła się popilnować twojej córeczki do czasu, kiedy będziesz mógł ją zabrać do „Torthuil”. Pomyślałam sobie jednak, że może dobrze byłoby zapisać ją na te kolonie. Byłaby wprawdzie i młodsza niż większość dzieci, ale mam też kilkoro pięciolatek. Zatrudniłam dwie osoby do pomocy, więc dzieci będą miały dobrą opiekę.

- Sam nie wiem - powiedział Colin, spoglądając na Abby. Jessie byłaby zachwycona, ale on nie powierzyłby nieznanym osobom swojego dziecka.

- Zauważyłam, że twoja córka jest dosyć zadziorna, mimo wpływu, jaki ma na nią Abby. Jeżeli mnie w ogóle pamiętasz z tamtych czasów, ja też miałam dużo z chłopaka. Będzie kopanie w ogrodzie, sadzenie jesiennych roślin, będą wycieczki i projekty artystyczne. Musisz ją tylko podrzucić na placyk przed winiarnią około dziesiątej.

- Wiem, że zaczynacie pracę znacznie wcześniej - wtrąciła się Abby.

- Więc mogę popilnować jej do dziesiątej i później, po zakończeniu zajęć.

Colina nagle ogarnęła panika. Miał nadzieję, że niebawem będzie mógł zabierać Jessie ze sobą do „Torthuil”. Ostatnio prawie jej nie widywał. Dopóki nie zaczął zostawiać jej u Abby, nie było takiego dnia w całym jej życiu, żeby nie wstępował po kilka razy do domu, by ją

zobaczyć. A teraz widywał ją zaledwie trzy, może cztery godzinny dziennie.

-Naprawdę nie wiem... - zawahał się. - Już niedługo będzie się mogła bawić w „Torthuil”... a ja...

- Colin - Abby ścisnęła go za rękę. - Jessie potrzebuje dzieci do zabawy. Przecież ona nie ma żadnych przyjaciół. I nigdy naprawdę ich nie miała, sądząc po tym, co mi opowiadaliście o waszym życiu w Kalifornii.

W poczuciu winy, pokiwał głową.

- Ale chodziliśmy na place zabaw, gdzie mogła się bawić z innymi dziećmi. Nie zauważyłem, żeby tęskniła za...

- Bo nie można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało - powiedziała Abby. - Ona uważa brak innych dzieci w jej życiu za rzecz najzupełniej normalną.

Colin poczuł się jak idiota - i okropny ojciec. Nie znajdując słów, puścił rękę Abby i odwrócił się. W Los Angeles miał za sąsiadów głównie pracujące małżeństwa, kilka rodzin z nastolatkami oraz paru singli, ale nikogo z małymi dziećmi. Czasami tam, gdzie pracował, było w okolicy jakieś dziecko, ale znajomość kończyła się z chwilą, gdy przenosili się w inne miejsce. Były też „dzieci z parku”, jak zwykła nazywać je Jessie, jakby uważała, że dzieci należą do wyposażenia parków, tak jak place zabaw. Co z niego za kretyn!

Nagle poczuł dotyk dłoni na plecach i usłyszał miękki głos Abby:

- Jessie jest najszczęśliwszą dziewczynką na tym świecie. Dałeś jej coś, za co my trzy oddałybyśmy wszystko.

Colin wiedział, że miała na myśli siebie i siostry, ale nie rozumiał, czego im mogło w życiu brakować. Miały przecież wszystko, o czym

dzieci mogą marzyć. Odwrócił się i powiódł pytającym wzrokiem od Abby do Samantha.

- Dajesz jej bezwarunkową miłość - wyjaśniła Abby. - To największy dar, jaki mała dziewczynka może dostać od swojego ojca.

- Żadna z nas tego nie dostała - dorzuciła Samantha, a gdy zaczęła opowiadać, jak były traktowane przez ojca, Colin po raz pierwszy ujrzał ich dzieciństwo w zupełnie innym świetle, niż przedstawiała mu to Tracy. Caro była zmuszana do nauki, Samanthę krytykowano za to, że jest nie dość dziewczęca, a Abby, najmłodsza, patrząc na nie, uczyła się, jak zasłużyć na miłość ojca.

Teraz już rozumiał, dlaczego była taka pilna w szkole i czemu w domu zachowywała się jak mała dama. Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że „Torthuil” było jedynym miejscem, gdzie mogła być sobą.

Objął ją w talii, dając jej ten sam rodzaj cichego wsparcia, jak ona jemu przed chwilą. Zapach jej perfum uspakajał go, a zarazem niepokojąco podniecał.

Samantha poklepała go po ramieniu, jakby czytała w jego myślach, ale Abby nie zwróciła na to uwagi. Uśmiechnęła się do niego, a potem pogłaskała go po policzku.

- Jesteś dokładnie takim ojcem, jakiego mała Jessie potrzebuje.

Nagle rozległy się drobne kroczyki i do holu wbiegła radośnie Jessie.

- Abby, przypomniałam Genevieve, że tu mamy jeść. Powiedziała, że... Och! Jaka śliczna lalka! Mogę się nią pobawić? - zapytała błagalnym tonem, zatrzymując się przed Samanthą i Nikki. W tym momencie maleństwo odwróciło główkę, uśmiechnęło się i zaczęło gaworzyć. Jessie

odskoczyła przestraszona. - To prawdziwe dziecko? - zapytała. - Mogę je potrzymać?

- Oczywiście. Wskakuj na fotel - powiedziała Samantha.

- Lepiej nie - zaprotestował Colin, bo Jessie nigdy nie miała lalki. W sklepie z zabawkami zawsze wybierała komplet narzędzi dla dzieci. Może chciała zadowolić swojego tatusia?

- Musisz podeprzeć jej plecki, o tak - mówiła tymczasem Samantha do Jessie. Maleńka Nikki w ramionach Jessie nie wydawała się taka miniaturowa. - Mam pomysł - zwróciła się do Colina. - Umówiłam się tu z Nickiem na kolację, więc zjedzcie z Abby na tarasie, a Jessie niech zostanie z nami. W ten sposób lepiej się poznamy, żeby Jessie dobrze się czuła na koloniach. A po kolacji pójdziecie sobie we trójkę do kina.

Abby była wdzięczna siostrze za pomysł z koloniami oraz życzliwość okazywaną Colinowi. Mimo to miała ochotę ją udusić. Spodziewała się, że obecność Samantha i jej męża wybije Colinowi z głowy wszelkie romantyczne pomysły. Po spokojnym lunchu we troje liczyła na kolację w jadalni pełnej gości oraz z małą Jessie w roli przyzwoitki.

Wprawdzie tego popołudnia jej obecność nie okazała się konieczna, lecz oboje byli świadomi tego, że nie są sami. Natomiast sam na sam, na odosobnionym tarasie, o zmierzchu - to wręcz wymarzona sceneria romansu!

Bała się tego, bo czuła, że przy Colinie opuszcza ją spokój i przestaje nad sobą panować. Budziły się w niej uśpione i zgoła niepożądane pragnienia. Stanowił dla niej zagrożenie i bała się, że zaczyna przegrywać tę batalię!

O nie, jeśli chodzi o Colina, nie popełni po raz drugi tego samego błędu.

- Jessie zje z nami - powiedziała sucho. - Colin prawie jej nie widuje. Chciała się odsunąć, ale Colin mocniej ścisnął jej rękę.

- Nie - powiedział. - To prawda, że tęsknię za Jessie, ale wydaje mi się, że pomysł Samantha jest dobry. - Popatrzył na Jessie i Nikki. - Dzięki temu Jessie przyzwyczai się do Samantha jeszcze przed rozpoczęciem kolonii. A ja będę znacznie spokojniejszy, wiedząc, że poznała już twoją siostrę.

Abby zobaczyła, jak Samantha przykucnęła obok Jessie, która zasypywała ją gradem pytań o malutką Nikki. Jedno szczególnie ją rozśmieszyło.

- Czy pani jest mamą czy dzieckiem? Bo jeżeli mamą, to bardzo małą.

Samantha roześmiała się, a jej mąż, Nick, odpowiedział od drzwi:

- Tak, ona jest mamą Nikki, i tak, jest małą mamusią. Ale jest idealna.

Abby patrzyła na Samanthę i Nicka ze ściśniętym sercem. Nick uwielbiał swoją żonę i codziennie dawał jej do zrozumienia, że nie chciałby niczego w niej zmienić. Ich miłość była jak słoneczny promień. Piękna, lecz raniąca wzrok kogoś, kogo oczy przywykły do mroku. Samantha złagodniała pod wpływem miłości, lecz Abby zawsze podejrzewała, że jej szorstkość była tylko tarczą chroniącą ją przed cierpieniami, które zadawał jej ojciec.

W tym momencie stojący w foyer zegar po dziadku wybił szóstą - godzinę kolacji w „Cliff Walk”.

Samantha wzięła Nikki, która zasnęła w ramionach Jessie, i położyła ją do wózka. Cała czwórka skierowała się do jadalni, a Jessie nie przestawała zadawać szeptem pytań.

- Kiedy powiedziałam, że Jessie potrzebuje przyjaciół, miałam na myśli kogoś mniejszego niż Samantha i większego niż Nikki, ale dobre i to na początek - powiedziała z westchnieniem Abby. Wolałaby zjeść kolację w liczniejszym towarzystwie, pocieszała się jednak, że będzie miała szansę wpłynąć na Colina, by zmienił zdanie w kwestii osiedla. Nie robiła sobie jednak na to zbyt wielkich nadziei.

Wyszli na wybrukowane patio, z którego roztaczał się widok na winnicę, opadającą łagodnymi tarasami ku rzece. O tej porze dnia, przed zachodem słońca, połyskiwała w dole jak błękitna, atlasowa wstążka. Niestety, każdy, kto mieszkał lub pracował w jej sąsiedztwie, wiedział, że potrafi się przemienić w bestię. Piękną, zdradliwą i groźną. Abby kochała ją i nienawidziła jej zarazem.

Odwróciła wzrok i spojrzała na stolik. Genevieve nakryła go jak zwykle bardzo starannie, ale nazbyt romantycznie. Wino zostało już rozlane do kieliszków i zapalono świece. Na stole były tylko dwa nakrycia.

- O, siadajcie, kochani, siadajcie. - Genevieve pojawiła się w drzwiach, niosąc dwa półmiski.

Abby sapnęła gniewnie.

- Ja rozumiem, że jadalnia jest przepełniona, ale mieliśmy jeść z Jessie.

- Tak? - Genevieve udała zdumienie. - Mamy z Jessie inne plany. Dziwię się, że wam nie powiedziała. Była taka podniecona. Ponieważ

Samantha i Nick przywłaszczyli ją sobie, ja zjem z nią kolację innego wieczora. Oczywiście, o ile nie masz nic przeciwko temu, Colin?

Abby usłyszała za plecami cichy śmiech Colina, ale kiedy na niego popatrzyła, twarz miał kamienną. Przyjrzała się obojgu podejrzliwie, a potem powiedziała do Genevieve:

- Dobrze. Ale szkoda twojego czasu. A ty - zwróciła się do Colina - obiecałeś, że mnie wysłuchasz. Więc czy ci się to podoba, czy nie, będzie to biznesowe spotkanie.

- Abby, usiądź i baw się dobrze - powiedziała Genevieve, ale Abby potrząsnęła głową. A potem, odwróciwszy się, znowu popatrzyła na rzekę, która wiała się meandrami wśród pól rozciągających się za najstarszymi zabudowaniami „Torthuil”. Układała sobie w myślach listę argumentów, gdy poczuła, że Colin podszedł do niej.

- Wygląda tak malowniczo i niewinnie, prawda? - powiedziała.

Colin westchnął.

- OK, mów.

Abby przechyliła się przez balustradę i zaczęła mówić:

- Ostatnie lato było mokre i jesienią rzeka wystąpiła z brzegów w kilku miejscach. Zima nie była wiele lepsza; spadło też dużo śniegu. W związku z tym na wiosnę spłynęło z gór znacznie więcej wody niż zazwyczaj. Potem przyszedł huragan. Woda już i tak była wysoka, więc rzeka wylała. Ta połowa River Road została na dwa dni odcięta od reszty miasta z obu stron. Domy wzdłuż rzeki na przestrzeni kilku kilometrów zostały zniszczone. „Hopewell Manor” i „Torthuil” ocalały jedynie dzięki wałom usypanym przez naszych dziadków, ale trudno powiedzieć, jak długo te umocnienia wytrzymają. Nick ma przyjaciela, inżyniera, który



zaprojektował mur oporowy pomiędzy wałami a „Hopewell Manor”. Prace rozpoczęły się tuż przed twoim przyjazdem.

- Więc Harley kłamał, mówiąc, że chodzi ci tylko o twój dom?

- Harleya obchodzi tylko jego własny tyłek - wyrwało się Abby i dopiero śmiech Colina uświadomił jej, że przeholowała.

- Nie lubisz go, prawda?

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie spotkałam w swoim życiu nikogo, o kim miałabym gorsze mniemanie.

- Nie pozwólmy wobec tego, żeby ktoś taki zepsuł nam kolację.

Kiedy prowadził Abby do stolika, próbowała udawać, że nie czuje dotyku jego ręki obejmującej ją w talii. Nie było to łatwe, a jeszcze trudniej było jej zachować spokój, gdy posadziwszy ją za stołem, złożył pocałunek na jej karku. Nie zamierzała jednak zmieniać swoich planów na ten wieczór.

- Obiecałeś, że dasz mi szansę, bym mogła cię przekonać o rezygnacji z budowy osiedla.

Colin uśmiechnął się.

- Owszem, obiecałem, że pozwolę ci spróbować - powiedział, a widząc jej gniewny wzrok, westchnął. - Sprawdziłem, jak to było z tymi powodziami, Abby. Tego popołudnia rozmawiałem z grupą inżynierów. Oni twierdzą, że winne są przypiływy w górnym biegu rzeki, znacznie powyżej „Torthuil”. Mówili też o niekontrolowanym boomie inwestycyjnym na terenie naszego hrabstwa oraz całego dorzecza. Jedno małe osiedle nie może być przyczyną powodzi na taką skalę.

Jest taki sam jak wszyscy, pomyślała Abby ze złością

- Wszyscy uważają, że to nie ich konkretny projekt jest winny, i pewnie mają rację, ale ktoś musi wreszcie powiedzieć basta. Któraś z tych inwestycji zakłóciła równowagę i sprawiła, że sytuacja znacznie się pogorszyła w ciągu ostatnich dwóch lat. Ile jeszcze potrzeba, żeby nas kompletnie pogrążyć?

- Prowadzenie farmy metodą moich rodziców to już przeszłość. „Torthuil” jako ziemia rolnicza nie przedstawia żadnej wartości. Takie gospodarstwo nie utrzyma się w dzisiejszych czasach. Ryzykując przyszłość moją i Jessie, odkupiłem od moich siostr przypadającą im część spadku. Harley zapewniał mnie, że miastu potrzebne są wpływy z podatków od nowych inwestycji. Czyżby się mylił?

Niestety, tu się nie mylił. Szkoły były przeładowane i potrzebowały modernizacji, aby umożliwić uczniom dostęp do najnowszych technologii. Lokalne drogi wymagały pilnych napraw. Potrząsnęła głową w poczuciu klęski.

- Ja wszystko rozumiem, Colin. Możesz mi wierzyć. Ale czy twoje osiedle musi tak bardzo ingerować w środowisko, jak nam to przedstawiałeś?

- Abby, złożyłem przysięgę na grobie ojca, że utrzymam „Torthuil” dla przyszłych pokoleń. Nie zamierzam cię oszukiwać. Przysiągłem sobie też, tego dnia, kiedy twój ojciec przyszedł nam grozić, że już nigdy więcej nie będę biedny. Że nie złożę przyszłości mojej i moich dzieci w cudze ręce. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Chcąc nie chcąc, musiała pokiwać głową. Co mogła na to powiedzieć? Konsekwencje postępków Jamesa Hopewella zdawały się nie

mieć końca. Niewykluczone, że przyłożył rękę do upadku miasta, które przed ponad trzystu laty zakładali jego przodkowie.

- Te ziemie zostaną zabudowane, Abby - ciągnął dalej Colin. - Jeżeli nie przeze mnie, to przez kogoś innego. Postęp oznacza rozwój budownictwa. Nie jestem nieodpowiedzialny i wiem, co robię. Jestem w stanie wykonać to, po co przyjechałem, nie przysparzając wam dodatkowych kłopotów.

- Ile musisz mieć pieniędzy, żebyś uznał, że już wystarczy? Jaka to suma?

Colin zmarszczył w zadumie brwi, jakby się nigdy przedtem nad tym nie zastanawiał. W końcu powiedział:

- Nie wiem. W Kalifornii dobrze mi się powodziło, ale panuje tam wyścig szczurów, a ja nie rozwinąłem jeszcze firmy do tego stopnia, żebym mógł pomyśleć o przeprowadzce do ustronnego zakątka, jakim jest Hopetown. Dlatego przyjechałem tutaj z pewnym planem. Chcę, oczywiście, aby moja córka tu dorastała, ale nie chcę, żeby – jak ja przed laty – była jednym z biedniejszych dzieci w tym mieście.

- Wielu ludziom powodziło się znacznie gorzej. Twój rodzice stworzyli wam całkiem dobre życie.

- Tak - przyznał Colin. - Ale ja chcę, żeby miała to, co ty miałaś. - Pokręcił głową. - Nie, źle mówię. Po tym, co usłyszałem od ciebie i Samanthy o waszym życiu rodzinnym, pragnę dla niej czegoś więcej. Chcę, żeby miała dobra materialne i finansowe zabezpieczenie takie jak wy, ale i bezwarunkową miłość, jaką ja miałem.

Abby sięgnęła po widelec. Przyszła pora na skosztowanie pysznej pieczeni wołowej i zastanowienie się nad kolejnym posunięciem. Żądza

sukcesu, która tak ją denerwowała u Colina, wydała jej się mniej irytująca, kiedy się dowiedziała, że pragnął jedynie dać Jessie to wszystko, czego mu brakowało w dzieciństwie.

Musi być jednak jakiś inny sposób, by to osiągnąć.

RS

## Rozdział 10

---

Abby siedziała na werandzie, wdychając aromat gorącej letniej nocy i czekała, aż Colin położy Jessie do łóżka.

Jako dziecko uwielbiała lato. Słońce. Upał. Swobodę. Brak szkoły. Pływanie z Tracy. Pikniki nad rzeką i kolacje na tarasie jej domu albo na werandzie w „Torthuil”. Tamte czasy miały w sobie jakiś magiczny urok.

Ostatnie lata spędziła praktycznie w zamknięciu, ukrywając się w komfortowych, klimatyzowanych pomieszczeniach „Cliff Walk”. Jakże była głupia, próbując przekonać samą siebie, że tak jest lepiej. Dlaczego godziła się na to, by przykre wspomnienia pozbawiły ją uroków ulubionej pory roku?

Teraz, dzień po dniu, oswajała się z prawdą o wydarzeniach tamtego lata. Wreszcie skończyła się ta udreka, która towarzyszyła jej co roku w letnich miesiącach. Mimo to nadal odczuwała pustkę w swym życiu. Doskwierał jej brak uczuciowej stabilizacji.

Jej siostry miały mężów i nawet matka była bardziej skłonna wybaczyć Willowi Reignerowi, że zataił przed nimi prawdę o swoim majątku. Biedny Will zakochał się w Julianie od pierwszego wejrzenia i robił wszystko, by podbić jej serce. Mama była jednak uparta, i - jak Abby podejrzewała - bała się po raz drugi zaufać mężczyźnie.

Abby nie miała jej tego za złe, chociaż wieczór z Coli-nem i Jessie dał jej przedsmak tego, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby była w stanie zapomnieć o swoich obawach i potrafiła szczerze powitać miłość.

Przez chwilę wierzyła, że jej się to uda, lecz gdy w drodze powrotnej z kina Colin zaproponował lody, ogarnął ją strach. Nie pomogła radość Jessie, nie mówiąc już o jej własnej chęci przedłużenia wspólnego wieczoru. Strach okazał się silniejszy. Myślała tylko o jednym - co sobie ludzie pomyślą, widząc ich we trójkę. Szybko postanowiła jechać do „Cliff Walk” i obiecała Jessie lody z czekoladą i bitą śmietaną po powrocie do domu.

Jessie była zgodnym dzieckiem, więc chętnie na to przystała, lecz mina Colina nie wróżyła Abby nic dobrego.

Musiał ją uważać za tchórza - a przecież nim nie była. Bardzo ją męczyło to wieczne doszukiwanie się ukrytego sensu w każdej jej decyzji i każdej akcji. I to zarówno na forum publicznym, jak i prywatnym.

Kto mu dał prawo, by ją osądzać? Nie żył przecież jej życiem. Nie stracił tyle co ona. Wiary w siebie przede wszystkim. Świadomość, że to jej ojciec był przyczyną wszystkich nieszczęść, o które wcześniej obwiniała Colina, powiększała tylko konto przewinień Jamesa Hopewella, plasując zarazem Colina na liście jego ofiar.

Te rozmyślania przerwało pojawienie się Colina.

- Jessie zasnęła - oznajmił z uśmiechem.

Poczuła ukłucie w sercu - jak wtedy, gdy patrzyła na Nicka i Samanthę. Rozpaczliwie zapragnęła mieć kogoś, kogo mogłaby przytulić. Kogoś, kto wziąłby ją w ramiona.

- Wcale mnie to nie dziwi. Zasypiała już nad lodami.

- Myślała, że przyjdiesz otulić ją kołdrą. Ona cię uwielbia, Abby.

Posłuchaj, ci mili państwo z „dziesiątki” zaproponowali mi, że będą nasłuchiwać, gdybym chciał się przejść. Zostawiłem im numer mojej

komórki, gdyby coś się działo. - Spojrzał na księżyc. - Co ty na to? Mamy pełnię.

Abby pokiwała głową i wstała. Tak, spacer to idealne rozwiązanie, gdy głowa pęka od nadmiaru problemów. Kiedy przechodzili obok wozu Colina, otworzył bagażnik i wyjął patchworkową narzutę, którą mieli na pikniku.

- Chciałem ci jeszcze raz podziękować za wszystko, co robisz dla Jessie - powiedział, objąwszy ją ramieniem. Przysunął się bliżej i dostosował krok do jej kroku. Dlaczego było jej tak dobrze?

- Ta przeprowadzka do Hopetown przeraziła Jessie -ciągnął dalej Colin, nieświadomy jej rozterek.

- Wiem, że dom jej się- nie podoba, ale spróbuj jej dać trochę więcej czasu.

- W obecnym stanie on też mi się nie podoba. Kiedy go zobaczyłem, przeżyłem szok. Jessie nigdy nie mieszkała poza Los Angeles, a ja przeniosłem ją w całkiem inny świat. Żeby ją uspokoić, dałem jej kamyk, który zabrałem, opuszczając „Torthuil. Miał mi przypominać rodzinne strony.

- Tak mi przykro, Colin - powiedziała Abby, zastanawiając się, czy kiedykolwiek pozbędzie się poczucia winy.

Colin przystanął i położył jej ręce na ramionach.

- Było, minęło. Nie miej już wyrzutów sumienia. Pora spojrzeć przed siebie, w przyszłość. Umowa stoi?

Chciała spojrzeć w przyszłość, ale nie wiedziała jak, a także, czy powinna. Zamiast się jednak do tego przyznać, zmieniła temat.

- Mówisz o kamyku, który jej dałeś. Jak miał jej pomóc? Nie rozumiem.

Colin zaśmiał się i ujawszy ją za rękę, pociągnął za sobą.

- Powiedziałem jej, że to czarodziejski kamyk. Przez chwilę nawet w to wierzyła. Ale potem przyjechaliśmy tutaj i zobaczyła nasz dom i, mówiąc oględnie, wpadła w rozpacz. Tamtej nocy, kiedy zapukaliśmy do twoich drzwi, byłem zdesperowany. Nigdy w życiu nie widziałem u niej takiej hysterii.

- Musisz przyznać, że dom jest przerażający. Jessie ciągle opowiada o jakiejś nadbudowie z kamieni, takich jak ten, który jej dałeś, albo trochę większych. - Dorzuciła z uśmiechem. - Powinieneś jej pomóc je pozbierać.

- Mam nadzieję, że ten telefon znacznie przybliży ów moment.

- Tak? Ktoś dzwonił?

- Ben Warner. Ten gość, który sprzedaje firmę - wyjaśnił Colin.

Abby się przerażała. Wiedziała, czego się może spodziewać. Ale nie chciała tego po sobie pokazać, więc pokiwała głową.

- To wspaniała wiadomość - ciągnął dalej Colin, nie kryjąc podniecenia. - Warner zgodził się na moją cenę. Wszystko idzie według mego planu, na razie.

Nagle powiało chłodem. Abby mimowolnie zadrżała. To wstyd, ale w duchu liczyła na to, że właściciel firmy odrzuci ofertę Colina. A przecież powinna pragnąć tego, co najlepsze dla niego i Jessie. Z drugiej strony, nie mając wystarczającej ilości ludzi oraz sprzętu, musiałby przełożyć rozpoczęcie inwestycji na terenach „Torthuil”.

- Czego jesteś wobec tego właścicielem? - zapytała, nie chcąc po raz drugi tej nocy wdawać się w dyskusję o jego planach. Wzięła głęboki



oddech, żeby się uspokoić. Ciepły powiew przynosił ze sobą zapach koniczyny i róż. Wszystko wokół tonęło w czarownej, księżycowej poświacie. Noc była piękna.

- Mam wystarczającą ilość ludzi oraz sprzętu, by rozpocząć roboty. Zaczę od remontu domu, więc nie będzie przestojów. Jestem także właścicielem osiedla, którego budowa przyniosła Warnerowi duże straty. I to właśnie mnie martwi.

- Co cię w tym martwi? - Nie przypuszczała, że mógłby mieć jakiś powód do zmartwień. Zawsze był taki pewny swego, jakby wszystko miał zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach.

- Muszę wyciągnąć tę inwestycję z zapaści. A to może nie być proste.

Wyszli na łąkę skapaną w srebrzystej poświacie. Colin rozłożył patchwork na trawie, a potem usiadł i z uśmiechem wyciągnął rękę do Abby.

- Powiedz szczerze, czy cię to w ogóle obchodzi? A może życzysz sobie, żebym przegrał przetarg?

Uklękła przed nim i westchnęła. Dlaczego nie potrafi ukryć przed nim swoich uczuć?

- To prawda, że boję się tego, co może się wydarzyć, gdy zaczniesz budować. Ale pragnę także, żeby ci się powiodło. Możesz mi wierzyć.

Colin pokiwał głową i pomógł jej usiąść.

- A teraz porozmawiajmy o czymś innym, Abby. Na przykład o tym, dlaczego nie chciałaś wstąpić w mieście na lody.

Wzruszyła ramionami. Powiew wiatru uniósł ze sobą resztki magii.

- Bo byłam zmęczona.

Colin spojrział na nią z wyrzutem.

- To nieprawda. Nie życzyłaś sobie, żeby ktoś cię ze mną zobaczył.

Miał rację, ale Abby nie chciała mu robić przykrości a z drugiej strony bała się, że znów ją omota. Dosyć już oboje wycierpieli, a kiedyś marzyła o tym, by całe miasto widziało, jak ją zaprasza na randkę.

- To nie tak, że nie chcę się z tobą pokazywać. - Znów ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Miała ochotę wziąć go za rękę, ale bała się ryzykować, więc pomyślała, że spróbuje mu wytłumaczyć. - Ja po prostu nie mogę. Tu nie chodzi wcale o ciebie, tylko o mnie. O nich wszystkich. I o kam panie wyborczą. Większość wyborców nie zrozumie, że spotykając się z tobą, nie działam na szkodę miasta. Będą pytali, co to znaczy, a ja nie mam ochoty odpowiadać na dziesiątki pytań i tłumaczyć, że nie ma tu żadnego konfliktu interesów.

Colin przysunął się bliżej, pobudzając jej zdradliwe serce do galopu.

- A co to znaczy, Abby? - wyszeptał, muskając rozgrzanym oddechem jej ramię. Potem objął ją, uniósł ku sobie jej twarz i obwiodł kciukiem jej wargi. Wrażenie było tak porażające jak wtedy, gdy pewnej nocy przed laty ich usta po raz pierwszy spotkały się w pocałunku. Blask księżycy oświetlał zmienioną twarz Abby. Była pewna, że Colin widzi, co się z nią dzieje.

- Colin, proszę cię - zaprotestowała słabo i spróbowała go odepchnąć.

W odpowiedzi uśmiechnął się.

- Sądziłem, że mnie już nigdy nie poprosisz. Przez cały wieczór myślałem tylko o tym, żeby to zrobić. - To powiedziawszy, zamknął jej usta pocałunkiem, uciszając ewentualne protesty.

Jego palce powędrowały wzdłuż jej szyi, do rowka między piersiami, a potem zaczęły pieścić kolejno każdą pierś, podsycając jej podniecenie.

W jednej chwili zapomniała o całym świecie. Płomień, tłący się od lat, wybuchnął na nowo z całą siłą. Nareszcie zrozumiała, dlaczego od tamtej znamiennej nocy nie była w stanie zainteresować się poważnie żadnym innym mężczyzną. Po prostu zawsze pragnęła tylko Colina.

To nie księżycowa noc wprawiła ją w stan oszołomienia. To Colin.

Wyciągnęła rękę, szukając czegoś, na czym mogłaby się wesprzeć, lecz jej dłoń napotkała jego ciało. Colin westchnął cicho i zanim się obejrzała, leżała na wznak na miękkiej trawie. Colin wyciągnął się obok niej i spoglądał na nią z góry. Chciała coś powiedzieć, ale położył jej palec na ustach i wyszeptał:

-Ćśśś...

Potem ułożył się nad nią, zasłaniając sobą księżyc, a gdy wsunął udo między jej kolana, przekonała się, iż jest równie podniecony jak ona.

Znów napłynęły wspomnienia tamtej nocy. Rozpaczliwie zapragnęła go dotknąć i przytulić się do niego.

Jakby czytając w jej myślach, Colin szybko rozpiął jej bluzkę. Poczowała na piersi powiew chłodnej bryzy, a potem grad jego pocałunków. Zaczęła wyszarpywać mu koszulę ze spodni, ale ręce miała dziwnie osłabłe. A przecież odkąd powrócił, marzyła tylko o jednym - by dotknąć jego silnego ciała...

Nagle poczuła pod ręką wibracje jego telefonu. Colin przetoczył się z jękiem na wznak i wyjął z kieszeni komórkę. Abby leżała obok, kompletnie oszołomiona. Nie była w stanie zebrać myśli.

- Jessie się obudziła - powiedział. - Muszę wracać. Chodź do mnie, Abby. Tu nie miejsce na takie rzeczy, tak czy inaczej. Proszę cię, spędź ze mną tę noc, proszę, Abby...

Jego zaproszenie, tak podobne do tamtego sprzed lat podziało na nią jak lodowaty prysznic. Zerwała się na równe nogi, ciężko dysząc. Wiedziała już, że szczęście może znaleźć tylko w objęciach Colina, a jednak się cofnęła. Powstrzymał ją lęk przed powtórny zranieniem. Mimo to ból był tak silny, że łzy stanęły jej w oczach.

Boże, do czego to doszło? Czyżby postradała zmysły?

Swoim zachowaniem kompletnie zbiła z tropu Colina. Chciał ją zatrzymać, ale cofnęła się raptownie, omal się nie przewracając.

- Nie. Nie. Nie dotykaj mnie - wyszlochała. Dwie wielkie łzy stoczyły się jej po policzkach. - Proszę. Nie mogę. Przestań.

- Ale co? Nie mogę ci okazać, co czuję?

- Drowadzasz mnie do rozpaczy. Nie mogę pójść do ciebie. Pomyślałeś o Jessie? A jeżeli znowu się zbudzi i wejdzie do pokoju?

Nie, nie przyszło mu to do głowy, a choć Jessie nigdy dotąd nie zastała go z kobietą, wolał nie ryzykować.

- Nie mogę pójść do twojego pokoju, Abby. Muszę być w pobliżu Jessie, na wypadek gdyby się obudziła. Co prawda rzadko jej się to zdarza, ale jednak...

- Nie proponowałam ci czegoś takiego! Mówię, że nie możemy tego zrobić. Ani teraz, ani nigdy.

- Ale dlaczego? - zapytał. Jego mózg zdawał się pracować na zwolnionych obrotach. Rzeczywiście, nie zapraszała go do siebie.

Zdesperowany, przeczesał palcami włosy. -Przecież czułaś to samo co ja. Jestem tego pewny, więc nie próbuj się wypierać.

- Co czułam? - Potrząsnęła głową. - Sama nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Albo ty? Nie wierzę w takie porywy uczuć. Nie mogę.

- Wbiłaś to sobie do głowy, bo myślałaś, że cię wykorzystałem. Ale teraz już wiesz, że to nieprawda.

- Ale nie możesz zaprzeczyć, że po fakcie żałowałeś. Albo że wpadłeś w panikę na myśl o tym, że mogłabym mieć dziecko? Wciąż pamiętam, jak powiedziałeś mi, że nie mam ci za co dziękować, i wymknąłeś się z pokoju, żeby porozmawiać z Harleyem. Mogłeś po prostu zamknąć drzwi na klucz i poczekać, aż sobie pójdzie. Ale ty poleciałeś do niego. Nie było tak?

Nie mógł zaprzeczyć. Niestety.

- A teraz się dziwisz, że jestem nieufna? Owszem, bo zmysły przyćmiły mi rozum. Tak pewnie bywa, a potem człowiek budzi się po ślubie z kompletnie niewłaściwą osobą, i kończy się na rozwodzie.

Wtedy wreszcie zrozumiał, co miała na myśli.

- Tu chodzi o coś więcej, nie tylko o nas. Abby roześmiała się z goryczą.

- Oczywiście, że chodzi o coś więcej, niż tylko o pomyłkę jednej nocy.

- Myślałaś o twoich rodzicach? Ale ja nie jestem taki jak twój ojciec.

- Myślisz, że mama wyszłaby za niego, gdyby wyglądał na takiego człowieka, jakim się później okazał? Ani... -Zaczerpnęła tchu, a potem błagalnym tonem rzuciła - Proszę cię, zostaw mnie w spokoju.

Nie mógł tego zrobić, bo wiedział już, że nie zakochał się w niej dopiero teraz, tylko kochał ją zawsze. Wystarczyło poznanie prawdy, by zniknął gniew, który trawił go od lat. Pozostało jedynie zakazane niegdyś, głębokie uczucie.

Westchnął, po czym wstał, zabierając patchwork.

- Słyszałem, co powiedziałaś, Abby, ale nie zostawię cię w spokoju. Nie potrafię. Rano się zobaczymy.

- Nie wiem - odrzekła z nutą desperacji w głosie. - Dobranoc, Colin.

Patrząc, jak biegnie przez łąkę, Colin pomyślał, że miała rację, gdy mówiła o zgubnych skutkach namiętności. Wystarczy pomyśleć o kłopotach, jakie ściągnął sobie na głowę, sypiając z Angeliną. Była piękna i na tyle od niego starsza, by wydała mu się tajemnicza. Jej obycie i wykształcenie imponowały mu. A także doświadczenie. Wystarczyło, że na nią spojrział, a już płonął z pożądania. Dopiero kiedy zaszła w ciążę, przejrzał na oczy i zrozumiał, jaka była w istocie samolubna i płytką.

Wychowywanie Jessie sprawiało mu ogromną satysfakcję.

Przychodziły jednak takie dni, kiedy mu się wydawało, że przekracza to jego siły. Jessie bardzo ciężko przechodziła ząbkowanie. Całymi nocami nosił ją na rękach, a rano musiał być o siódmej na budowie. Któregoś dnia był już tak zmęczony, że wbił sobie gwoździe w rękę.

Była też dziewczyna, która go okradła, kiedy spał. Służył wtedy w wojsku. I była oczywiście Abby i James Hopewell, który zagroził mu, że zniszczy jego rodziców. „Naucz się trzymać zapięty rozparek” - powiedział mu ojciec, gdy odprowadzał go do samochodu tamtego ranka. Nie posłuchał go, gdy poznał Angelinę. I teraz też nie zamierzał go słuchać, bo był z Abby.

Ani przez moment nie wątpił w swoje uczucia do Abby. To wszechogarniające pożądanie musiało znaczyć coś więcej. Nie zadowoliliby go samo pójście z Abby do łóżka. Chciał ją mieć u swego boku na zawsze.

Niestety, Abby nie była pewna własnych uczuć. Jak więc miał ją przekonać, że są sobie przeznaczeni?

Powinien jej udowodnić, że może mu zaufać. A potem, kto wie? Jedno wiedział na pewno: że zrobi wszystko w tym celu. Położył rękę na sercu i popatrzył na ciemne okna pokoju Abby.

Nie mógł znieść myśli, że mogłaby go odtrącić.



## *Rozdział 11*

---

Abby stała na ulicy przed sklepem z antykami, w którym nieoficjalnie urzędował jej sztab wyborczy.

Patrzyła na Muriel Haversham, siwowłosą właścicielkę najstarszego antykwariatu w mieście, która trajkotała jak karabin maszynowy:

- Chcę od ciebie usłyszeć, że nadal jesteś po naszej stronie, moja droga. To dla mnie bardzo ważne. Ten antykwariat istnieje od ponad osiemdziesięciu lat. Otworzył go mój ojciec. Jeżeli miałby zostać zalany podczas następnej powodzi, wolę zamknąć dom na kłódkę, sprzedać sklep i przebiec się na nowo wybudowane osiedle dla emerytów koło Moorestown. Kiedy Henry Chafee powiedział mi, że jego syn widział cię z Colinem McCarthym i jego córką w „Torthuil”, byłam pewna, że twoja wizyta miała na celu przekonanie go, aby zrezygnował z tej swojej budowy. Ale potem Francy i Ed przysięgali, że widzieli was w kinie. To wygląda mi raczej na randkę. Nikt oczywiście nie będzie miał ci tego za złe. Colin to bardzo przystojny mężczyzna. Jeżeli jesteście parą, powiedz mi, i nie mówmy już więcej o tym.

- Jest mi bardzo przykro - powiedziała Abby. Prawdę mówiąc, była załamana. Nie spodziewała się, że ludzie będą plotkować o jej życiu prywatnym, a co gorsza, kwestionować jej uczciwość. - Jak mogłaś podejrzewać mnie o to, że byłabym w stanie zdradzić naszą sprawę z powodu jakiegoś mężczyzny? Przysięgam, że próbowałam go przekonać. - Serce biło jej głucho, gardło miała ściśnięte. - Jessie nie zna tu nikogo i



jest taka samotna. A ja próbuję jakoś temu zaradzić. - Była to prawda, lecz połowiczna.

Muriel załamała rękę.

- Jak możesz zadawać się z Colinem, skoro stoicie po przeciwnych stronach barykady?

Jej rozpacz była tak autentyczna, że Abby znowu poczuła się winna.

- Zgodziliśmy się z Colinem, że będziemy mieć w tej sprawie odrębne zdanie. - Była to prawda. - Posłuchaj - mówiła dalej, chcąc uspokoić starszą panią, która niewątpliwie powtórzy później całemu miastu treść ich rozmowy - Colin McCarthy był bratem mojej najlepszej przyjaciółki. Dla mnie też był jak starszy brat. Miałabym teraz udawać, że go nie znam, bo mamy różne zdania na temat polityki lokalnej?

- Więc to nieprawda, co ludzie mówią? - zapytała Muriel. Abby nie mogła sobie przypomnieć czasów, kiedy nie kochałyby Colina, a uczucie to powróciło teraz ze zdwojoną siłą.

- Nadal jestem w opozycji do niego i Harleya. I jeżeli zostanę wybrana, użyję wszelkich mocy, aby nie dopuścić do tej budowy. Możesz to powtórzyć każdemu, kto ma jakiegokolwiek wątpliwości. Każdemu, kto będzie chciał tego słuchać. Liczę na ciebie.

- A my na ciebie.

Abby ujęła kruchą dłoń Muriel.

- Powstrzymam ich, ale żeby móc to zrobić, muszę zostać wybrana. Colin mi w tym nie przeszkodzi. Obiecuję.

Będzie go unikała, już mu to zapowiedziała. Co za szczęście, że nikt nie widział ich na łące tej nocy! Nikt by nie uwierzył w żadne jej słowo.

Miniona noc nie ma prawa się powtórzyć.

Colin przytrzymał wahadłowe drzwi między jadalnią, a kuchnią.

- Genevieve, nie widziałaś Abby i Jessie?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Co za dziwna odpowiedź, pomyślał.

- Dlaczego pytasz? - powiedział, wchodząc do środka.

- No więc po kolei. - Oparłszy się o kwadratową wyspę pośrodku kuchni, Genevieve skrzyżowała ręce na piersi. Abby i Jessie skończyły roznosić po pokojach ręczniki. Potem Abby siedziała w biurze, a my z Jessie piekłyśmy ciasteczka. Abby wspominała też, że musi podrzucić Julianie jakieś broszury. Może już nawet wróciła i wykonuje inne brudne prace.

Ostatnie zdanie mówiło samo za siebie. Abby zraziła do niego jego cichą współniczkę.

- Abby powiedziała ci, że jestem snobem. Genevieve zgromiła go wzrokiem, a potem odwróciła się i zaczęła hałasować garnkami.

- Owszem, mówiła coś takiego - powiedziała, przekrzykując kuchenny harmider. - A teraz przepraszam, ale wy najęta kuchta musi pozmywać.

- Na miłość boską! - jęknął Colin. Dopadł zlewu, chwycił garnek po zupie i zaczął go szorować druciakiem. Kiedy zakręcił kran, dotarło do niego, że w kuchni panuje głęboka cisza. Odwrócił się i zobaczył Genevieve wpatrującą się w niego ironicznie.

- O co chodzi? - zapytał. - Nie wyglądam na snoba? Genevieve wskazała mu stołek.

- Usiądź, porozmawiamy. Bo Bóg mi świadkiem, że nie uda mi się wydusić prawdy z Abigail Hopewell. Ta dziewczyna nabrała wody w usta.

- Zapytałam ją, dlaczego cię unika od czasu wyprawy do kina.

Powiedziała mi na to, że gardzisz pracą, którą tu wykonuje. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, bo widziałam, jaki brudny przychodzisz po tych robotach na farmie. Z drugiej strony, Abby raczej nie kłamie.

Myślał, że dogadali się z Abby w tej sprawie, ale widocznie się mylił.

- Może ona ma rację. Ale nie chodzi o to, że uważam jakąkolwiek pracę za poniżającą. Chodzi mi o Abby. Patrząc nie mogę, jak wykonuje prace, do których się nie urodziła. Tak być nie powinno. Nie zasłużyła na to. Ani jej matka. Ani jej siostry. Może wyrażam się niejasno, ale...

- Ty się w niejkochasz.

Obcesowa odzywka Genevieve sprawiła, że stracił wątek. Przełknął ślinę. Nie przyznał się do tego głośno przed nikim, lecz przypominał sobie własne uczucia tyle razy, że przestał się bać prawdy. Natomiast Abby nie jest jeszcze na to gotowa, ale to nie znaczy, że on ma kłamać.

- Tak, jestem w niej zakochany - przyznał się. - Lecz Abby nie wierzy w miłość - dodał, kręcąc głową. - A może nie ufa samej sobie? Dlatego tak pilnuje, żebyśmy nie zostali sami. Co gorsza, narzuciła sobie emocjonalny dystans, wykluczając wszelkie bliższe związki. Nie chce nawet spróbować. - Opadł na barowy stół. - Nie wiem, co robić.

Ująwszy się pod boki, Genevieve popatrzyła na niego jakby był niedorozwinięty.

- Zalecaj się do niej, ty idioto. Znajdź coś, czego nikt inny nie może jej dać, a potem okaż jej, co czujesz. Rozkochaj ją w sobie! A teraz idź jej poszukać i bierz się do roboty! Pogroziła mu palcem, ale kąciki jej ust drgnęły w uśmiechu -I niech wasze pierworodne dziecko nosi moje imię.

Colin wstał i uśmiechnął się. Po raz pierwszy od tygodnia, odkąd Abby zostawiła go na łące, poczuł się lepiej.

- Dobrze. - Pchnął drzwi do jadalni. - Ale ostrzegam cię - rzucił przez ramię. - Powiem naszemu synowi, że to ty kazałaś go ochrzcić „Genevieve”.

Genevieve wybuchnęła śmiechem. Może Abby też zacznie się śmiać któregoś dnia? Co robić, żeby znów zaczęła być sobą w jego towarzystwie? Bo te jej uprzejme rozmówki i grzecznościowe uśmieški doprowadzały go do szału! Tęsknił za Abby - tą z pikniku i z kina, która wesoło gawędziła z Jessie, jedząc lody w kuchni. To była ta dawna Abby którą kochał od zawsze.

Wreszcie zobaczył ją z Jessie wśród krzewów winorośli rozmawiającą z Samanthą i przypomniały mu się słowa Genevieve: „Znajdź coś, czego nikt inny nie może jej dać”.

Może zdołałby jej przywrócić choćby część miłych wspomnień z „Torthuil”, pokazując jej, jak przebiega remont? Widok domu w poprzednim stanie bardzo ją przygnębił mimo to obiecała im, że pomoże urządzić pokój Jessie. Był by to dobry pretekst, żeby ją tam ściągnąć. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Jakiś cichy, wewnętrzny głos podpowiedział mu: Jest jeszcze coś, co mógłbyś zrobić. Mógłbyś zmienić plany rozbudowy „Torthuil”. Westchnął i zasiadłszy za kierownicą pickupa, patrzył na kobietę, której tak bardzo pragnął - nie tylko jako matki dla swojej córki, ale również jako żony dla siebie.

Jednak nawet dla niej nie potrafiłby chyba wyrzec się swoich marzeń.

Skończył niedawno rysunki osiedla. Będzie tam tak pięknie. Domy były superkomfortowe, ale mniejsze niż rezydencje wyrastające jak grzyby po deszczu na przedmieściach Filadelfii. Zaprojektował ponad dwadzieścia rodzajów, a spójnym motywem miały być elementy z polnego kamienia, zaprojektowane indywidualnie dla każdego domu. Pokaże jej szkice. Może nie będzie protestować tak gwałtownie. Obawiał się jednak, że będzie.

Potrząsnął głową i wysiadł z samochodu. Postawił go na końcu parkingu dla gości „Bella Villa”. Spokojne gesty Abby powiedziały mu, że nie zauważyła ani jego, ani jego pickupa. Podchodząc do niej, starał się chować za rzędem wysokich, rozrośniętych krzewów. Dopiero gdy dotarł do końca szpaleru, Jessie zobaczyła go i rzuciła się w jego stronę z okrzykiem:

- Tatuś!

- Kotku! Byłaś grzeczna? Pomagałaś Abby? - zawołał, chwytając ją w ramiona i unosząc do góry. A potem, posadziwszy ją sobie na biodrze, skinął głową w stronę pań.

- Jak tam roboty w twoim domu? - zapytała Samantha.

Dzięki za dobry wstęp, Samantho, pomyślał Colin

- Dziś wstawiliśmy płyty kartonowo-gipsowe do pokoju Jessie.

Skończyłem też odnawianie okien. Potem wziąłem prysznic i wróciłem wcześniej niż zwykle, bo chciałem zapytać Abby, czy może przyjechać i pomóc Jessie wybrać kolory. Moglibyśmy wrócić na kolację - dodał, by uciąć w zarodku wszelkie obiekcje.

- Możesz z nami pojechać, Abby? Możesz? - prosiła Jessie, wychylając się z ramion Colina w stronę Abby. - Obiecałaś, że pomożesz tatusiowi urządzić dla mnie pokój księżniczki.

Samantha spojrzała na zegarek.

- Ojej, która to już godzina! Muszę wracać do domu, żeby nakarmić Nikki. - Popatrzyła na Abby. - Chciałam się tylko upewnić, czy nas poprzecz, kiedy mama zacznie się wściekać, że głosowaliśmy za przedłużeniem umowy z Willem. Trzeba stworzyć wspólny front. Mama będzie miała pretensje, ale to dla jej dobra. Ona musi wreszcie zmierzyć się ze swoimi uczuciami do niego.

Abby prychnęła, lekko zirytowana.

- Powiedziałam, że was poprę, i dotrzymam słowa.

- W porządku - powiedziała Samantha. - Bawcie się dobrze, dzieci. - Odwróciła się i poszła w kierunku swojego wozu, zaparkowanego przy drodze dojazdowej na drugim krańcu pola.

Abby otworzyła usta, by je zaraz zamknąć, i tylko jej szmaragdowe oczy miały błyskawice. A potem musiała zdać sobie sprawę, że na moment przestała panować nad sobą, bo płomień w jej oczach zgasł.

Lepszy gniew niż obojętność, pomyślał Colin, który zdążył go jednak zobaczyć. Lepszy, ale przecież nie o to mu chodziło. Postanowił skierować rozmowę na bardziej neutralne tory, pytając o Samanthę.

- Możesz mi powiedzieć, o co jej chodziło? Chyba że to jakaś tajemnica?

- Chodzi o mamę. - Abby wzruszyła ramionami. - Will Reigner szaleje za nią. Jest u nas od ponad sześciu lat i wciąż próbuje zdobyć jej serce, pomagając jej w zarządzaniu firmą. Kłopot polega na tym, że zataił

przed nią prawdę, bo jest bardzo zamożny, a udawał zwykłego winiarza. A mama po małżeństwie z moim ojcem czuje awersję do bogatych mężczyzn. Nie ufa im i Willowi też nie, bo ją okłamał. Dziś rano na zebraniu zarządu naszej firmy wbrew woli mamy zdecydowaliśmy przedłużyć kontrakt z Willem. Wyobrażam sobie te dantejskie sceny, kiedy mama się o tym dowie.

Colin gwizdnął cicho.

- Twoje siostry uważają, że ona się w nim kocha, tak? -Tak.

- I w przeciwieństwie do ciebie są zdania, że gra jest warta tych dantejskich scen?

Abby znowu wzruszyła ramionami i jakby posmutniała. A potem Jessie odciągnęła jego uwagę od Abby.

- Tatusiu, ja nie chcę ścian z kartonu. Chcę niebieskie ściany, jak w tym pokoju na wieży. Książniczki nie mieszkają w kartonowych pokojach.

- Twój tata mówił o ściankach kartonowo-gipsowych. -Abby uśmiechnęła się do Jessie, ale Colinowi nadal wydawała się smutna i spięta.

- Wiem. Żartowałam. Przecież wiem, co to jest. Czasami rysowałam kredą na kawałkach, które ci zostawały. To był żart - trajkotała Jessie.

Pokiwał głową ze wzrokiem utkwionym w Abby, która uśmiechała się do Jessie. To żałosne, być zazdrosnym o własne dziecko, ale w tym momencie zdał sobie sprawę, że oddałby wiele, byle tylko Abby choć przez chwilę patrzyła na niego z tak bezgraniczną miłością.

- Zaparkowałem tuż obok. Chodźcie. Chcę ci pokazać, Abby, jak posunął się remont mojego domu.

Abby zachnęła się. Przyrzekła sobie, że jej noga nie postanie w tym domu. Zwłaszcza po ostatniej wizycie. Nie chciała wchodzić tam z Colinem. Po pierwsze, to niebezpieczne, a po drugie, zbyt wiele wspomnień tam zostawiła.

Obiecała jednak Jessie, że pomoże urządzić jej pokój.

- Najpierw trzeba wybrać materiał na zasłony i baldachim nad łóżkiem. Łatwiej dobrać farbę do materiału niż odwrotnie - powiedziała. - Mogłybyśmy pojechać jutro z Jessie i kupić materiał, a potem podałyby ci numer katalogowy farby.

Colin zmienił się na twarzy. Nie był jednak zły - raczej dotknięty. Abby poczuła się podle. Oto odrzuca jego towarzystwo z obawy o wynik wyborów.

Unikanie sam na sam wydawało jej się dobrym sposobem na ochronę własnego serca, a zarazem szans w nadchodzących wyborach. Niestety, metoda ta okazała się całkiem nieskuteczna w życiu prywatnym. Co noc widziała go w snach, czasami był zagniewany, a czasem uroczy jako ojciec dziecka. Natomiast w ostatnim śnie Colin przyszedł do niej i powiedział, że rezygnuje z niej oraz z „Torthuil” Wraca do domu do Los Angeles i przyszedł się pożegnać.

Powinna być zachwycona. Rzeka nie ucierpi na skutek rozbudowy „Torthuil”, a ona nie będzie miała złamanego serca.

Aż do tego ranka, gdyby ktoś ją zapytał, powiedziałyby, że wyjazd Colina to jest właśnie to, o co jej chodziło. Powiedziałyby też, że będzie tęskniła wyłącznie za Jessie.

Mogła ukryć prawdę przed światem, ale nie przed sobą.



Pora spojrzeć prawdzie w oczy. Nie trzeba mieć dyplomu z psychologii, żeby zrozumieć, że naprawdę w jej życiu liczył się tylko Colin. I czego by nie zrobiła, nie zdoła wybić go sobie z głowy.

Westchnęła.

- Moglibyśmy pojechać teraz, we trójkę - powiedziała, spoglądając ostentacyjnie na zegarek. Do centrum handlowego było daleko. Znacznie dalej niż do kina.

- Proszę, tatusiu.

- Dobrze, ale to dosyć daleko. - Colin nagle się zawahał. - Nie zdążymy wrócić na szóstą.

- Nie, ale jest tam całkiem przyjemny bar - powiedziała Abby. - Na pewno mają tam jakieś zdrowe jedzenie. - Spojrzała na Jessie, której zapał przygasł na dźwięk słowa „zdrowe”, i szybko dodała - I specjalne dania z niespodzianką dla dzieci.

- Można też pojeździć na zjeżdżalni - dorzucił z uśmiechem Colin. - I poskakać w basenie z piłeczkami razem z innymi dziećmi.

- Tak! - wykrzyknęła Jessie, kiwając energicznie głową.

- No, to wsiadamy. Mamy co robić. - Colin zawirował z Jessie, a potem zamknął ją w niedźwiedzim uścisku.

Abby patrzyła na jego mięśnie, widoczne pod granatową koszulką. A gdy ostrożnie posadził sobie dziecko na barana, przeszedł ją dreszcz. Co za dziwne połączenie delikatności i siły! Przypomniała sobie, jak te ręce dotykały jej na łące. I jak wspaniale współgrały z dotykiem jego ust.

- Nie idziesz? - zawołał Colin przez ramię. Zamrugła.

- Tak, tak, oczywiście - mruknęła, bo nagle zaschło jej w gardle.

Gdzież to pobłądziła myślami? Och, racja. Kompletnie zatoneła w podniecających wspomnieniach. To bardzo niedobrze.

W ciągu dwóch następnych godzin wybrali materiał na baldachim i zasłony, a także komplet dziewczęcych mebelków do pokoju Jessie. Kupili też najładniejszą lalkę, jaką Abby w życiu widziała.

Po skończonych zakupach Jessie popędziła do kącika zabaw. Gdyby nie lalka pod pachą, wyglądałaby jak mały chłopiec. Patrząc, jak daje nurka do basenu wypełnionego plastikowymi piłeczkami, Abby pomyślała, że Jessie przypomina jej małą Samanthę.

- Jessie naprawdę świetnie się bawiła - powiedział Colin, gdy wraz z Abby usiedli na jednej z ławek przy ogrodzonym kąciku zabaw. - I ja także, Abby. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Przestań się wreszcie bocyć. Mogłoby nam być naprawdę dobrze, gdybyś tylko zechciała dać mi szansę.

- Ja nie...

-I nie kłam, bardzo proszę. Mnie nie musisz okłamywać, a tym bardziej samej siebie. - Ująwszy ją za rękę, odwrócił na chwilę wzrok, by sprawdzić, co robi Jessie, a potem jego błękitne oczy spoczęły na Abby.

Przeszedł ją prąd - od dłoni, którą pieścił szorstkim kciukiem, aż po czubki piersi. Na szczęście Colin tego nie zauważył, bo patrzył jej w twarz.

- Posłuchaj, wiem, że się boisz - ciągnął dalej. - Ja wszystko rozumiem. Nie ufasz ani sobie, ani mnie. Ale powiedz mi, co masz do stracenia? Nie wiem, jaki był dla ciebie ten ostatni tydzień, wiem za to doskonale, co ja wtedy czułem. To cholernie przykre być traktowanym jak intruz, pałętający się na obrzeżach twojego życia.

- Ja nie chciałam sprawić ci przykrości. Próbuję tylko...
- Chronić samą siebie - dokończył za nią. Abby zamrugła.
- Przystaniesz wchodzić mi w słowo?

Na jego twarzy ukazał się smutno-ironiczny uśmiech.

- Ale dobrze zgadłem, prawda?
- Prawda - przyznała.

- A wszystko dlatego, że tyle nas łączy, że podobnie czujemy. Nie możemy udawać, że nie dostrzegamy tego, co się z nami dzieje, kiedy się dotykamy, albo choćby tylko na siebie patrzymy. Ale ty nie chcesz w to uwierzyć. I to także rozumiem. Po tamtej nocy dużo myślałem o tym, co mi powiedziałaś. Dlaczego czujesz to, co czujesz. I powiem ci prawdę - uleganie zmysłom też skomplikowało mi życie. Może powinienem być równie ostrożny jak ty i spojrzeć na moje uczucia z innego punktu widzenia?

- Co? - zdumiała się Abby. - Nie spodziewałam się czegoś takiego usłyszeć. Ale to tylko dowodzi, że mam rację. Nie znam cię aż tak dobrze, jak ci się wydaje.

Colin pokiwał głową.

-I nigdy nie poznasz, jeżeli nasze rozmowy będą się ograniczały do tego, co robiłyście danego dnia z Jessie, jakie są prognozy pogody i co mówili w wiadomościach o szóstej. Nie proszę cię też wcale, żebyś poszła ze mną do łóżka, dopóki nie będziemy pewni naszych uczuć.

Już miała odpowiedzieć, gdy usłyszeli wołanie:

- Tatusiu, patrz! - Jessie odepchnęła się i z lalką na kolanach zaczęła ześlizgiwać się w dół krętej zjeżdżalni, piszcząc z radości.

Starsza pani na sąsiedniej ławeczce roześmiała się cicho.

- Takie to już są te dzieci. Pierzesz i prasujesz jej sukienki, kręcisz loczki, ubierasz ją, a ona i tak woła tatusia.

Abby chciała sprostować, że Jessie nie jest jej dzieckiem, kiedy po raz kolejny uświadomiła sobie, jak mogłoby wyglądać jej życie rodzinne. Więc zamiast zaprzeczyć, powiedziała prawdę:

- Bo on jest takim wspaniałym ojcem. Najlepszym na świecie.

- To macie szczęście - powiedziała starsza pani, chowając robótkę, bo dwójka wnucząt podbiegła do niej, krzycząc, że umierają z głodu.

- Dla ciebie też byłbym dobry, Abby - wyszeptał jej Colin do ucha. - Proszę cię, daj nam szansę.

Znalazła w sobie dosyć odwagi, by skinąć głową, i nagle odzyskała głos:

- W jaki sposób namiętność skomplikowała ci życie?

Oczywiście, pomijając błąd, jakim było pójście ze mną do łóżka.

Colin przeczesał palcami włosy.

- Mój związek z matką Jessie opierał się wyłącznie na pociągu fizycznym.

Przygarbił się i zapatrzony w ziemię zaczął mówić:

- To była totalna katastrofa. Ona przyjechała robić karierę w Los Angeles, ale nic z tego nie wyszło, więc postanowiła wrócić do Brazylii, gdzie była gwiazdką pomniejszej klasy. Ale potem odkryła, że jest w ciąży. Jako córka bogatych rodziców chodziła do szkoły katolickiej. I tylko temu zawdzięczam, że udało mi się ją namówić, by urodziła dziecko. Wyszła za mnie tylko po to, żebym płacił jej rachunki. Nigdy nie mieszkaliśmy razem. Na szczęście zawarliśmy umowę przedmałżeńską i przyznano mi wyłączną opiekę nad Jessie od dnia jej narodzin. Kręciła się

jeszcze w pobliżu przez prawie rok, pobierając alimenty i czekając na kościelne unieważnienie ślubu. Przez ten czas sporadycznie widywała Jessie, ale naprawdę nigdy nie była dla niej matką. Gdy odzyskała formę i dostała unieważnienie, wyjechała na zawsze.

Spojrzała na Colina, który obserwował Jessie: Miał na twarzy rozanielony uśmiech - jak zawsze, gdy patrzył na swoją córeczkę. Chcąc nie chcąc, musiała zadać sobie pytanie, czy kiedykolwiek znajdzie mężczyznę bardziej godnego drugiej szansy.



## Rozdział 12

---

Colin przerzucił ręcznik przez ramię i wszedł do pokoju Jessie. Rozejrzawszy się wokoło, pokręcił głową. Wstyd przyznać, ale ten dziewczęcy wystrój nawet mu się podobał. Może dlatego, że przypominał mu Abby. Eleganckie i kobiece wnętrze zaprojektowano ze śmiałym rozmachem.

Ten sam rozmach i odwaga cechowały jej kampanię wyborczą. A choć Colin nadal się z nią nie zgadzał, nie krył podziwu dla determinacji, z jaką walczyła o swoją sprawę.

Gdyby jeszcze potrafiła być równie odważna w życiu prywatnym. Minęły dopiero dwa dni, odkąd Abby obiecała dać im szansę, by mogli się lepiej poznać. Poprzedniego wieczora planowali kolację we dwoje na tarasie, ale deszcz pokrzyżował im plany i w końcu zjedli w kuchni z Genevieve. Niestety, przy Jessie i kucharce nie mogli rozmawiać na tematy prywatne. Pozostali goście „Cliff Walk” zebrali się po kolacji w salonie, więc nie było miejsca, gdzie mogliby zostać sami. A później, kiedy położył Jessie do łóżka, nie mógł zaprosić do siebie Abby, bo musiał przygotować rysunki „Torthuil Garden” na poranne spotkanie w banku.

Radosny głosik Jessie, która opowiadała swojej lalce o tym, co robiła w ciągu dnia, przykuł jego uwagę. Abby wydobyła skądś zabytkową kołyskę i mniej cenne wysokie krzeselko i dała je Jessie do zabawy. Stały w rogu pokoju obok małego fotelika na biegunach przywiezionego z Los Angeles. Jessie bujała się w nim, trzymając lalkę na kolanach i prowadząc z nią interesującą, jednostronną rozmowę na temat hodowli winogron.

- Puść wodę do wanny, kotku - powiedział do niej.

- Abby obiecała, że przyjdzie mi pomóc - odpowiedziała. - Musimy na nią poczekać. - Zakołysała się w fotelu.

- Dużo nowych gości przyjechało dziś wieczorem. Abby jest pewnie bardzo zmęczona. Pozwólmy jej odpocząć, dobrze? Jeżeli uda jej się przyjść, na pewno się nie zmartwi, jeżeli będziesz już wykąpana.

Jessie spojrzała na niego z wyrzutem.

- Abby mi obiecała, tatusiu, a ona zawsze dotrzymuje słowa.

Colin nie był przygotowany na tak dojrzałą odpowiedź i kiedy Jessie znów zajęła się lalką, zaczął rozważać, czy nie powinien postawić na swoim.

Pukanie do drzwi uwolniło go od tych dylematów, potwierdzając, że Abby zwykła dotrzymywać słowa danego Jessie. Mógł tylko mieć nadzieję, że i wobec niego okaże się równie lojalna.

Jessie zerwała się z fotela, podbiegła do drzwi i otworzyła je, zanim zdążył oprzytomnieć na tyle, by ruszyć się z miejsca.

- Mam superpuszyste ręczniki dla naszej księżniczki -zawołała Abby, wchodząc do pokoju.

Colin podszedł do niej, pocałował ją w policzek i wziął od niej ręczniki.

- O, przepraszam, tatusiu. - Jessie chwyciła się pod boki. - Abby przyszła do mnie, nie do ciebie. Teraz będzie kąpiel, bo położyłam już moją Mary Beth do łóżka.

- Widzę, że nie jestem tu mile widziany - powiedział, robiąc nadąsaną minę. - Zobaczymy się za kilka minut. Postaraj się zbytnio nie zamoczyć, Abby.

- Spróbuję - odpowiedziała Abby. - Kąpiel w wannie z bąbelkami potrwa trochę dłużej niż prysznic, więc będziesz musiał chwilę poczekać.

- Kąpiel z bąbelkami! - zapiszczała Jessie. Colin podniósł ręce do góry.

- Pójdę do siebie i popracuję nad rysunkami. Bawcie się dobrze, moje panie - powiedział, po czym wycofał się pospiesznie. Ciekaw był, czy Abby uda się nie zamoczyć ubrania. Niełatwo było kąpać Jessie, która lubiła rozchlapywać wodę i robić fale w wannie. Ilekroć próbował ją umyć pachnącym mydełkiem, sam pachniał potem jak kwiatowa łąka i musiał znosić kpiny znajomych.

Wszedł do swojego pokoju, wyciągnął z kąta deskę kreślarską i ustawił ją pod oknem, by wykorzystać resztki światła dziennego. Następnie przebrał się i zasiadł do pracy. Kserokopie projektu były już gotowe, ale tego dnia chciał przygotować prezentację dla rady miejskiej. Przez dziesięć minut pracował nad dodatkowymi elementami krajobrazu ogólnej wizualizacji „Torthuil Garden”. Z łazienki dobiegały go chichoty i głośne wybuchy śmiechu. Zerknął na podłogę przy drzwiach i uśmiechnął się, kiwając głową.

Już miał sięgnąć po ręcznik, by wytrzeć mokre plamy, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Halo! - Przyłożył telefon do ucha, po czym rzucił ręcznik na podłogę przed progiem łazienki, żeby uchronić drewno przed zalaniem.

- Halo - odpowiedział jakiś obcy głos z lekkim echem. - Tu O'Donnel. Wiozę ładunek kamienia, ale nie mogę znaleźć drogi dojazdowej.



Colin przestał się spodziewać dostawy, gdy minęła piąta. Zapomniał jednak, że zeszłej nocy podczas burzy wicher zerwał jego skrzynkę pocztową i pewnie dlatego dostawca nie mógł trafić do „Torthuil”. Spróbował opisać mu drogę, podając jako punkt orientacyjny bramę wjazdową na posesję Hopewellów, ale kierowca nie był zachwycony.

- Przejechałem River Road pięć razy tam i z powrotem, i mam już dosyć. W tej chwili jestem jakieś trzy kilometry za miastem. Mógłby pan po mnie wyjechać na główną drogę? To mój ostatni ładunek.

Colin westchnął. Koniec z rysowaniem.

- Będę za kilka minut, a pan niech zwolni trochę, żeby znowu nie minąć zjazdu z głównej drogi. Przyjadę czarną ciężarówką. - Podał mu nawet markę i model dla pewności, bo mąż Samantha też miał czarną ciężarówkę. A tego tylko brakowało, żeby jego kamienie zostały przez pomyłkę użyte do budowy muru przeciwpowodziowego Nicka.

Raz jeszcze rzucił okiem na rozłożone rysunki, po czym poszedł poprosić Abby, żeby się zgodziła popilnować Jessie. Pchnął drzwi do łazienki i stanął jak wryty. Abby siedziała z zamkniętymi oczami w pozycji jogi: wyprostowana jak struna, ze skrzyżowanymi nogami i splecionymi z tyłu rękami. Spod mokrego podkoszulka przebijały kształtne piersi, ledwie zakryte cieniutkim staniczkiem. Jessie, cała w pianie, próbowała naśladować jej pozycję.

- Abby... - zaczął. Abby natychmiast otworzyła oczy i przyłapała go na tym, że wzrok miał wbity w jej biust o wyraźnie zarysowanych sutkach.

- Ach! - wykrzyknęła i chwyciła ręcznik, żeby się zakryć.

- Przecież to nie ty miałaś brać kąpiel - rzucił z uśmiechem.

- Czego chcesz? - burknęła, unikając go spojrzeniem.

- Wyjdź, tatusiu! Teraz kąpią się dziewczynki - skarciła go Jessie.

- Tak, tatusiu - wtrąciła się Abby, naśladowując jej głosik.

- Muszę wyskoczyć na chwilę do „Torthuil”. Przywieźli kamień, którym chcę obłożyć fasadę dobudówki. Kierowca nie może sam trafić, więc będę go pilotować. To nie powinno potrwać długo. Możesz popilnować Jessie?

- Weź mój czarodziejski kamyk, żeby sprawdzić, czy to ten sam kolor - powiedziała Jessie.

- Jedź już - rzuciła Abby. - My sobie poradzimy. Spotkamy się później na tarasie, na kolacji.

- Dzięki. A ty się nie martw, kotku - zwrócił się do Jessie. - Nosilem ten kamyk przez dziewięć lat, więc dobrze znam kolor. I bądź grzeczna. - Wycofał się i już miał zamknąć za sobą drzwi, gdy pokusiło go, by pożartować sobie z Abby. Wsunął głowę do łazienki i dorzucił: - Zapomniałem ci powiedzieć, że masz taki ładny... podkoszulek.

Pół sekundy później usłyszał przytłumione uderzenie ręcznika o drzwi..

Po kąpieli Abby odprowadziła Jessie do kuchni i dziewczynka siedziała teraz z Genevieve, pomagając przygotować deser dla gości. A potem miały zjeść we dwójkę swoją „specjalną” kolację.

Przed lustrem w holu Abby obróciła się, by podziwiać wycięcie swojej najnowszej letniej sukni, którą wybrał dla niej Colin. Próbowала oczywiście odmówić. Nawet wtedy, kiedy do akcji włączyła się Jessie. Jednak gdy Colin zagroził, że przyłączy się do córki, która podskakiwała, krzycząc „proszę, proszę, proszę”, poddała się ze śmiechem i zgodziła się

przyjąć prezent. Zastrzegła jednak, że następnym razem poczeka i zobaczy, jak wygląda publiczne błaganie w wydaniu Colina.

Przed spotkaniem z Colinem musiała wstąpić do ich apartamentu, bo Jessie zapomniała zabrać lalkę, a po kolacji mieli pójść na spacer i Jessie koniecznie chciała wziąć Mary Beth. Po drodze wzięła ze schowka czyste ręczniki. W pokoju chwyciła lalkę i roześmiała się na widok pluszowego psa w kołysce. Jak widać, Hau-hau zawsze będzie na pierwszym miejscu w sercu Jessie. Rozwieszając świeże ręczniki w łazience, stwierdziła, że panuje tam wilgoć, więc otworzyła drzwi do saloniku, chcąc wpuścić więcej powietrza.

Na środku pokoju stał stół kreślarski. Abby zawahała się, a potem podeszła bliżej i popatrzyła na rozłożone rysunki, przedstawiające szczegółowy plan osiedla „Torthuil Garden”. Gdyby budował je w jakimś innym miejscu, wszystko by jej się podobało. Łączyło ono w sobie harmonijnie elementy irlandzkiej i farmerskiej tradycji przodków Colina. Jednak ilość budynków, szerokie cementowe chodniki, jezdnie, korty tenisowe i basen wykonane były z nieprzepuszczalnych materiałów, co eliminuje cenne tereny odpływowe i tym samym zwiększy ilość wód spływających do rzeki. W przyszłości mogły one poważnie zagrozić miastu, gdy przyjdą ulewne deszcze. O ile centymetrów podniesie się wtedy poziom wody w rzece? O kilkadziesiąt? Kilkanaście? Kilka? Być może. Niejednokrotnie brakowało zaledwie kilku centymetrów, by rzeka wystąpiła z brzegów, a kilkunastu, by zalała miasto.

- Widzę, że nie doceniasz moich wysiłków - odezwał się Golin od progu.

Abby podniosła głowę. Zatopiona w myślach nie usłyszała, jak otwierał drzwi. Nie był zły, ale i nie był zbytnio zadowolony.

- Przepraszam. Nie próbowałam cię szpiegować. Te rysunki leżały na wierzchu. Przyniosłam czyste ręczniki do łazienki, a potem otworzyłam drzwi, żeby ją przewietrzyć, i... no właśnie.

- Abby - przerwał jej Colin. - Nie mam nic przeciwko temu, że je obejrzałaś. I tak chciałem ci je pokazać po dopracowaniu niektórych detali. Jeżeli nie mam zbyt zachwyconej miny, to dlatego, że masz na twarzy wypisaną dezaprobatę. Wyobraź sobie, że ktoś ci mówi, że twoje dziecko jest brzydkie.

- Twoje osiedle wcale nie jest brzydkie - zaprotestowała. - Jest cudowne. Naprawdę. Ale pomyśl o wodach odpływowych, Colin. Będziemy mieli z tym większe problemy, poza tym popatrz na te zabetonowane hektary.

Colin podszedł do stołu i spojrzał na rozłożone papiery.

- Można by zrobić ziemne boiska, ale podłoże jest tu gliniaste, czyli też niezbyt przepuszczalne. Mógłbym też zmienić niektóre materiały budowlane, ale to drastycznie obniży mój zysk - Zasepił się. - Może, gdybym...

Przygnębienie udzieliło się też Abby. Gdyby jej ojciec nie wtrącał się do cudzych spraw, Colin nie byłby dziś tak zdeterminowany, by zbić fortunę.

- Jesteś niesamowicie utalentowany, Colin! Gdyby nie to, że każdy nowy budynek zagraża bezpieczeństwu Hopetown, pomogłabym ci przeforsować twój projekt na zebraniu rady miejskiej, muszę jednak trzymać się moich przekonań. Ale spróbuj obniżyć choć trochę planowane

zyski. Ilość zer na koncie nie jest jedynym wyznacznikiem twojego statusu. Zastanów się nad tym. - Poklepała go po ramieniu. - Umówiliśmy się przecież, że zachowamy odrębne zdanie i nie będziemy o tym dyskutować. Na koniec powiem ci jeszcze jedno: twój tata byłby taki dumny, gdyby mógł zobaczyć, co zaprojektowałeś, by uczcić jego pamięć. A teraz chodźmy na kolację i nie rozmawiajmy już więcej o tym. No, niech ci będzie - powiedziała z westchnieniem, widząc jego kwaśną minę. - Nie rozmawiajmy już więcej o tym tego wieczora.

Kiedy wyszli na taras, kolacja czekała już na stole. Tym razem Genevieve darowała sobie romantyczne menu. Podała smażone kurczaki na zimno z zieloną sałatą, sałatkę ziemniaczaną, siekane ogórki i cebulki zalane octem i oliwą. Jednym słowem - wymarzony zimny posiłek na gorący, sierpniowy wieczór.

Po kolacji wstąpili do kuchni, by zabrać Jessie na długi spacer po rezerwacie wytyczonym przez Samanthę dla gości „Bella Villa” i „Cliff Walk”. Abby była lekko zdenerwowana, bo spodziewała się, że wylądują na łące, na której kochaliby się tydzień wcześniej, gdyby nie zadzwonił telefon.

Wybrali jednak dłuższą trasę i gdy spacerowali wśród zieleni, uświadomiła sobie, że tym razem atmosfera jest zupełnie inna. Obecność dziecka zdawała się łagodzić zmysłowe napięcie pomiędzy nią a Colinem. Jessie kroczyła pomiędzy nimi, trzymając każde z nich za rękę. Szli przez las w kierunku rozległego płaskowyżu, a potem okrążyli łąkę porośniętą czerwoną koniczyną i znów zanurzyli się w cień drzew.

W ciekawszych miejscach rezerwatu poustawiano kamienne ławki. Tabliczki przy ścieżkach identyfikowały i opisywały wiele lokalnych

okazów przyrody. Tu i ówdzie krajobraz zdobiły rzeźby miejscowych artystów.

W lesie, na rozległej polanie, zobaczyli stadko saren i Abby w jednej chwili zapomniała o troskach. Widok był tak piękny, że wszyscy zastygli z wrażenia, a Colin przykucnął obok Jessie i położył palec na ustach.

Powietrze było nieruchome, mimo to wielki kozioł odwrócił głowę w ich kierunku i poruszył chrapami. Upewniwszy się, że jego rodzina jest bezpieczna, zaczął znowu skubać trawę. Nagle z zarośli wyskoczył słodki mały koziołek. Ciche westchnienie Jessie musiało spłoszyć zwierzęta, bo cała grupka poderwała się i zniknęła w zaroślach.

- Tatusiu, dlaczego ich dziecko miało kropki, a mama i tata nie?

Colin zaczął jej tłumaczyć, że natura zapewnia w ten sposób kamuflaż słabszym i bezbronnym mieszkańcom królestwa zwierząt. Abby patrzyła na nich, tak podobnych do siebie, choć różniących się karnacją. Serce jej miękło na widok głębokiego oddania malującego się na przystojnej twarzy Colina w chwilach szczególnej bliskości z dzieckiem.

Pomyślała, że jej ciche marzenie, by znaleźć się w ich kręgu, zaczyna się powoli spełniać. Szczerze mówiąc, bardzo tego pragnęła. Gdyby tylko mogła mieć pewność, że nie działa pod wpływem chwilowej namiętności, jaką zawsze wzbudzał w niej Colin. Biedak myślał, że to skromność kazała jej się zasłonić ręcznikiem w łazience, a było zupełnie inaczej.

Błysk pożądania w jego błękitnych oczach wywołał mimowolną reakcję jej ciała i dlatego natychmiast zasłoniła piersi. Wiedziała, że się z nią droczył.

Czy da się oddzielić pożądanie od miłości, kiedy tak wiele niekontrolowanych pragnień nabrzmiewa pomiędzy dwojgiem ludzi?

## Rozdział 13

---

Trzy dni po obejrzeniu rysunków osiedla Abby jechała do „Torthuil”. Colin zaprosił ją, bo chciał, żeby zobaczyła jak posunęły się roboty i pomogła mu zaprojektować pokój Jessie. Próbowwała się wykręcić, ale w końcu się zgodziła, i teraz, w miarę jak zbliżała się do celu, była coraz bardziej zdenerwowana.

Gdy wyjechała z zielonego tunelu, wcisnęła hamulec. Nagle znalazła się jakby poza czasem i przestrzenią. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zmiany, jakie zaszły od ostatniej wizyty, były zdumiewające. Wszędzie kręcili się robotnicy i dom nie przypominał już tej opuszczonej ruiny sprzed dwóch tygodni.

Zniknęła waląca się weranda. Na jej miejscu pojawiła się dokładna replika oryginału z lepszych czasów, tylko przedłużona. Ciągnęła się ona teraz także wzdłuż dobudowanej części podwajającej długość dawnego domu.

- Cześć, Abby! - zawołał Colin, wychodząc na werandę. Wskazał Abby parking, wysypany tłuczonym kamieniem, po czym wyszedł jej naprzeciw. Był wyraźnie ucieszony jej wizytą.

Gdy otworzyła drzwi wozu, przywitała ją istna kakofonia dźwięków: miarowy huk młotów pneumatycznych, pisk elektrycznych śrubokrętów i jęk łańcuchowych pił.

- Strasznie dużo się tu dzieje - stwierdziła, kiedy pomagał jej wysiąść.

- Owszem, zrobiliśmy spore postępy. - Wziął ją za rękę i ostrożnie poprowadził w stronę domu po drewnianej kładce nad wykopem. Gdy dochodzili do werandy, nad ich głowami przetoczył się grzmot. To po ulewach minionej nocy nadciągały kolejne burze.

- Czy pogoda opóźnia roboty? - zapytała.

- Zostały nam już głównie prace we wnętrzu. Dach na tyłach dobudówki powinien być gotowy za godzinę. Deszcze nigdy mi nie przeszkadzały, o ile nie trzeba było przerywać robót. - Wzruszając ramionami, dodał - W Los Angeles albo leje jak z cebra, albo jest upał.

Wolałaby przełożyć tę konfrontację z przeszłością na później.

- Może powinnam przyjechać kiedy indziej, żebyś zdążył położyć dach przed burzą?

Colin potrząsnął głową.

- Nie pracowałem z robotnikami na dachu. Odnawiałem okna i dorabiałem obramowania, które pasowałyby do starej części. Ci ludzie nigdy nie pracowali przy renowacji, więc pewne rzeczy muszę robić sam.

Machinalnie wyciągnęła rękę i otrzepała pył z jego koszuli, czując przy tym dziwny, zmysłowy dreszcz. Dlaczego nawet najbardziej niewinny dotyk musi zamącać jej myśli?

- Zamierzasz zmienić profil działalności? - zapytała, próbując stłumić te niepożądane uczucia. - Mówiłeś, że w Kalifornii specjalizowałeś się w renowacjach, ale tutaj chcesz budować nowe domy.

Ich kroki odbijały się echem od stropu werandy. W powietrzu unosił się zapach świeżego drewna. Colin przystanął.

- Tam, w Kalifornii, zbudowałem parę domów na zamówienie, ale największą przyjemność sprawia mi renowacja starych obiektów.



Odbudowa tego domu i dopasowywanie do niego nowej części to najlepsza zabawa, jaką miałem od lat. - Zapatrzył się w dal. - Pamiętam, jak leżałem na starych saniach pod oknami salonu i myślałem, co mógłbym zrobić z tym domem, gdybym miał pieniądze. I to właśnie przyciągnęło mnie do architektury.

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała Abby i uśmiechnęła się. - Pamiętasz ten domek na drzewie, który dałeś Tracy któregoś roku na urodziny?

-Kiedy tu wróciłem, zdjąłem jego resztki z drzewa, z obawy, żeby Jessie nie przyszło coś do głowy. Był brzydki jak noc... - urwał i zamyślił się.

A potem nagle jakby się ocknął i wbił wzrok w Abby.

Czasami patrzył na nią tak, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy. I czasami odnosiła wrażenie, że mu się to udawało.

Denerwowała się wtedy, podobnie jak i teraz.

- Wróćmy lepiej do twoich planów na przyszłość - powiedziała.

Colin zamrugął.

- Racja. Część moich ludzi chciałaby pracować przy odrestaurowywaniu zabytkowych budynków, takich jak ten, a ponieważ, jak już mówiłem, uwielbiam tę robotę, będę musiał pomyśleć o stworzeniu dwóch ekip.

Dla Abby już to, że była w „Torthuil”, okazało się przeżyciem stresującym. Pomyślała, że woli już mieć za sobą wycieczkę po domu, zanim przejdą do takich tematów jak nowe osiedle czy ich wzajemne relacje.

- Pokaż mi, co zrobiłeś w starym domu - powiedziała.

- Zauważyłaś chyba, że dopasowałem szalunek w nowej części werandy do oryginalnego. Pozostała część, dobudowana nad stropem werandy, a także z tyłu i po bokach, będzie oblicowana kamieniem.

- Przywiezionym przez tego kierowcę, który nie mógł trafić?

Colin pokiwał głową.

- Obłożę nim także cały podest werandy, ale... - urwał zmieszany -  
Przepraszam, pewnie cię nie interesują konstrukcyjne detale.

- To naprawdę bardzo ciekawe - zapewniła go. Znow pokiwał głową i cofnął się, wskazując na drzwi.

- A więc możemy zacząć zwiedzanie?

- Oczywiście. Prowadź.

Gdy weszli do środka, przeżyła kolejną niespodziankę. Znalazła się w dużym pomieszczeniu z pięknym kamiennym kominkiem, niemal gotowym.

- Tutaj będzie prawdziwa wiejska kuchnia - powiedział Colin. - Z dużym okrągłym stołem przed kominkiem.

Nie żartował. Kuchnia była otwarta i zajmowała prawie cały parter przybudówki. Abby zauważyła końcówki rur pod panoramicznym oknem. Osoba stojąca przy zlewie będzie miała widok na wiaź, pod którym urządzili sobie piknik.

- Muszę zamówić szafki. - Colin wskazał na próbki stanowiące atrapy prawdziwych frontów. - Podobają mi się te malowane i te z czereśniowego drewna, ale nie mogę się zdecydować.

Dla Abby odpowiedź była całkiem oczywista:

- Czemu nie miałbyś wziąć jednych i drugich? Te malowane są idealne na kuchenne szafki. Nadadzą temu miejscu rustykalny charakter.

Przecież to był wiejski dom. Farma. - Wskazała na sześcian pośrodku pomieszczenia. - A to pewnie ma być kuchenna wyspa? - Gdy skinął głową, podjęła dalej - Skoro tak, mógłbyś obłożyć ją drewnem czereśniowym. Niech wygląda jak duży, solidny mebel. Nada to wnętrzu pewien rys niewymuszonej elegancji.

Colin uśmiechnął się.

- Niewymuszona elegancja. Cała ty. Wiesz co, mam dla ciebie fuchę. Nie chciałabyś zostać moim dekoratorem wnętrza?

Zarumieniła się, zadowolona. Co więcej, nie odrzuciła z miejsca tej propozycji. Miała wprawdzie mnóstwo pracy w „Cliff Walk”, ale uwielbiała urządzać wnętrza. Poza tym praca z kimś, kogo się kocha, byłaby czystą przyjemnością.... Ale czy aby na pewno kocha Colina? Skąd może wiedzieć, skoro nie potrafi odróżnić pociągu seksualnego od głębszych, trwalszych uczuć.

Colin miał rację, mówiąc, że jeśli chcą się rozeznac w swoich uczuciach, muszą spędzić ze sobą więcej czasu; muszą się lepiej poznać.

Odpychając myśli o przyszłości, poszła za Colinem na tyły kuchni. Dopiero wtedy zorientowała się, że przybudówka ma kształt litery L. Nagle zaatakowały ją wspomnienia i oddech ugrzązł jej w piersi.

Następnym pomieszczeniem powinien być pokój przylegający do kuchni, zrobiony z zabudowanej werandy. Jego pokój! Jej ręka znalazła się nagle w dłoni Colina, który pociągnął ją za sobą.

Kiedy musiała zejść kilka schodków w dół, zrozumiała, co zrobił. Rozebrał ściany, tworząc jasne, przestronne pomieszczenie o zupełnie innym kształcie. W miejsce kwadratowej klitki powstał duży, podłużny

pokój, stanowiący przedłużenie starego domu, z wysokim stropem, uformowanym przez dwuspadowy dach.

Colin otoczył ją ramieniem. Poczowała zapach jego wody kolońskiej, ale tym razem, zamiast dzikiego pożądania lub lęku przed nim, ogarnęło ją błogie poczucie bezpieczeństwa.

- Zburzyłem mój dawny pokój, kochanie. Teraz będzie tu salon.

Na drugim jego końcu Abby zauważyła pod ścianą pryzmę polnych kamieni.

- Tutaj też będzie kominek?

- Tak. Podciągnę go aż pod kalenicę. Będzie też kominek w moim gabinecie, ale inny, bardziej tradycyjny, z drewnianą półką.

Weszli po schodkach do dawnej kuchni, gdzie przeżyła najbardziej upokarzające chwile w swoim życiu. Miejsce to zmieniło się jednak nie do poznania. Teraz był to kwadratowy pokój o białych ścianach. Spojrzała na Colina i zrozumiała. Zrobił to wszystko dla niej, by wymazać złe wspomnienia. Była tego pewna.

- Co tu teraz będzie? - zapytała, gdy odzyskała głos. Colin odetchnął z ulgą. A więc zrozumiała przynajmniej część jego zamysłu. Wciąż jednak nie miała pojęcia, że zaprojektował na nowo ten dom z myślą o niej.

Był zadowolony, że spodobały jej się wybrane przez niego wzory szafek. Nie wiedział, czy koniec końców Abby tu zamieszka, miał jednak nadzieję, że pozostaną przyjaciół? mi. Liczył, oczywiście, na coś więcej, ale nawet jeżeli nie z tego nie wyjdzie, jego marzeniem było, by czuła się tu dobrze, kiedy przybędzie do nich z wizytą. Martwiło go natomiast, że w jej obecności nie potrafił zapanować nad swoim libido. Pragnął jej tak

straszliwie. W tej sytuacji pozostawało mu jedno wyjście - przekonać ją, że są sobie przeznaczeni i że tutaj jest jej miejsce.

- Myślę, żeby urządzić tu swoje biuro. Wywieszę szyld na River Road, a będę pracował w domu, żeby być z Jessie. Chcesz obejrzyć górę?

W odpowiedzi uśmiechnęła się, podekscytowana, jakby przestała się już obawiać demonów przeszłości. Jak na razie musiało mu to wystarczyć.

Przeszli przez jadalnię, która miała zostać przeniesiona na miejsce dawnego salonu, żeby uzyskać łatwiejszy dostęp do kuchni. A potem zaczęli zwiedzać piętro.

Weszli do głównej sypialni, Abby podeszła do szklanych drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Colin opisał jej kutą balustradę, jaką otoczył balkon. Oczyma duszy widział już, jak siedzą na balkonie przy stoliczku, popijając kawę i oglądając wschody i zachody słońca.

Nagle zagrzmiało. Głośniejsze. Bliżej. Abby odsunęła się od okna i w tej samej chwili lunął deszcz.

- Przejdźmy do pokoju Jessie - powiedziała. - Jak przestanie padać, muszę wrócić do domu.

Colin skinął w milczeniu głową. Pokój Jessie zamierzał urządzić nie w pokoju Tracy, lecz w miejscu dawnego pokoju rodziców. Dzięki temu Abby nie będzie musiała wchodzić do pokoju Tracy, jeżeli nie będzie miała ochoty. Tymczasem, jakby wiedzioną dawnym przyzwyczajeniem, Abby otworzyła drzwi i zastygła w progu.

Nie ruszał tego pomieszczenia, bo był to jedyny pokój, który jakimś cudem nie ucierpiał z powodu przeciekającego dachu. Po śmierci Tracy został zamknięty, dlatego stada gryzoni grasujących po opuszczonym domu nie wyrządziły tu żadnych szkód. Colin wyrzucił tylko zapleśniały

materac i fotel. Nawet plakaty Tracy wisiały tam, gdzie je przed laty powiesiła wraz z Abby.

- To grobowiec - odezwała się Abby zdławionym głosem. Miała rację. Jego rodzice niczego w nim nie ruszyli.

Przeprowadzając się, zostawili wszystkie meble.

Abby podeszła do plakatu „Guns N' Roses”. Gdy wszedł za nią, odwróciła się z uśmiechem, ale oczy miała pełne łez.

- Pamiętasz, jak twój tata żartował sobie z jej uwielbienia dla tego zespołu?

Następnie podeszła do lekko pożółkłego plakatu przedstawiającego zamek. Pod nim, na stoliku, stała kolekcja smoków i baśniowych figurek. Przesunęła palcem po skrzydle jednego z większych potworów.

- Powinniśmy je przenieść do Jessie. Pasowałyby do pokoju księżniczki, nie uważasz? Tracy nie chciałyby tego mauzoleum, Colin. Na pewno życzyłyby sobie, żeby tę kolekcję dostała jej bratanica.

- To ty kupowałaś jej te figurki, prawda? - spytał. Ledwie słyszalnym głosem odpowiedziała:

- Tak. Na urodziny. Na święta. Tracy uwielbiała bajki. Im, bardziej romantyczne, tym lepiej. - Szloch wyrwał jej się z piersi.

Colin dopadł jej w ułamku sekundy, wziął ją w ramiona; i przytulił. A gdy poczuł na ręce łzę, uświadomił sobie, że to jego własna łza i że podziela smutek i żalobę Abby.

- Ćśś, kochanie - wyszeptał, próbując pocieszyć nie tylko ją, ale i samego siebie. A choć nie mógł patrzeć na jej łzy, czuł, że stało się coś wyjątkowego. Oto nareszcie mogli razem oplakiwać Tracy. Bo przecież

poza rodzicami nikt nie kochał jego małej siostrzyczki tak bardzo, jak on i Abby.

Gdy największe wzruszenie minęło i odzyskał głos, chwycił Abby za ramiona i cofnął się o krok. Podniosła na niego oczy. Były wciąż pełne łez i wargi jej drżały, ale widać było, że próbuje się opanować.

- Miałaś rację - powiedział jej. - Tracy nie chciałyby tego opuszczonego grobowca. Na pewno życzyłyby sobie, aby życie toczyło się dalej. Pewnie sama oddałaby Jessie swą bajkową kolekcję. Wiem, że pomogłaby nam, gdybyśmy uznali, że chcemy być razem.

Abby pokiwała głową bez słowa.

- Dobrze znałem moją siostrę - ciągnął dalej Colin. - Wiem, że była na ciebie zła, ale zawsze cię kochała. I chciałyby, żebyśmy ją wspólnie opłakiwali. A skoro to zrobiliśmy, pozwólmy jej odpoczywać w spokoju.

Abby znów pokiwała głową, a potem, uśmiechając się przez łzy, powiedziała:

- Chodźmy zaplanować pokój Jessie. - Spojrzała na plakat z zamkiem. - Mam pomysł. A gdybym tak namalowała Jessie na ścianie fresk? W końcu co to za królowa bez swojego królestwa?

Colin pomyślał o innym pokoju w wieży, w „Cliff Walk”, i zadał sobie pytanie, czy wreszcie wyzwolił swoją dorosłą królową z jej zaklętej wieży.

## Rozdział 14

---

Colin siedział w kuchni z Jessie, przelatykając w pośpiechu śniadanie. Poprzedniego wieczora wrócił dosyć późno do „Cliff Walk”. Ledwie pożegnał Abby i odprowadził ją do samochodu, zadzwonił pracownik banku, z którym rozmawiał tydzień wcześniej.

Otóż bank zdecydował się przyznać mu potrzebne fundusze. Spotkał się z dyrektorem i w ciągu godziny podpisali umowę. Potem wstąpił do Harleya Bryanta i powiedział mu, żeby pocałował go w nos.

Harley był wściekły. Najwyraźniej zapomniał o swojej pijackiej spowiedzi, a Colin miał wielką satysfakcję, mogąc mu wygarnąć, co o nim myśli, tym większą, że teraz Harley był trzeźwy.

Następnie wrócił do „Torthuil” sprawdzić stan robót. Ekipa skończyła prace dekarские i odjechała. Obszedł więc całą budowę i upewnił się, czy wszystkie otwory są należycie zabezpieczone na wypadek burzy.

Do „Cliff Walk” dotarł dopiero o siódmej wieczorem. Szczerze mówiąc, nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak poradziłby sobie bez pomocy Abby, która zajmowała się Jessie przez ostatni miesiąc.

Resztę wieczoru spędził z Jessie. Prosił też Abby, żeby do nich dołączyła, ale się wymówiła, a on nawet nie próbował jej namawiać, bo znał już powód odmowy.

Nadal miała obsesję na punkcie świętego nazwiska Hopewell i siebie wyznaczyła na strażnika rodzinnej tradycji. Jego królewna nadal była uwięziona w swojej wieży.



Był pewny, że powodem, dla którego nie chciała spędzić ani sekundy w saloniku ich apartamentu, zwłaszcza wieczorem, była obawa przed plotkami. Miał zamiar odbyć z nią na ten temat poważną rozmowę.

Mąż Samantha, Nick, stanął w progu z Jamiem, siostrzeńcem Abby.

- Są tu jacyś koloniści tego pięknego ranka? - zawołał.

- Ja - odkrzyknęła Jessie, podnosząc rękę jak szkolna uczennica.

- Jeżeli skończyłaś już śniadanie, chodź z nami - powiedział Nick.

- Dobrze - odpowiedziała Jessie i odwróciła się, by zeskoczyć z krzesła.

Colin wyciągnął rękę.

-Nie zapomniałaś czegoś? - Przepraszam. - Jessie wzniosła oczy do góry. - Mogę już odejść?

- Oczywiście, kotku - powiedział z udaną powagą. - Nie zapomnij torby z ubraniami na zmianę, bo dziś może być błoto. - Widząc, że chce zeskoczyć, znów ją powstrzymał. - A kto da mi buzi?

Jessie dała mu całusa, po czym zsunęła się z krzesła i już jej nie było.

Colin patrzył, jak odchodzi, trzymając Jamiego za rękę.

- Zanim się obejrzyysz, zaczniesz wychodzić do kina z jakimś młodzieńcem, którego będziesz miał ochotę udusić tylko za to, że ośmielił się spojrzeć na twoją ukochaną córeczkę - przestrzegła go Juliana Hopewell od drzwi.

Juliana weszła do salonu i usiadła naprzeciw niego. -Przez całe życie strzeżemy naszych dzieci i modlimy się, aby były szczęśliwe. Ja, na przykład, zauważyłam ostatnio zaskakujące zmiany w Abby.

Colin westchnął.

- Samantha już mnie ostrzegęła, żebym nie ważył się jej zranić.

Juliana uśmiechnęła się.

- Ja mam dla ciebie inne ostrzeżenie. Pochwalam to, że trochę nią potrzęsnałeś. Nawet nie wiesz, jakie to cudowne widzieć, że znów budzi się w niej dawna Abby. Ale w tej chwili jest w biurze i kipi ze złości. Na twoim miejscu postępowalabym z nią ostrożnie, radzę ci jednak iść do niej i jak najszybciej ugasić ten pożar.

Colin pokiwał głową, rzucił serwetkę na stół i wstał.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Juliana uśmiechnęła się i zniknęła za drzwiami. Drzwi do biura Abby były zamknięte, więc zapukał, a kiedy się otworzyły, zobaczył, że Juliana miała rację. Abby była wyraźnie wściekła.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy? - burknęła.

- To tylko ja, a nie Kuba Rozpruwacz - powiedział, próbując rozbroić tę tykającą bombę zegarową.

- Madeleine Booper. Mówi ci coś to nazwisko? - wysyczała.

Uniósł brwi.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Jestem lojalny jak pies Jamie-go. Przysięgam.

- Wobec tego wejdź, to cię oświecę! - Zaprosiła go do środka.

Chcąc zyskać na czasie, przystanął, żeby obejrzeć pudło z jej plakatami wyborczymi. Obok, w sąsiednim kartonie, znajdowały się broszury jej komitetu wyborczego. Były już zaadresowane i miały naklejone znaczki. Na ścianie za jej głową wisiała biała tablica z wykresem statystycznym oraz zaznaczonymi miejscami, w których powinna nasilić kampanię.

Obejrzawszy to wszystko, usiadł jakby nigdy nic na wolnym krześle i nagle poczuł się jak uczeń, wezwany przed oblicze dyrektora.

- Więc co ja właściwie przeskrobałem twoim zdaniem? Abby, kipiąc ze złości, chwyciła gazetę. Było to poranne wydanie lokalnego kuriera.

- Miałam nadzieję, że zamieszczą sprostowanie, a teraz pewnie wszystko przepadło. Zaraz zobaczymy dlaczego - powiedziała i zaczęła czytać: - „Wieści z winnicy Hopewellów. A zwłaszcza z »Cliff Walk«, pensjonatu położonego na naszym terenie. Współwłaścicielką oraz menedżerem »Cliff Walk« jest kandydująca na burmistrza Abigail Hopewell. Zapowiada ona zero tolerancji dla wszelkich inwestycji, ograniczających przepływ wód gruntowych". Potem jest mowa o twoim projekcie, o tobie i o twoich referencjach.

- Mówiłem to wszystko na zebraniu rady prawie cztery tygodnie temu.

Przeszyła go morderczym wzrokiem i znów czytała dalej.

- „Na uwagę zasługuje fakt, że McCarfhy wraz z córeczką zatrzymał się w »Cliff Walk«, gdzie mieszka również panna Hopewell. Z poufnych źródeł wiadomo też, że parę tę łączyła romantyczna przeszłość. A gdy ostatnio widziano ich razem, sprawiali wrażenie, jakby było między nimi coś więcej niż tylko dawna przyjaźń".

Colin westchnął.

- Mielisz wszystkim wyjaśnić, że nie zamierzasz zmienić zdania i będziesz walczyć mimo naszej wieloletniej przyjaźni.

- Próbowałam, ale nie dlatego jestem taka wściekła. - Spojrzała na artykuł. - O, tu jest: „Burmistrz Bryant, popierający początkowo projekt

McCarthy'ego, po bliższym zbadaniu sprawy polecił swojemu bankowi wycofać poparcie. W tej sytuacji Colin McCarthy znalazł innych kredytodawców. Nasze pytanie brzmi: czy nasza lokalna przedstawicielka Zielonych zmieniła nagle front? Czy idąc za głosem serca postanowiła wyrzec się tych wszystkich szczytnych haseł o ochronie środowiska naturalnego? Nie byłby to pierwszy raz, kiedy przedstawiciel rodziny Hopewellów zaparł się swoich zasad dla płci przeciwnej. "

- I co pani na to, panno Hopewell? - zapytał. Rzuciła gazetę na biurko. Oczy jej miały błyskawice.

- A co mam na to powiedzieć? Co? - syknęła ze złością. Starając się zachować spokój, odpowiedział:

- A gdybyś tak zaczęła od tego, że Harley Bryant jest kłamcą. Po tym jak odkryłem, jakie świństwo zrobił nam dziewięć lat temu, zacząłem szukać innego źródła finansowania. I właśnie znalazłem.

- Mogłeś mnie ostrzec.

- Chyba zapomniałem ci o tym wspomnieć. Ale wczoraj powiedziałem Harleyowi, co o nim myślę. Jedno trzeba mu przyznać, że jest szybki. Złapałem go, kiedy wychodził z banku, o piątej trzydziści po południu. Powiedziałem mu, że definitywnie wycofuję swój projekt z Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej Bryantów. Był wściekły, ale nie przypuszczałem, że zaatakuje w tym tempie.

Abby podniosła rękę.

- To notoryczny kłamca. Wszyscy powinni już o tym wiedzieć, a mimo to gazeta wydrukowała te bzdury.

- Zrób tak, jak planowałaś. Powiedz reporterce, że twoje życie prywatne to twoja prywatna sprawa. Możesz też powiedzieć, że

zachowałaś trzeźwość spojrzenia, bo w przeciwieństwie do obecnego burmistrza jesteś uczciwa. Powiedz jej też, że zmieniłem plany, żeby je lepiej dostosować do potrzeb lokalnej społeczności. Wykreśliłem z nich budynek klubowy, bo wcześniej nie wiedziałem o istnieniu „Bella Vista” i...

- To tym bardziej potwierdzi podejrzenia, że zmieniłam front dla osobistych korzyści. Zrezygnowałaś z jedynej rzeczy, która mogłaby być naszą konkurencją! Pomyślałaś, jak to będzie wyglądało?! - wpadła w histerię.

Colin poczuł, że wzbiera w nim gniew.

- Zrezygnowałem z budowy klubu, bo Hopetown nie potrzebuje jeszcze jednego centrum bankietowego. To ty chciałaś, żebym ograniczył projekt. Więc go ograniczyłem. To się nazywa kompromis. I to nie jest jedyna zmiana, jakiej dokonałem - podniósł głos. - Zastąpiłem każdy centymetr betonu płytkami z materiałów bardziej przepuszczalnych. Masz pojęcie, jak się to odbije na mojej kieszeni i moich zyskach?!

Abby ogarnęła rozpacz. Musi wreszcie przemówić mu do rozumu.

- Pieniądze? Tylko o to ci chodzi! Nie możesz o nich zapomnieć? Czasami odnoszę wrażenie, że jesteś równie opętany jak Tracy. Pieniądze nie przyniosły szczęścia moim rodzicom, prawda?

- Łatwo ci mówić. Twoją największą finansową troską było to, że Harley próbował przejąć waszą winnicę. Pamiętasz, jak się wtedy czułaś? Ale nawet gdyby mu się to udało, miałybyś gdzie mieszkać. Jedynym waszym zmartwieniem było utrzymanie rodzinnej rezydencji. Bo studia już ukończyłyście, bez konieczności spłacania kredytu studenckiego! A ja dopiero teraz skończyłem spłacać moją pożyczkę!

Abby czuła, że głowa jej pęka.

- To nie ma nic do rzeczy, w jakich warunkach się chowałam.

- Naprawdę? Kiedy będziesz rozmawiała z tą reporterką, powiedz jej, że jesteś najbardziej irytującą i upartą babą, jaką w życiu spotkałem. Możesz jej też powiedzieć, że nigdy się nie zniżyłaś do poziomu kogoś takiego jak biedny McCarthy. - Wstał i spojrzał na nią z góry. - A jeżeli tak się przejmujesz tym, co sobie ludzie pomyślą, bo mieszkamy pod twoim dachem, to mogę cię pocieszyć. Ja i Jessie wyprowadzimy się stąd w przeciągu godziny.

Abby się przeraziła.

- Gdzie ona się podzieje w ciągu dnia? I gdzie będzie spała?

- Może spać i bawić się w tym cholernym grobowcu, który rodzice zostawili mi w spadku do uporządkowania. Kupię tylko nowy materac. Jakoś sobie poradzimy. Roboty toczą się na drugim końcu domu, a poza tym zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, ile ludzi na wsi mieszka w swoich domach w trakcie remontu.

- Colin, przecież nie powiedziałam, że macie się wyprowadzić. Jessie będzie załamana, bo straci ostatni dzień kolonii. Samantha zaplanowała przyjęcie z pizzą.

- Jakoś jej to wynagrodzę. Sam kupię jej pizzę. A ty się nami nie przejmuj i wracaj do tej swojej cholernej wieży.

Wszedł, trzasnąwszy drzwiami. Abby patrzyła za nim zdezorientowana. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Nawet wtedy, kiedy przyjechał i był przekonany, że to ona stała się przyczyną wszystkich nieszczęść jego rodziny. Poczwała pod powiekami wzbierające łzy. Czyżby się myliła?

Nie przejmowałyby się przegraną w wyborach, gdyby nie to, że oznaczałaby ona kolejne cztery lata rządów Harleya Bryanta. Bóg jeden wie, ile jeszcze szkód zdążyłby wyrządzić w tym czasie. Jako burmistrz lekceważył żywotne potrzeby swojego miasta. Dobrze wiedziała, dlaczego tak zwlekał z wnioskiem o państwowe dotacje. Strumień państwowych pieniędzy wymusiłby zmiany, a napływ inwestorów związałby mu te jego chciwe ręce, natomiast szybkie przeforsowanie projektu Colina dawało mu wpływy z podatków od nowych nieruchomości. A tymi zarządzałby sam.

Ciężko pracowała nad swoim dobrym imieniem i nie miała ochoty, by łączono je z nowym skandalem, który stawiał pod znakiem zapytania jej uczciwość. Powinna jednak być na to przygotowana. Polityka na skalę lokalną jest znacznie trudniejsza, niż sobie wyobrażała.

Ale to już sprawa wtórna. Natomiast jej przegrana w wyborach oznaczałaby poważne kłopoty dla całej masy dobrych ludzi, którzy jej zaufali. To dla nich przede wszystkim chciała wygrać, nie dla siebie.

Pukanie do drzwi obudziło w niej nadzieję. Może to Colin przyszedł ją przeprosić? Zaraz mu wytłumaczy, dlaczego była taka wzburzona.

Ku jej rozczarowaniu w drzwiach stanął hotelowy gość.

Był to organizator klubu winiarzy z Ocean City w stanie Maryland. Przyjechali całą grupą w niedzielę, na tydzień, i wraz z Colinem i Jessie zajęli wszystkie pokoje w „Cliff Walk”,

Okazało się teraz, że winiarze postanowili wyjechać dzień wcześniej, ponieważ meteorolodzy zapowiadali sztorm zmierny na północ. Miał on przejść nad Wirginią i Maryland, po czym skręcić w stronę morza. Były wprawdzie spekulacje, że może w ciągu dnia nieco osłabnąć, goście zaczęli się jednak niepokoić. Półtorej godziny później Abby ich pożegnała.

- Nigdy nie ufaj meteorologom - powiedział jeden z nich, zanim wszedł do autobusu.

Abby patrzyła w ślad za odjeżdżającymi i nagle sobie uświadomiła, że zajęta ekspedowaniem grupy straciła rachubę czasu. Dopiero teraz zauważyła, że samochód Coli-na zniknął z parkingu. Pobiegnęła na górę, do pokoju w wieży. Drzwi były otwarte, a klucz wraz z czekiem leżał na telewizorze. Salonik był pusty. Podobnie jak pokój Jessie.

Zostawili nawet małe krzeselko, które dała Jessie dla lalki. Oszołomiona, usiadła na łóżku, bo miała poczucie, że ziemia usunęła się jej spod nóg. Jak to możliwe, że w krótkim czasie zdążyła się do nich tak bardzo przywiązać?

„Cliff Walk” całkiem opustoszał. Nawet Genevieve poszła do domu i miała wrócić dopiero nazajutrz, o ile zamówieni goście przyjadą na kolację. Abby poczuła się straszliwie samotna. Zwinęła się w kłębek na łóżku, zbyt zmęczona, by zapłakać. Dlaczego wszystko tak nagle się zmieniło?

Przez długie lata całym jej światem były te cztery ściany, a teraz nie obchodziło jej nic oprócz Colina i Jessie.

Po jakimś czasie obudziła się i przeszła do swojego pokoju. Poprzedniej nocy nie spała dobrze, bo Colin wydawał się zirytowany tym, iż odmawiała mu swego towarzystwa. A ona po prostu próbowała być poza wszelkim podejrzeniem. Bała się, że któryś z gości, będąc w mieście, mógłby rzucić całkiem niewinną uwagę, że odwiedza Colina w jego pokoju. Więc kiedy ją zapytał, czy nie chciałaby obejrzeć z nimi filmu, który wypożyczył dla Jessie, odpowiedziała „nie”. Colin wspominał jej nawet o swoich wizytach w banku, ale nie pytał, po co tam chodził. Taką



mieli umowę, że nie będą rozmawiali o projekcie „Torthuil Garden”. No i nie powiedział jej o pewnych sprawach. Nie przyszło mu do głowy, że chciałyby wiedzieć.

A ona nie chciała wiedzieć.

Przez cały dzień objęła się po „Cliff Walk”. Wysprzątała wszystkie pokoje, wyprała pościel i posłała łóżka. Kiedy skończyła, nastawiła płytę ze swoją ulubioną muzyką klasyczną i zaczęła przeglądać czasopisma w pokojach, wyrzucając te najstarsze. Potem wzięła się za kącik biblioteczny w rogu salonu i uporządkowała książki. Przyjęła też rezerwację na październik, zdziwiła się, że nikt nie przyszedł na kolację. Zadzwoiła więc do Genevieve i zostawiła jej wiadomość, że nie musi wracać do „Cliff Walk”.

Mimo to wciąż czuła się podminowana, dlatego postanowiła wybrać się na długi spacer. Na dziedzińcu przed winiarnią panował duży ruch. Nie chciało jej się z nikim rozmawiać, więc poszła do rezerwatu. To z kolei przypomniało jej spacer z Colinem i Jessie - zwłaszcza gdy dotarła na łąkę.

Gdzie by nie spojrzała, wszystko przypominało jej albo jedno, albo drugie z nich. Martwiła się o Jessie, zmuszoną do przebywania w pokoju Tracy przez cały dzień, ale stęskniła się też za Colinem. Zwykle o tej porze wracał z farmy.

Po powrocie do domu wstąpiła do kuchni i wzięła jakieś resztki z obiadu. Nie była głodna, więc postanowiła położyć się do łóżka.

Z niespokojnego snu wyrwało ją wołanie matki. Za oknami wiał przeciągle wiatr. Spojrzała na zegarek, była pierwsza w nocy. Usłyszała wściekle bębnienie deszczu o szyby. Co jej matka robiła na dworze?

Narzuciła szlafrok i zbiegła na dół, podświadomie czekając na grzmot. Latem rzadko trafiały się tu takie ulewy, chyba że towarzyszyły burzy. Przypomniała sobie tę noc, kiedy Colin stanął w progu z Jessie ukrytą pod peleryną, i jej serce ścisnęło się z bólu.

- Jezus Maria, mamo, co się dzieje? - zawołała, zbiegając z ostatnich schodków. - Co robisz na dworze w taką okropną pogodę?

Juliana popatrzyła na nią, jakby jej córka straciła rozum.

- Jak możesz teraz spać? I dlaczego nie zabezpieczyłaś mebli na werandzie? Samantha, daj mi dziecko, a sama pomóż Nickowi i Willowi wnieść fotele. Sprawdź też, czy przywiązali huśtawkę.

Abby odwróciła się i zobaczyła, jak z salonu wychodzi Samantha z Nikki na rękę. Czy oni wszyscy upadli na głowę?

- Przywieźliście tu Nikki w nocy, w taką ulewę? - zwróciła się do matki. - Poza tym, po co miałabym zabierać meble z werandy?

- Poziom wody w rzece bardzo się podniósł, Abby - powiedziała Samantha. - Pomyśleliśmy sobie, że byłoby głupio siedzieć w „Hopewell Manor” i czekać, aż nas zaleje. „Cliff Walk” jest położone nieco wyżej, więc będzie tu bezpieczniej. Abby, nie oglądałaś ostatnich wiadomości i prognozy pogody?

- Położyłam się o wpół do dziewiątej. Przez cały dzień nie oglądałam telewizji i nie słuchałam radia.

- Któreś z nas mogło do ciebie zadzwonić - westchnęła Juliana.

- Czy ten huragan zahaczył o nas? - zapytała Abby.

- Można tak powiedzieć - odparła Samantha i przekazawszy matce małą Nikki, podeszła do drzwi. Gdy je uchyliła, żeby się wymknąć na

dwór, na podłodze przy drzwiach utworzyła się kałuża. Abby nie ruszyła się z miejsca. Powinna ją wytrzeć, lecz w głowie miała kompletny zamęt.

- Huragan zawrócił i z całą siłą zaatakował Jersey. Teraz przeszedł już nad Jersey i resztą wschodniej Pensylwanii, ale dopóki wieje, zasysa masy wilgoci z oceanu.

Nagle cały ten ruch na dziedzińcu winiarni nabrał sensu.

- Według ostatnich prognoz na terenie całego regionu może spaść ponad trzydzieści centymetrów deszczu - ciągnęła dalej matka. - Nick poszedł sprawdzić poziom wody w rzece, a potem nas obudził. Boi się, że wały mogą nie wytrzymać, a mur retencyjny nie jest jeszcze gotowy. Dlatego uznaliśmy, że lepiej będzie zaryzykować jazdę do „Cliff Walk”, niż siedzieć w domu i czekać.

Abby zamarła z przerażenia. Colin i Jessie byli w „Torthuil”. Czy jest tam bezpiecznie?

Zdecydowanie nie, jeżeli woda przerwie wały. Matka jej ciągnęła dalej:

- Po burzach w tym tygodniu zrobiło się bardzo mokro. Hoptown i pozostałe miasta na południu są zagrożone.

- Co mówią prognozy? Kiedy przyjdzie wysoka fala i o ile podniesie się poziom wody w rzece? - głos Abby się załamał.

- Jeszcze nie przestało lać - odpowiedziała Juliana. - Trzeba włączyć radio. Może będą jakieś nowe komunikaty.

Lampa pod sufitem w holu zamigotała i zgasła, po chwili włączył się generator.

Abby skierowała się do biura.

- Muszę ostrzec Colina! - Colin nie miał radia, więc mógł o niczym nie wiedzieć. Będzie go błagała, żeby wrócił do „Cliff Walk”, bo tu jest wyżej. Obieca mu, że wykupi ogłoszenie w gazecie na całą stronę i powie w nim całemu miastu, że mają pilnować swojego nosa. Zrobi wszystko, byle tylko Colin i Jessie byli bezpieczni. Podniosła słuchawkę i usłyszała w niej głuchą ciszę. Podeszła do kredensu, gdzie ładowała się jej komórka.

- Wygląda na to, że telefony komórkowe też nie działają. - Juliana weszła do biura z Nikki w ramionach. - Do kogo dzwonicz?

- Do Colina. Przeprowadzili się z Jessie do „Torthuil” -  
Zdesperowana, odłożyła komórkę. - Nie działa. Muszę tam jechać.

- Nie, nie rób tego! Droga jest w gorszym stanie, niż myślałam. W tej chwili praktycznie zamieniła się w rwący strumień. Jeżeli prąd zepchnie cię w przepaść, nie pomożesz ani Colinowi, ani Jessie.

- Ale mammo...

- Nie! My przyjechaliśmy tu ciężarówką Nicka. Jeżeli oko cyklonu przesunie się dalej, może ci ją pożyczy albo sam cię zawiezie. Jeżeli nie, Colin będzie musiał sobie poradzić. Co mu strzeliło do głowy, żeby zabierać stąd dziecko, kiedy nadciąga huragan?

- Mógł nie wiedzieć, tak jak ja. - Abby osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. - Och, mammo, to wszystko moja wina.

- W sprawach pomiędzy dwojgiem ludzi wina zawsze leży po obu stronach - powiedziała Juliana spokojnie, przysiadając na brzegu biurka.

Abby spojrzała na zegar. Czy coś było pomiędzy nią a Colinem? Chyba tak. I gdyby nie jego plany zabudowy „Torthuil”, można by powiedzieć, że układało im się całkiem nieźle. Dlaczego nigdy o tym nie pomyślała?

Poczuła, jak matka głaszcze ją po włosach. Uniosła głowę i napotkała jej łagodne spojrzenie.

- Mów, co się stało - powiedziała Juliana.

- Pokłóciliśmy się o ten projekt Colina. On ma obsesję na punkcie pieniędzy. Jakby to one były miarą jego wartości, a nie jego charakter i dokonania. Jest inteligentny, utalentowany, miły i troskliwy, a przy tym to najlepszy ojciec, jakiego można sobie wymarzyć. Ale on uważa, że dla dobra Jessie musi zostać milionerem.

Matka spojrzała na nią zdeorientowana.

- Mamo, przecież to tata kazał Colinowi wyjechać przed laty.

Juliana osłupiała na moment, a potem powiedziała:

- Myślał, że robi to dla twojego dobra, chciał cię chronić. Gdybym wiedziała, byłabym go powstrzymała, ale nawet ja martwiłam się wtedy o ciebie. W tamtym czasie byłaś trochę za młoda i niedojrzała dla Colina. Widać też było, co czujesz do niego. I co on do ciebie czuje.

Nic dziwnego, że ojciec uwierzył Harleyowi, pomyślała Abby.

- Ale tata posunął się za daleko - powiedziała. - Zagroził Colinowi i McCarthym, że odbierze im „Torthuil”. Było to możliwe, bo spóźniali się ze spłatą. Powiedział im, że jeżeli Colin nie wyjedzie na zawsze, bank wejdzie im na hipotekę.

Juliana ze smutkiem potrząsnęła głową.

- James miał wielkie moce, ale nigdy nie umiał ich właściwie wykorzystać. Używał ich tylko wtedy, kiedy koniecznie chciał coś dostać. Więc kiedy Tracy zginęła...

Abby pokiwała głową i dokończyła za matkę:

- Zabronił Colinowi przyjechać na pogrzeb. A Colinowi w tym jego projekcie chodzi wyłącznie o to, żeby już nikt nigdy więcej nie miał takiej władzy nad nim i nad Jessie.

- Więc jesteś przeciwna temu projektowi?

- Owszem, chociaż artykuł w „Kurierze” sugerował, że zmieniłam front, bo jestem związana z Colinem. Byłam zresztą na coś takiego przygotowana. Miałam pretensje do Colina, bo nie powiedział mi, że znalazł nowe źródła finansowania. On nie mógł zrozumieć, czemu byłam zła. Dał im do ręki broń, a ja wyszłam na kłamczuchę. Mogę za to zapłacić przegraną w wyborach. Tak ciężko pracowałam, a oni porównali mnie do...

- Czytałam ten artykuł, córeczko. Kiedy wreszcie przestaniesz się martwić o nasze nazwisko? - Juliana uśmiechnęła się wyrozumiale. - Czy jest jakaś różnica pomiędzy obsesyjnym pragnieniem Colina, by zdobyć majątek, a twoim obsesyjnym pragnieniem naprawy tego, co zniszczył twój ojciec? Nazwisko to tylko nazwisko. A tak naprawdę liczy się tylko to, kim jesteś. I nie martw się. Prędzej czy później prawda zawsze wyjdzie na jaw.

Abby pokiwała głową. Prawda o przeszłości rzeczywiście wyszła w końcu na jaw. Lecz jak to możliwe, że jej matka, tak mądra, gdy chodziło o innych, potrafiła być taka ślepa w przypadku samej siebie?

- Jeżeli to prawda mamó, to dlaczego tak ci przeszkadza bogactwo Willa?

- On mnie okłamał - zachnęła się matka. Było to jej odwieczna wymówka, taka sama, jak jej własna na temat naprawy reputacji Hopewellów.

- Will zataił przed tobą prawdę, bo nie chciał, żebyś go oceniała na podstawie jego konta. Moja kochana mamó -dodała, ściskając ją za rękę. - Czy nie pora przyznać się wreszcie, kim jest dla ciebie Will?

- Oto pytanie, nad którym powinnam się zastanowić. -Przekrzywiła głowę. - Posłuchaj. Chyba się trochę uspokoiło na dworze. Nie jestem za tym, żebyś tam jechała, ale jeżeli jesteśmy w oku cyklonu, może zdążysz obrócić tam i z powrotem, zanim znów zaczniesz padać.

Nie chcąc tracić ani minuty, Abby pobiegła na górę, żeby się przebrać. Było jej wszystko jedno, w jakim stanie jest droga. Musi tam dotrzeć, musi..

Jeżeli woda przerwie wały. Jeżeli...

Nie, nie będzie o tym myślała. Po raz pierwszy w życiu tak rozpaczliwie pragnęła się mylić.

## Rozdział 15

---

Colin przymocował kolejny fragment płyty kartonowo-gipsowej na ścianie sypialni i zaczął dokręcać śruby. Pracował non stop od chwili, gdy się upewnił, że Jessie zasnęła. Nowy klimatyzator umieszczony pod oknem utrzymywał w jej pokoju miły chłód. Tym razem pełnił także dodatkową funkcję, maskując wycie wiatru i szum deszczu, który rozpadał się niecałe pół godziny po tym, jak położył ją do łóżka.

Nie przypuszczał, że sztorm będzie tak gwałtowny. Od grupy wyjeżdżającej z „Cliff Walk” dowiedział się, że „Daniel”, huragan pierwszej kategorii, miał w ciągu godziny osłabnąć i przerodzić się w tropikalny sztorm.

Teraz myślał o tym, że musiał on przesunąć się dalej na północ i w głąb lądu. Wiedziałby coś więcej, gdyby słuchał prognozy pogody, niestety radio zepsuło mu się poprzedniego dnia, a podczas jazdy samochodem pozwolił Jessie oglądać film na przenośnym DVD. Tyle przynajmniej mógł dla niej zrobić, by jej wynagrodzić nagłe przerwanie przyjęcia pożegnalnego dla uczestników kolonii.

Ucieszył się, że huragan wreszcie zaczął się odsuwać, i zabrał się za kolejny fragment ściany, a gdy warkot wiertarki przycichł na chwilę, wydało mu się, że słyszy na dole jakiś łomot. Przerwał, ale wokół panowała cisza, więc uznał, że musiało mu się coś przywidzieć ze zmęczenia.

Przygnębieniem napawał go fakt, że Jessie nie była z nim szczęśliwa i wyraźnie tęskniła za Abby. Prawdę mówiąc, on także za nią tęsknił. Co



za ironia losu! Szykował teraz piękną sypialnię zaprojektowaną z myślą o Abby, a ona może już nigdy więcej nie będzie chciała się do niego odezwać. Nadal nie mógł uwierzyć, że nerwy go tak poniosły.

To takie do niego niepodobne, żeby stracić panowanie nad sobą. A chociaż powiedział jej prawdę, byłoby lepiej, gdyby trzymał język za zębami.

Kolejna seria głuchych uderzeń wyrwała go z posepnych rozmyślań. Gdy schodził na dół po trzeszczących schodach, dotarło do niego, że ktoś dobija się do frontowych drzwi. Nie miał wprawdzie zegarka, ale musiało być koło drugiej. Na myśl o tym, że może to być Abby, serce zabiło mu szybciej w piersi. Może ona także nie mogła spać tej nocy? Otworzył drzwi i jego życzenie spełniło się - Abby nieomal rzuciła mu się na szyję. Nawet nie zdążył jej przeprosić, bo pierwsza wykrzyknęła:

- Przepraszam! Przygarnął ją do piersi.

- Ja też cię przepraszam, kochanie. Nie miałem prawa ci mówić, jak masz zareagować na ten artykuł.

- Mniejsza o to. - Wyrwała się z jego uścisku i chwyciła go za rękę. - Musisz natychmiast wracać ze mną do „Cliff Walk”!

- Rano. Teraz nie chcę budzić Jessie. Przez cały dzień była strasznie marudna. A skoro już się na mnie nie gniewasz, może mógłbym...

- Colin! Rano droga może być nieprzejezdna. Nick pojechał obejrzeć wały. Martwi się, że mogą nie wytrzymać.

- Przecież sztorm ustał. Wszystko będzie dobrze. Wy, tutaj, macie jakąś obsesję na punkcie tej rzeki.

- Colin! - W jej oczach malowało się przerażenie. - To nie jest zwyczajny sztorm, tylko huragan. I wcale nie przeszedł dalej. Jesteśmy w

oku cyklonu. Najgorsze dopiero nadchodzi i może się zacząć lada minuta. Musicie stąd uciekać!

Colin potrząsnął głową, by oprzytomnieć.

- Idę po Jessie - rzucił. Biegając na górę, zawołał - Nie słuchałem dziś prognoz pogody.

- Ja też nie - odpowiedziała, wchodząc za nim na piętro. - To mama przyjechała do „Cliff Walk” i obudziła mnie w środku nocy. Byłabym tu wcześniej, ale pozwoliła mi wyjechać dopiero wtedy, kiedy trochę zelżało.

- Bogu niech będą za to dzięki. Ta droga potrafi być podczas ulewy bardzo niebezpieczna. - Colin otworzył drzwi do pokoju, w którym spała Jessie, i osłupiał. Łóżko było puste!

- Gdzie ona jest? - zapytała Abby, zdyszana, zapalając światło.

Colin podbiegł do szafy i zajrzał do środka, ale szafa była pusta.

- Może pod łóżkiem? Abby uklękła.

- Nie, tu też jej nie ma!

- Może poszła mnie szukać? - Popędził do nowej sypialni.

- A może jest w swoim nowym pokoju? - zawołała Abby. Gdy wrócił do holu, był zlany zimnym potem. Abby sprawdziła już pokój Jessie, więc znowu się rozdzielili i każde z nich pobiegło sprawdzić kolejne pomieszczenia. Abby była w łazience i zaglądała do wanny, gdy pojawił się Colin. Potrząsnęła głową bez słowa.

- Na dole. Ona musi być na dole. - Colinowi głos się załamał. Nigdy jeszcze nie był tak przerażony. - Jessie! Jessie! - zaczął krzyczeć, pędząc na dół po schodach do przybudówki. Abby także rozpaczliwie wzywała Jessie, idąc przez jadalnię i salon do starej kuchni.

Spotkali się w słabo oświetlonym salonie i popatrzyli na siebie z rozpaczą. Colin czuł, że opadają mu ręce.

- Boże, Abby, a może ktoś ją porwał?

- Trzeba zadzwonić na policję! - Abby sięgnęła po ko morkę. - O, nie! - krzyknęła, podbiegając do balkonowych drzwi. - Tutaj też nie ma zasięgu!

Na czas remontu na budowie zainstalowano linię naziemną. Colin podbiegł do aparatu i podniósł słuchawkę. Panowała w niej głucha cisza.

- W „Cliff Walk” też nie działają telefony - powiedziała Abby. - A prąd mamy z awaryjnego generatora.

W tym samym momencie zgasły wszystkie światła.

- Nie ruszaj się z miejsca - powiedział Colin. - Zostawiłem latarkę przy łóżku Jessie.

Kiedy tam dotarł, okazało się, że latarka zniknęła. Zaczął macać na podłodze i pod łóżkiem, ale bez skutku. Przypomniawszy sobie, że ma większą lampę na baterie w sypialni, więc ruszył po omacku w tamtą stronę. Gdy jego wzrok oswoił się nieco z ciemnością, udało mu się ją znaleźć.

Krzyknął do Abby, że zaraz wraca, po czym raz jeszcze wstąpił do pokoju Jessie po drugą latarkę. Niestety, i tej nigdzie jej nie było. Zniknął też plecak Jessie, pluszowy pies oraz jej lalka.

- Gdzie ona jest, na Boga?

- Colin! - krzyknęła Abby. - Colin! Wydaje mi się, że widzę coś na dworze.

Wrócił biegiem do salonu. Abby nadal stała przy szklanych drzwiach do ogrodu, oparta o szybę.

- Jessie? - zapytał z niedowierzaniem, ale i nadzieją. - Trudno mi sobie wyobrazić, by wyszła na dwór po ciemku podczas burzy. Z drugiej strony, kiedy kładłem ją do łóżka, jeszcze nie padało i nie było całkiem ciemno. A ona nadal była na mnie zła.

- Nie, to nie ona - powiedziała Abby, pozbawiając go resztek nadziei.

- Ale coś tam leży na ziemi. Zobacz, po prawej stronie.

Colin otworzył drzwi do ogrodu i skierował silny strumień światła na coś, co przypominało kupkę szmat. Zeskoczył na ziemię, odwrócił się i pomógł Abby zejść, po czym popędził ku kolorowej plamie, oddalonej o jakieś pięćdziesiąt metrów

Gdy jej dopadł, osunął się na kolana i chwycił różowy materiał.

- To kołderka jej lalki.

Abby położyła mu rękę na ramieniu.

- Myślisz, że mogła być aż taka zła na ciebie, że próbowała wrócić do „Cliff Walk”?

Colin uniósł się z trudem. Kolana mu drżały.

- Jessie! Jessie! - zaczął krzyczeć, kierując się w lewo. Abby złapała go za rękę.

- Colin, kiedy tu jechałam, nie minęłam jej po drodze. Mama też jej nie widziała. Trzeba przede wszystkim sprawdzić, czy nie poszła nad rzekę, zanim zaczniemy szukać gdzie indziej.

Zabrzmiało to całkiem rozsądnie.

- Masz rację - powiedział. - Chodźmy nad rzekę.

- A stodoła? - zapytała. - Opowiadałam jej, jak schowałyśmy się kiedyś z Tracy w tej stodole, bo bałyśmy się Mary a twoja mama chciała dać jej nauczki.

Colin wytrzeszczył oczy. Czyżby to było aż takie proste?

- I co? Nauczyło ją to czegoś?

- Owszem. Że ludzie są ważniejsi niż... Nagle go olśniło.

- Niż rzeczy - dokończył za nią. - Jessie pytała mnie, dla czego musieliśmy opuścić „Cliff Walk”. A ponieważ zawsze mówię jej prawdę, powiedziałem, że pokłóciliśmy się, bo nie chcesz, żebym wybudował to osiedle. - Chwycił Abby za rękę i pociągnął w stronę stodoły. - Odpowiedziała mi że ludzie są ważniejsi od rzeczy. Ona musi tam być. Chciała mi dać nauczki.

Wiatr zerwał się nagle i znowu zaczęło lać. Kilka sekund wystarczyło, by przemokli do suchej nitki. Byli już blisko stodoły, gdy Colin wdepnął w płynącą wodę. Mogło to znaczyć tylko jedno: że rzeka przelała się przez wały. Im dalej szli, tym było głębiej. Colin musiał podtrzymywać Abby żeby prąd jej nie przewrócił. Przy samej stodole woda była nieco płytsza. Zaczął się modlić, żeby wały wytrzymały jeszcze trochę, żeby zdążyli wrócić do domu, zanim poziom wody się podniesie.

Gdy dotarli do stodoły, zobaczyli małe drzwiczki wycięte we wrotach, targane przez wiatr. Mieli cichą nadzieję, że to Jessie je otworzyła, i nie zamknęła później na haczyk. Weszli do środka i Colin zamknął drzwi na zasuwę. Wewnątrz stała już woda, ale przynajmniej nie płynęła tak wartko jak na zewnątrz.

I nagle Colin usłyszał najpiękniejszy dźwięk na świecie. Po raz drugi w życiu płacz Jessie napełnił radością jego serce. Dobiegał ze stryszku, na którym przed laty znalazł Abby i Tracy. Rozchlapując wodę, podbiegł do drabiny, ale pierwszy szczebel załamał się pod jego ciężarem.

- Jessie! Musisz do nas zejść! - zawołał. Jessie wychyliła głowę znad krawędzi stropu.

- Boję się, tatusiu. Próbowałam zejść, kiedy się uspokoiło, ale nie mogłam dosięgnąć szczebla.

No właśnie. Przypomniał sobie, jak wspinała się po drabinie, ale nigdy nie potrafiła zejść na dół.

- Może ta drabina mnie utrzyma - odezwała się Abby. - Jeżeli uda mi się tam wejść, podam ci ją na dół.

Colin skinął głową. Nie miał innego wyjścia. Uśmiechając się pokrzepiająco do Jessie, Abby zaczęła wspinać się po drabinie na stryszek, znajdujący się około pięciu metrów ponad ich głowami.

Colin patrzył za nią, wstrzymując oddech. Przysiągł sobie w duchu, że jeżeli wyjdą z tego bez szwanku, nigdy więcej nie spuści z oczu Jessie, ani tym bardziej Abby.

Abby dotarła wreszcie na stryszek i utuliła Jessie w ramionach.

- Chcę do tatusia - wyszlochała.

- Wiem, kochanie, wiem. Tata jest na dole. Zaraz cię stąd zdejmujemy.

- To był zły pomysł, Abby - oświadczyła Jessie. - Już nigdy, przenigdy nie będę próbowała dać tacie nauczki. Nawet nie wiesz, jak okropnie się bałyśmy z Mary Beth, chociaż były z nami takie kosmate zwierzątka.

Abby wzdrygnęła się z obrzydzeniem, a potem zachciało jej się śmiać. Usłyszała wołanie Colina i spojrzała na niego z góry. Ustawwszy latarkę na starym wozie, stał teraz tuż pod nimi.

- Najpierw zrzuć ci Mary Beth, żeby Jessie zobaczyła, że złapiesz ją bez trudu. - Oczy jej mówiły „Tylko, na miłość boską, nie upuść lalki!”

Odwróciła się do Jessie, która klęczała na sianie z Mary Beth pod jedną pachą i Hauhauem pod drugą. Biorąc od niej lalkę, pomyślała, że pewnie nie zechce rozstać się ze swoim pluszowym psem.

Potem, leżąc na brzuchu, wychyliła się poza krawędź stryszku i upuściła Mary Beth wprost w wyciągnięte ramiona Colina. Jessie w skupieniu patrzyła, jak złapał lalkę i posadził ją na wozie.

Zrzuciwszy lalkę, Abby ostrożnie przetoczyła się na bok i wstała, ale Jessie zniknęła.

- Jessie, gdzie jesteś? - zawołała, słysząc we własnym głosie nutę hysterii.

Jessie wyłoniła się z ciemności, niosąc latarkę i swój plecak.

- Chodź, założę ci plecak - powiedziała do dziewczynki. - Włożymy Hau-haua do środka, żeby się nie pobrudził i nie zamoczył - dodała, niemal wrywając jej z rąk zabawkę.

Założyła Jessie plecak, po czym postawiła ją na pierwszym szczeblu drabiny.

- Teraz podam cię tatusiowi - powiedziała do przerażonego dziecka.

- Ale do niego jest strasznie daleko! - Widać było, że się boi.

Abby spojrzała na Colina, po czym odwróciła wzrok. Jessie miała rację. A przecież rzeczy oglądane w dzieciństwie powinny po latach wydawać się mniejsze i nie takie straszne. Tym razem jednak tak nie było.

- Ale nie tak daleko, żeby tatuś nie mógł cię złapać, kotku - zawołał Colin. Czuł, że woda, sięgająca mu do kostek, zaczęła się podnosić.

- Będziesz się na mnie gniewał? - zapytała Jessie, patrząc w dół.

- Później o tym porozmawiamy. A teraz musisz nam zaufać i robić dokładnie to, co ci powiemy. To bardzo ważne. Nie bój się, nic ci się nie stanie - obiecał jej solennie. A ponieważ zawsze mówił jej prawdę, tym razem też mu uwierzyła.

Abby przetoczyła się znowu na brzuch i chwyciła Jessie za rękę.

- Raz, dwa, trzy - policzyła, a potem rozhuściła dziewczynkę.

- Dobrze. Teraz! - Wykrzyknął Colin i wtedy puściła Jessie.

Zamknęła oczy, wstrzymała oddech i czekała, dopóki nie zawołał -  
Widzisz, złapałem cię, Jessie! Tatuś cię złapał! Teraz poczekamy na Abby.

Nie tracąc czasu, Abby zaczęła schodzić po drabinie. Wiedziała, jak szybko rzeka potrafi przybierać. Nagle szczelbel pękł pod naciskiem jej ręki i poleciała z krzykiem do tyłu. Lądowanie nie było jednak tak twarde, jak się obawiała, bo jakimś cudem wylądowała w ramionach Colina. Popatrzyli sobie przeciągle w oczy i znowu każde z nich poczuło coś miłego. Czy to miłość, czy tylko wdzięczność?

- Widzisz, ciebie tatuś też złapał - zawołała Jessie z wozu i czar przysł.

Colin postawił Abby na ziemi. Lodowata woda ostudziła jej gorące zapały. Obiecała sobie, że wróci myślami do tej chwili, jak tylko uporają się z bieżącymi problemami. Musieli przecież pokonać wiatr, deszcz i coraz głębszy, rwący strumień. Dopiero gdy Jessie znalazła się na dole, dotarło do nich, że stodoła podejrzanie trzeszczy.

- Musimy stąd uciekać. Gdybym miał pewność że wytrzyma, na pewno bezpieczniej byłoby zostać w środku, w wozie, ale... - Colin spojrział na wrota, podbiegł do nich, otworzył małe, zapasowe drzwiczki, a potem znów je zatrzasnął. - Mam pomysł, jeżeli ten stary wóz jest jeszcze



na chodzie... - Poklepał grube boczne deski. - Wytoczmy go na dwór i schowamy się za nim. Może ochroni nas przed siłą wiatru i płynącej wody. Na moje oko w stodole jest już jakieś dwadzieścia centymetrów. Pomożesz mi go wypchnąć? Musimy tylko przeciąć rwącą strugę. Potem będzie lepiej, bo teren wznosi się do góry.

- A co z wrotami stodoły?

- Obejrzałem je. Są w bardzo złym stanie. Zwłaszcza zawiasy. - Podniósł Jessie, wepchnął jej lalkę do plecaka, a potem przywiązał ją do siebie znaną liną. Potem kazał Jessie skulić się na dnie wozu i zapewnił ją, że zabawki są bezpieczne w plecaku. Jessie przez cały czas paplała radośnie, jakby brała udział w jakiejś wielkiej przygodzie.

Patrząc na tę dwójkę, Abby pomyślała, że jeżeli będzie kiedyś miała dzieci, chciałaby, aby miały tak dobrego ojca jak Colin. Kogo oszukujesz, kobieto? - upomniała samą siebie. Przecież chcesz, żeby ich ojcem był Colin. Nareszcie to zrozumiała. W jej życiu nigdy nie było innego mężczyzny oprócz Colina. Tylko na nim jej zależało, tylko jemu ufała i tylko jego... kochała.

- Myślę, że wiatr wyrwie wrota, jeżeli je otworzę, ale nie mam innego wyjścia - odezwał się Colin do Abby, która stała obok, drżąc z zimna. Lodowata woda wyciągała z niej wszystkie siły. Mimo to chciała być tylko tutaj, u jego boku, walcząc o bezpieczeństwo Jessie.

Colin powiedział jej, że ma stawiać stopy obok kół, żeby prąd nie ściął jej z nóg. A potem popchnął z całych sił wóz, który zaczął się wolno toczyć w kierunku wrót. Na szczęście teren opadał lekko w dół. Dzięki temu wóz siłą rozpędu powinien przejechać przez głębszą wodę.

Ledwie Colin otworzył wrota, lewe skrzydło oberwało się i miotane wiatrem potoczyło się w stronę rzeki.

- Chyba wystarczy miejsca, żebyśmy mogli wypchnąć go na dwór? - zawołała Abby, mrużąc oczy pod wiatr.

Colin potrząsnął głową.

- Wolę nie ryzykować. Drugie skrzydło mogłoby się oberwać i upaść na nas, kiedy będziemy przechodzić obok. Lepiej się ich od razu pozbyć. - Podważył drągiem drzwi z prawej strony, a kiedy udało mu się je odrobinę uchylić, wichur wyłamał je i porwał w ciemność.

Colin wyczołgał się ze stodoły wprost w rozszalały żywioł. Abby chciała mu pomóc, ale musiała trzymać linę którą obwiązał Jessie. Wiedziała, czego po niej oczekiwał Miał strzec jego dziecka.

Po chwili cofnął się do stodoły i oparł o wóz.

- Podaj mi linę - wysapał. Złapał za koniec i ciężko dysząc obwiązał Abby w talii, a gdy chciała zaprotestować, po trzasnął głową. - Nie kłóć się. Nie chcę stracić żadnej z was - powiedział, wiążąc gruby węzeł.

Co mogła na to powiedzieć? Pozwoliła mu to zrobić i stanęła przy przednim kole, żeby i on obwiązał się liną w pasie.

- Zaczynamy - powiedział. Wóz zaczął się toczyć przed siebie.

Na dworze wiatr sieknął im deszczem w twarz, pozbawiając tchu. Przebijali się mozolnie przez ścianę ulewy, walcząc o utrzymanie się na nogach. Na szczęście wóz stanowił solidną osłonę przed naporem wiatru i rwącej wody, się gającej im już grubo powyżej kostek. Gdy w końcu prze dostali się na położoną wyżej łąkę, Colin chwycił Jessie na rękę, a drugim ramieniem objął Abby, pociągając ją w stronę domu.

Byli już tuż-tuż, gdy Abby zobaczyła grubą gałąź, którą wicher niósł prosto na nich.

- Colin! - Rzuciła się na ziemię, pociągając za sznur, do którego byli przywiązani.

Ledwie Colin i Jessie upadli na trawę, gałąź przeleciała nad ich głowami. Colin podniósł się po chwili, oszołomiony, popatrzył na Abby, a potem podał jej rękę i pomógł wstać.

Popędzili w stronę domu, ślizgając się po błocie. Gdy dobiegli do ciężarówki, Colin wepchnął Abby do środka, rzucił jej na kolana Jessie i zatrzasnął drzwi, a potem obiegnął wóz i usiadł za kierownicą. Wziął Jessie w ramiona, ucałował, po czym przypiął ją na tylnym siedzeniu, za Abby. Dziewczynka, tak zazwyczaj żywa, siedziała cicho jak trusia, ale nie płakała.

- Czy to już koniec naszej przygody, tatusiu? - zapytała. - Będziesz się na mnie gniewać?

Colin uśmiechnął się do niej. Nie miał siły udawać, że jest na nią zły.

- Dostaniesz obiecanego szczeniaka, ale dopiero kiedy przeprowadzimy się do naszego domu.

- Och, tatusiu... - Jessie aż się zająknęła. - Czy to znaczy, że wracamy do „Cliff Walk” i zamieszkamy u Abby?

- Tak - odpowiedział, po czym ujął Abby za rękę i pocałował ją.

- Nie wiem, jak ci dziękować - wyszeptał. - Uratowałaś Jessie życie.

- Nie potrafię tego teraz wytłumaczyć. Miałam przeczucie, że możesz nie wiedzieć, co się dzieje z pogodą. Musiałam do ciebie pojechać.

Wyprostował się i mrugnął znacząco. - Zawsze będziesz mile widzianym uczestnikiem naszych przygód. Prawda, Jessie? Nie doliczymy ci dodatkowej opłaty za kąpiel błotną.

Abby popatrzyła w lustro. Włosy kleiły jej się do głowy, twarz miała umazaną błotem, żeby już nie wspomnieć o reszcie. Wybuchnęła śmiechem. Gdzie się podziała ta zapięta na ostatni guzik pedantka, która powitała Colina w recepcji „Cliff Walk”?

To już zamknięty rozdział, nie ma jej już, a wszystko dzięki Colinowi, który wniósł w jej jałową egzystencję miłość, o jakiej zawsze marzyła.



## Rozdział 16

---

Colin ocknął się nagle. Gdzie jest Jessie? Gdzie Abby? Sąsiednie łóżko było puste. Ogarnęła go panika. A potem powiódł wzrokiem po pokoju i uspokoił się. Byli znowu w „Cliff Walk” i nic im już nie groziło.

Co więcej, na dworze świeciło słońce!

Abby zaproponowała mu pokój, w którym zamieszkali po przyjeździe do „Cliff Walk”, na wypadek gdyby Jessie się bała i chciała mieć tatę pod ręką. Prawdę powiedziawszy, to raczej on bardzo długo nie mógł dojść do siebie. Miniona noc na zawsze zapisze się jako koszmar w jego pamięci.

Jessie na szczęście nie przeżyła aż takiego szoku. Ledwie dotarli do „Cliff Walk”, zaczęła w podnieceniu opowiadać wszystkim o przygodach, których on wolałby już nigdy więcej nie doświadczyć.

Zanim zmyli z siebie błoto i położyli się do łóżka, za oknami zaczęło świtać. Colin szybko się zorientował, że mimo zmęczenia nie zaśnie. Przeszkadzał mu dziwny zgiełk na dworze i jak najszybciej chciał się zorientować w skali zniszczeń. Zwlókł się więc z łóżka sztywny i obolały i wyjrzał przez okno. Za drzewami grupka ludzi rozbijała wielki namiot z czerwonym krzyżem.

Ubrał się błyskawicznie, otworzył drzwi i omal nie zderzył się z Abby. Cofnąwszy się, chwycił ją w ramiona, bo się potknęła. I jak zawsze, gdy jej dotykał, przeszedł go prąd.

- Och, wstałeś już - powiedziała. - Miałam zapukać. Nie martw się o Jessie. Jest u Caro. Razem ze wszystkimi dziećmi. - Z naręczem poszewek

podeszła do łóżka, na którym spała Jessie, i przewiesiła je przez oparcie w nogach. A potem w ekspresowym tempie zaczęła zdejmować pościel. - Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że przeniosę was z powrotem do apartamentu w wieży. Jessie już się tam zadomowiła. Martwiła się, że będzie musiała wrócić na farmę. Chciała też wiedzieć, czy będzie mogła zatrzymać to wysokie krzeselko.

Colin zachnął się.

- Och, naprawdę...

- Nie ma o czy mówić. Dałam jej to krzesło. Jest jej i ona o tym wie.

Dla niego było to zupełnie nieistotne. Obszedł łóżko i pomógł je pościelić.

- Spałaś choć trochę? - zapytał, bo uderzyła go jej bladość.

- Mówiłam ci, że się chwilę przespałam przed przyjazdem mamy.

- Powinnaś była odpocząć. Trzeba było mnie obudzić, jeżeli Jessie sprawiała ci kłopoty.

- Chciałam, żebyś się przespał kilka godzin. - Wygładziła z wprawą narzutę. - A Jessie to żaden kłopot. No, chyba, że znów zechce się schować w stodole, która lada chwila spłynie z wodą w dół rzeki. Idź teraz do Genevieve, niech cię nakarmi.

Colin zasalutował.

- Rozkaz, kapitanie.

Zamrugnęła, jakby dopiero teraz się ocknęła.

- Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że zaczynam wydawać rozkazy. Robię to od rana, ze wszystkimi. Ale rzecz w tym, że jest tak strasznie dużo roboty. I nawet nie wiadomo, co się dzieje - dorzuciła z rozpaczą.

- Domyślam się, że ten olbrzymi namiot ma z tym coś wspólnego. Abby pokiwała głową.

- Po przejściu sztormu przywrócono łączność komórkową. Mama udostępniła naszą posiadłość Czerwonemu Krzyżowi. Rozesłaliśmy informację, że przyjmujemy każdego, kto jest w potrzebie. Mama, Nick i Will rozstawiają składane łóżka w „Bella Villa”. Mąż Caroline, Trey, jest lekarzem, więc zadba o poszkodowanych. Sam zajmie się winnicą, a ja zainstaluję starsze osoby w „Cliff Walk”. Właśnie dlatego miałam cię obudzić. Ten pokój jest mi potrzebny dla sióstr Schroder, które mieszkają w tym czerwono-zielonym domku na południe od naszej posiadłości.

Colin zmarszczył brwi.

- Przecież tam jest w miarę wysoko. Abby zmieszala się.

- No... tak. Ale, jak już mówiłam, to starsze panie. Muszę już lecieć.

Nagle obudziła się w nim podejrzliwość. Coś było nie tak. Coś się nie zgadzało.

- Wykrztuś to wreszcie. Co się dzieje?

- Chciałam, żebyś najpierw coś zjadł - powiedziała ze skruszoną miną. - Masz jeszcze czas. Fala kulminacyjna jest spodziewana dopiero koło czwartej po południu.

- Czuję, że to jeszcze nie wszystko. Abby ciężko westchnęła.

- Według komunikatów meteorologicznych fala kulminacyjna ma wynosić trzydzieści trzy koma pięć. Czyli absolutne maksimum dla naszego miasta zostanie przekroczone o cztery i pół metra!

Colin przeciągnął ręką po włosach. Pochodził stąd, więc plan miasta znał na pamięć.

- To oznacza, że będziemy mieli trzy metry wody w środkowym odcinku Main Street. Niewiele brakuje, by rzeka przelała się przez wały. Te przy „Torthuil” już częściowo zawiodły. A ty pozwoliłaś mi spać?

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Colin, jest dopiero ósma rano. Na wieść o tym, co się dzieje, trzech ludzi z twojej ekipy zdołało dotrzeć do „Torthuil”, zanim River Road znalazła się pod wodą. Zabrali ze sobą ciężki sprzęt. Will mówi, że spychają buldożerami ziemię w te miejsca, gdzie wały zaczęły przeciekać.

- Zaraz do nich pojedę. A jak jest u was? Miała taką zmartwioną minę, że wziął ją za rękę.

- Wolontariusze okładają naszą część wałów workami z piaskiem - powiedziała. - Proszę cię, zjedz coś - dodała ze łzami w oczach. - Możesz być spokojny, zajmiemy się Jessie. Zobaczymy się później.

Reszta dnia minęła mu jak w jakimś obłędzie. Pojechał do „Torthuil” i podziękował swoim ludziom za pomoc. Już przed jego przybyciem zrobili wszystko, co można było zrobić przy pomocy przywiezionego sprzętu. Podwyższyli też wały i za jego poradą wzmocnili je kamieniami, które miały być użyte do budowy domu.

Gdy wszedł do sypialni po narzędzia, zobaczył przez okno coś, co przykuło jego uwagę: ruiny stodoły. Przypomnił sobie, że kiedy w nocy wsiadali do ciężarówki, wydawało mu się, iż poprzez wycie wiatru słyszy trzask łamanych krokwi. Z najczulszą wdzięcznością pomyślał o Abby. Gdyby nie ona, Jessie zginęłaby w tej stodole.

Jedno było już dla niego absolutnie jasne - będzie musiał zmienić swoje plany. Bowiem bez względu na opinię ekspertów i rozmiary



przyszłego osiedla, „Torthuil” zawsze będzie się znajdowało na terenach zalewowych.

Problemu tego nie rozwiążą przepuszczalne chodniki i ograniczona zabudowa. Nawet gdyby obecny sztorm miał być ostatnim na tym obszarze, nie zamierzał dodawać ani jednej kropli wody do rzeki przepływającej przez Hopetown. Czym są pieniądze wobec czyjegoś zrujnowanego życia? Abby wiedziała to od dawna, a on zrozumiał dopiero teraz. Nie można budować własnego dobrobytu na cudzej krzywdzie.

Odwrócił się od okna i poszedł zabrać narzędzia i kolekcję Tracy. Jeżeli sprawdzą się najgorsze prognozy, o piątej po południu te figurki i smoki oraz jeden poźółkły plakat będą wszystkim, co mu pozostanie po „Torthuil” dla Jessie. Nadal jednak będzie miał wspomnienia - i Jessie, dzięki Abby. Zostanie mu też firma, będzie więc mógł utrzymać rodzinę.

Wrócił do winnicy, by pomóc powodzianom, którzy musieli opuścić swoje domy nad rzeką. Od czasu do czasu udało mu się zobaczyć w przelocie Abby, doglądającą wszystkich spraw.

W południe wrócił do rezydencji Hopewellów, żeby pomóc pakować piasek do worków oraz zawieźć lunch Nickowi, Willowi i wolontariuszom. Po jakimś czasie skończył się zapas worków, a poziom rzeki nadal się podnosił. W tej sytuacji, bezradni wobec sił natury, skupili się na ratowaniu domu. Przenosząc antyczne meble i pamiątki rodzinne na wyższe piętro, Colin modlił się w duchu, by okazało się to niepotrzebną stratą czasu.

O czwartej skończyli opróżniać parter i wolontariusze skierowali się do winnicy, by z wyżej położonych terenów obserwować, czy ich wysiłki przyniosły jakieś efekty. Colin wraz z Nickiem i Willem udali się nad

rzekę. Przybór wody zatrzymał się na wysokości trzydziestu centymetrów poniżej krawędzi wałów. Niestety, mieli też świadomość, że nic nie jest w stanie uratować dolnej części Hopetown, zalewanej od wielu godzin. Colin, jak wszyscy, zamierzał pomóc przy usuwaniu skutków powodzi, chciał jednak zrobić coś więcej.

Wrócił do winnicy i pomógł Abby wydawać obiady, a potem, trzymając się za ręce, poszli do Caro i Treya po Jessie. Abby była zmęczona i przygnębiona. Jej przyjaciele znaleźli się w niebezpieczeństwie, a ona nie mogła przyjść im na ratunek, bo drogi i mosty zostały zalane.

Po drodze rozmawiali tylko o szkodach na terenie winnicy oraz rezerwatu. Sprawy prywatne przestawały się liczyć wobec takiego ogromu zniszczeń i ludzkiego cierpienia.

Colin doszedł do wniosku, że później powie Abby o zmianie planów dotyczących osiedla. Teraz miał już absolutną pewność, że ją kocha i pragnie spędzić z nią resztę życia. Po ostatniej nocy nie mógł dłużej wątpić w jej uczucia. Nie wiedział tylko, czy Abby odważy się zaufać miłości i pójdzie za głosem serca.

Jak ma ją przekonać, by mu zaufała? Nie miał pojęcia.

Nagle przypomniał sobie słowa Genevieve. „Znajdź coś, czego nikt inny nie będzie mógł jej dać”.

Początkowo sądził, że tym czymś mogła być rezygnacja z budowy osiedla. Nie podjął jednak w tym celu żadnych kroków, bo tak strasznie chciał odnieść sukces. Potem wmawiał sobie, że mógłby dać jej Jessie, którą niewątpliwie zdążyła pokochać. Do tego stopnia, że chociaż się pokłócili, zaryzykowała własnym życiem, by uratować jego dziecko...

Zresztą jemu także ocaliła życie, mówiąc szczerze. Mimo to wciąż nie był pewny jej reakcji.

Jeżeli chce przekonać Abby o swojej miłości, musi jej okazać, że ją kocha bezwarunkowo. Taką, jaką jest. A on tego nie zrobił.

Okazał się egoistą. Złościł się na nią. Próbował ją zmienić. Domagał się, by przedłożyła własne szczęście nad szczęście bliźnich. I nawet jeżeli przejmowała się tym, co ludzie o niej mówią, czy można było mieć jej to za złe? Przecież Hopetown to jej rodzinne miasto. Ma tu przyjaciół i znajomych, na których opinii jej zależy. Mieszkańców Hopetown, o których głosy zabiega, by zostać burmistrzem - dla ich dobra, a nie dla własnych korzyści.

Abby była jedyną osobą, oprócz Jessie, której zdanie się dla niego liczyło. Kłamałby też, mówiąc, że nie pragnął, aby była z niego dumna. Na szczęście wreszcie zrozumiał, co próbowała mu przez cały czas powiedzieć. Że o wartości człowieka stanowi jego charakter, a nie tylko stan konta bankowego.

On także został wychowany w tym duchu, lecz omamiony żądzą bogactwa i władzy zapomniał o tym na całe lata. Na szczęście dzięki Abby opamiętał się w samą porę.

W samą porę, by pomóc Hopetown.

A także w samą porę, by przekonać Abby, że może spokojnie powierzyć mu swoje serce.

## Rozdział 17

---

Następnego dnia po przejściu fali kulminacyjnej, Abby spoglądała w dół z tarasu na tyłach „Cliff Walk”. Wody nareszcie opadły. Godzinę później transport Czerwonego Krzyża wyruszył z wolontariuszami do miasta. Abby pojechała z Nickiem, a Colin zabrał swoich ludzi oraz ciężki sprzęt. Gdy dojechali na miejsce, byli zaszokowani rozmiarem zniszczeń, jakie pozostawiła po sobie powódź.

Budynki położone wzdłuż Main Street były w tragicznym stanie. Ustępująca fala pozostawiła na nich ślady na wysokości trzydziestu centymetrów ponad poziomem pierwszego piętra od strony rzeki, a od strony ulicy pod sufitem parteru.

Rzeka nie tylko wylała, ale i rozpełzła się po całym mieście, jakby chciała ukarać wszystkie te miejsca, w których normalnie nie wolno jej było płynąć. Łamała drzewa i płoty i niosła ze sobą ich szczątki, które wybijały okna, zrywały linie elektryczne oraz szyldy na budynkach.

A jednak w tym strasznym dniu działo się coś niesamowicie dobrego. Wszyscy przedsiębiorcy pomagali sobie nawzajem, a mieszkańcy, którzy uciekli przed powodzią, także pospieszyli z pomocą. Abby była dumna, że może pokazać Colinowi tę stronę jej miasta - ich miasta.

- Kiedy pierwszego dnia po powrocie spotkałem twoją mamę, powiedziała mi, że atmosfera w Hopetown diametralnie się zmieniła. Nie ma już tak wyraźnych podziałów społecznych jak za czasów mojej

młodości. Przyznam, że cieszę się z tego - stwierdził, po czym z werwą zabrał się do roboty.

Przez cały dzień, dokąd by Abby nie poszła, widziała go przy pracy lub wydającego polecenia, słyszała też, jak ludzie mówią, ile zawdzięczają jemu i jego ekipie. W którymś momencie przedstawiła go Harry'emu Clarkowi, który próbował oczyścić swój zalany błotem sklep z rowerami.

- To jeden z ludzi, z którymi siedziałaś na zebraniu rady miejskiej - powiedział Colin. - Więc twój przyjaciel jest właścicielem sklepu z rowerami. Czego jeszcze ciekawego dowiem się o pani, panno Hopewell?

Uśmiechnęła się i szepnęła mu do ucha:

- To moja słodka tajemnica.

Colin został i pomagał Harryemu, dopóki jego ludzie nie wezwali go na drugi koniec miasta. Wypompowywano tam wodę z podziemnego garażu pod osiedlem małych apartamentowców wybudowanych tuż nad rzeką. Powstały one zaledwie trzy lata temu i miały być nowoczesną wersją domów o szalowanych ścianach, przeważających na tych terenach. Jednak zdaniem Abby były po prostu brzydkie.

Wieść o tym, co się stało w Hopetown, rozeszła się lotem błyskawicy. Mówiono, że ekipa inżynierów z Pensylwańskiego Pogotowia Kryzysowego miała ręce pełne roboty i będzie mogła przyjechać dopiero nazajutrz. Domy nad rzeką, wybudowane przez szwagra Harleya Bryanta, bardzo poważnie ucierpiały podczas katastrofy. Reklamowano je jako zabezpieczone przeciwpowodziowo, jednak ludzie Colina uważali, że są niebezpieczne. Komendant Straży Pożarnej chciał wiedzieć, co myśli na ten temat Colin jako architekt, by móc przekazać wiadomość, czy mieszkańcy osiedla mogą wracać do domów, czy nie.

Gdy Abby zajęła pod pierwszy budynek, Colin wychodził właśnie z podziemnego garażu. Miał żółty kask, który zdjął i rzucił go jednemu ze swoich ludzi. Najpierw porozmawiał z komendantem, a potem zwrócił się do szefa wspólnoty mieszkaniowej. Rozmawiali przez kilka minut, po czym uścisnęli sobie ręce i Colin odszedł. Na widok Abby skierował się w jej stronę.

- Co się tu dzieje? - zapytała. Colin zmarszczył brwi.

- Ten dom to śmiertelna pułapka. Rzeka podmyła fundamenty.

- O Boże, Colin! Czy ludzie mogą wejść do środka, żeby zabrać swoje rzeczy?

Colin potrząsnął głową.

- Nie, bo to zbyt niebezpieczne. Nie liczyłbym też na to, że drugi budynek będzie stabilny, nawet jeżeli do wieczora uda nam się wypompować wodę z dolnego poziomu. -Z westchnieniem pokręcił głową.

- Nie wiem, jak szwagier Harleya mógł twierdzić, że te domy mają zabezpieczenia przeciwpowodziowe. Obiecałem ich mieszkańcom, że pomyślę nad jakimś rozwiązaniem, ale dopiero gdy minie kryzys. Nie będzie to tanie, ale wspólnota miała na szczęście ubezpieczenie na wypadek powodzi.

Abby pomyślała ze współczuciem o tych wszystkich nie-szczęśnikach, którzy wykupili mieszkania w tak ohydnych budynkach. Potem spojrzała na Colina. Był tak zmęczony i przybity, że postanowiła rozchmurzyć jego przygnębioną minę.

- Czy da się coś zrobić, żeby te domy nie były takie brzydkie?

Colin zerknął przez ramię i odpowiedział ze śmiechem:

- Nie jestem cudotwórcą, kochanie.

Nie mogli długo rozmawiać, bo Colin został odwołany przez swoich ludzi. Okazało się, że woda nadwerżyła fundamenty jednego z najstarszych budynków w mieście.

- Wobec tego zobaczymy się później - powiedziała Abby i wspiąwszy się na palce, pocałowała go w policzek.

Patrzyła później na niego, pełna tkliwej dumy, gdy klęczał obok jubilera Scotta. Timmonsa i wspólnie oglądali fundamenty pod jego sklepem. Miała nadzieję, że Colin potrafi uratować budynek, w którym mieściła się niegdyś pierwsza biblioteka w Hopetown.

Wtem usłyszała swoje nazwisko i odwróciła się niechętnie. Stała oko w oko z Madeleine Booker, autorką artykułu, który pokłócił ją z Colinem.

- Panno Hopewell - zaatakowała ją reporterka - Czy po tej ostatniej powodzi zamierza pani zrewidować swoje stanowisko wobec projektu Colina McCarthy'ego?

- Po pierwsze, nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek była innego zdania w kwestii budowy tego osiedla. Zawsze powtarzałam, że powinno się wstrzymać wszelkie pozwolenia na budowę domów. I to się nie zmieniło. Powinna była pani zadzwonić do mnie i autoryzować swój tekst. Harley Bryant nie jest wiarygodnym źródłem informacji.

- Czyli zaprzecza pani pogłoskom, jakoby łączyły panią bliższe stosunki z Colinem McCarthym?

Abby uśmiechnęła się. Nagle do niej dotarło, że przed chwilą pocałowała Colina na oczach całego miasta, nie bacząc na to, co sobie ludzie pomyślą. A już najmniej obchodziła ją opinia Madeleine Booker. Zrobiła to, co uważała za stosowne... i miłe.

- Nie, wcale się tego nie wypieram.

Pani Booker zachnęła się, wyraźnie zdeprimowana.

- Czyli... przyznaje się pani do bliższej znajomości z McCarthym, o czym mówił burmistrz Bryant?

Abby uśmiechnęła się.

- A pani właśnie się przyznała, że to Harley był źródłem pani informacji. - Spojrzała na panią Booker, ale ta milczała, naburmuszona. - Na pani miejscu byłabym odtąd ostrożniejsza w publikowaniu takich rewelacji. I jak już wspominałam, nigdy nie zmieniłam zdania na temat osiedla „Torthuil Garden”. Uzgodniliśmy z Colinem, że w tej kwestii mamy prawo się nie zgadzać.

- Naprawdę uważa pani, że jest pani w stanie zachować bezstronność?

Abby spojrzała na nią z wyższością.

- To się nazywa niezależność, pani Booker. Startuję w wyścigu o fotel burmistrza wyłącznie dla dobra tego miasta.

- Nasz obecny burmistrz podejrzewa jednak, że McCarfhy'ego aż tak bardzo nie interesuje dobro tego miasta. Jak może pani to pogodzić?

- Mogę, bo Colin to dobry człowiek. Kiedy wytłumaczyłam mu, na czym polega problem, zmienił plany, zmniejszając w znacznym stopniu rozmiary osiedla. Nie wiem, co teraz robi. Niech go pani zapyta. Może też powinna go pani zapytać, kiedy zaczął szukać nowych kredytodawców. Było to tuż po ostatnim zebraniu rady miejskiej.

- Powiedziała pani, że startuje w wyborach na burmistrza dla dobra Hopetown. A może to po prostu walka dwóch najznamienitszych rodzin o władzę i wpływy w tym mieście?



- Ma pani na myśli Bryantów i Hopewellów? Mam nadzieję, że nie wszystkim chodzi o władzę i wpływy. Przyjechałam tu dziś, aby pomóc mieszkańcom naszego miasta, i z tych samych powodów pragnę zostać burmistrzem. Mamy wiele problemów, a ja jestem pewna, że potrafię je lepiej rozwiązać niż Harley Bryant. Na lipcowym zebraniu nazwał on wiosenne powodzie „drobnym problemem Main Street”, po czym przesunął dyskusję nad wnioskiem o federalną dotację, która pomogłaby nam rozwiązać tę kwestię, na termin późniejszy. - Abby wskazała na błoto i szlam, które trzeba będzie usunąć, a także na wciąż zalane tereny nadbrzeżne. - Czy to wygląda, pani zdaniem, na „drobny problem”?

Madeleine Booker zmarszczyła brwi, a potem obie z Abby poszukały wzrokiem Colina. Stał po kolana w wodzie, kreśląc jakieś znaki na ścianie budynku. Tłumaczył coś przy tym swoim ludziom oraz grupce mieszkańców.

Abby znów spojrzała na Madeleine Booker, ale dziennikarka stała odwrócona i patrzyła w głąb Peyton Street, gdzie Harley, w swoim najlepszym letnim garniturze, brylował w kręgu telewizyjnych kamer i mikrofonów.

Po chwili pani Booker odwróciła się i zlustrowała Abby wzrokiem, od mokrego kucyka po zabłocone dżinsy i tenisówki. Różnica między nią a Bryantem była uderzająca.

Abby zaśmiała się cicho.

- Teraz rozumie pani chyba, że mieszkańcy tego miasta nie będą mieli większych trudności z wyborem pomiędzy tymi dwiema opcjami.

Pani Booker zmieszala się.

- Pewnie pani wie, że moja gazeta miała poprzeć Bryan-ta. Mój wydawca nie będzie szczęśliwy, jeżeli zamieszczę sprostowanie - mruknęła.

Abby nie mogła sobie odmówić, by nie podzielić się z nią tym, czego się nauczyła tego ranka:

- Martwiąc się o pozory, możemy stracić to, co najważniejsze, pani redaktor Booker.

Gdy ciemność spowiła miasto, Abby i Colin wrócili z Nickiem do „Cliff Walk”. Ledwie wsiedli do ciężarówki, Colin otoczył ją ramieniem i Abby zaczęła zasypiać z głową na jego ramieniu.

Po jakimś czasie obudził ją nagły bezruch. Otworzyła oczy i spojrzała na Colina. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jego spokojną twarz, czekając, aż jej otumaniony mózg znów zacznie funkcjonować.

- Jesteśmy w domu - wyszeptał Colin, głaszcząc ją po głowie.

Uśmiechnęła się błogo. Czula, że jest naprawdę kochana.

Po raz pierwszy od dziewięciu lat miała pewność, że może **zaufać** mężczyźnie - temu mężczyźnie - i oddać mu swoje serce. Swoje ciało. Całą siebie.

- Wsiadamy - powiedział półgłosem Colin, jakby nie chciał, by czar przysł. - A Nick niech jedzie do Caro, zanim zaśnie.

Abby otrząsnęła się, ale Nick, który siedział z głową opartą o zagłówek, powiedział:

- Za późno. Nick już śpi i może tutaj przenocować. Colin zaśmiał się cicho i otworzył drzwi wozu. W szoferce zapaliło się światło. Nick jęknął, ale się wyprostował.

- Już jadę. Rano przywiozę wam Jessie.

Abby zeskoczyła na ziemię za Colinem, prosto w jego ramiona. Gdy ciężarówka odjechała sprzed „Cliff Walk”, Colin nachylił się i dotknął ustami jej warg. Przygarnawszy ją mocniej, pogłębił pocałunek, szczęśliwy, że nie stawiała mu oporu.

Kiedy się wcześniej całowali, Abby miała poczucie zagrożenia. Teraz jednak zaangażowała się całym sercem. Czuła, że Colin może ją zabrać do takich miejsc, o których dotąd nie śmiała marzyć.

Nareszcie przestała się obawiać takiej podróży.

- Tęskniłem dziś za tobą - wyszeptał, zanurzając palce w jej włosach.

Przeszedł ją prąd, budząc pragnienia, które tylko Colin mógł zaspokoić.

- Przecież widzieliśmy się kilka razy w ciągu dnia - odpowiedziała, próbując zebrać myśli. Jak to możliwe, że już sam dotyk jego ciała wystarczył, by przestawała myśleć o realnym świecie.

- Tak, ale tylko na odległość - zaprotestował. - Wtedy, podczas sztormu, przeżyliśmy horror, ale przynajmniej byliśmy razem. Czy to możliwe, że było to zaledwie wczoraj? Dlaczego czas tak pędzi?

- Tak, wczoraj, przed świtem - przytaknęła - ale mam wrażenie, jakby to było całe wieki temu. Od tamtej pory właściwie nie mieliśmy dla siebie czasu. Czy możemy to sobie wynagrodzić? - wyszeptała, a gdy przysunął ją bliżej, poczuła jego podniecenie.

- Ledwie stoisz na nogach - powiedział, prowadząc ją w stronę domu.

Uśmiechnęła się, bo przypomniawszy sobie te chwile, gdy po raz pierwszy, a zarazem ostatni, udało jej się przełamać jego rezerwę. Dużo wody upłynęło od tamtego czasu. Zdecydowanie za dużo.

W „Cliff Walk” wszędzie paliły się światła. Stary dom wręcz pękał w szwach. Wszystkie pokoje były zajęte przez starszych wiekiem powodzian. Abby nie przejmowała się tym, że widzą ją, jak idzie, trzymając Colina za rękę.

Co za wspaniałe poczucie wolności!

Jednak obecność tylu ludzi komplikowała nieco sprawy. Abby bardzo pragnęła być sama z Colinem, a to znaczyło, że będzie musiała przeszmurować go aż na drugie piętro.

Zostawiając zabłocone buty i skarpetki na werandzie, przecięli cichutko hol i zaczęli się wspinać po schodach.

Przed drzwiami apartamentu Colina i Jessie, naprzeciw wejścia do prywatnej klatki schodowej, prowadzącej do jej mieszkania, Abby wspięła się na palce i delikatnie ugryzła Colina w ucho.

Zatrzymał się, porwał ją w ramiona i przycisnął do drzwi.

- Ostatnim razem, kiedy coś takiego zrobiłaś, miałaś osiemnaście lat. A ja ostrzegałem cię wtedy, żebyś mnie nie prowokowała. Teraz - moja damo - jestem bardziej zdeprawowany i pragnę cię od tygodni... - Urwał, żeby ją pocałować -... tej nocy nie zamierzam się hamować!

Abby nawet nie próbowała ukryć uśmiechu. Jego pocałunek był obietnicą, która miała się dopełnić tej nocy.

-Jak dobrze, zbyt jestem zmęczona, żeby... żeby nad tym pracować. - Przycisnęła biodra do jego ciała. - I ciężko mi o tym mówić - szepnęła.

Colin jęknął i odpowiedział długim, namiętym pocałunkiem. Rozchylił językiem jej wargi, tuląc ją do siebie tak mocno, że zabrakło jej tchu. A może to jego bliskość odbierała jej siły i nie pozwalała oddychać?

Puścił ją i cofnął się, ciężko dysząc.

Spojrzała w jego płonące oczy i pojęła, że to ona rozpałała w nich ten ogień. Wiedziała też, że Colin ostatkiem sił stara się zapanować nad sobą.

Poczuła, że ma nad nim władzę, jak niegdyś, ale tym razem to on dał jej przyzwolenie na tę moc. Pragnął jej, kochał ją i oddał jej swoje serce.

Zrobiła krok w jego stronę, ale nagle podniósł rękę. W dłoni trzymał klucz do swojego pokoju.

- Mam iść do siebie czy idziemy do ciebie? Ty decydujesz, ale pamiętaj, że nie będzie już odwrotu.

Abby odwróciła się z uśmiechem i wsunęła klucz do zamka w drzwiach swojego apartamentu. Otworzywszy je, rzuciła przez ramię:

- Pójdź za mną, proszę.

- Zawsze i wszędzie - wyszeptał jej do ucha. - Nigdy więcej nie stracę cię z oczu.

Przebiegł ją dreszcz, tak mocno oładnęła nią jego obietnica. Jednej rzeczy zdążyła się nauczyć na pewno - tego właśnie, że Colin McCarthy zawsze dotrzymuje słowa.

## Rozdział 18

---

Colin porwał Abby na ręce i wniósł ją na górę po wąskich schodach.

Przed dziewięciu laty doprowadziła go do takiego stanu, że się kompletnie zapomniał, ale tej nocy nie pozwoli jej na to. Od tej chwili przejmie kontrolę nad swoimi zmysłami.

Przynajmniej tak długo, jak długo mu się uda.

Pokonał ostatni schodek i wszedł do saloniku. Pokój był emanacją dobrego gustu Abby. Dominowały w nim kolory ciemnego wina i starego złota, a miękka kanapa i fotel kusily swą wygodą i zapraszały, aby na nich spocząć. Pokój w wieży, po drugiej stronie, urządzony był w tych samych kolorach, a pośrodku królowało olbrzymie wiktoriańskie łoże z baldachimem i zasłonami z delikatnego tiulu. Ściany były pokryte jedwabną tapetą.

Przeszedł przez pokój, pchnął drzwi do łazienki i wniósł Abby do środka. Wewnątrz znajdowała się przestronna kabina prysznicowa i mosiężna wanna na lwich łapach oraz stara komoda przerobiona na umywalkę.

Postawił Abby przed prysznicem, sięgnął do środka i odkręcił wodę. A potem znów zaczął pieścić jej usta, spragniony pocałunków jak narkotyku.

Namacawszy dół jej bluzki, wsunął pod nią ręce, nie przerywając pocałunku. Dotyk jej gładkiej skóry i rozkoszne gardłowe pomruki potęgowały jego podniecenie.

Musiał przerwać na chwilę, oderwał usta od jej ust, by ją rozebrać z bluzki. Widok cudownych piersi pod cieniutkim staniczkiem nieomal powalił go na kolana. Wsunął ręce pod gumkę jej szortów i powiódł dłońmi po krągłych pośladkach. Miała na sobie skąpe majteczki, które już wkrótce będą jedyną przeszkodą na drodze do pełnego zaspokojenia.

Oderwał usta od ust Abby i zaczął błędzić wargami po jej szyi i dalej, aż do cudownych piersi. Pieścił ich stwardniałe sutki przez cieniutki staniczek, a ona wzdychała z rozkoszy.

Osunął się na kolana, zsuwając z niej szorty, a potem przesunął ręce wzdłuż jej długich nóg, obsypując pocałunkami gładkie jak jedwab uda i czarny trójkąt u ich szczytu. Gdy nogi się pod nią ugięły, zrozumiał, że nie może sobie pozwolić na nic więcej, dopóki nie znajdą się w tym jej dekadencckim łożu.

Spojrzał w górę i zobaczył ku swemu przerażeniu, że łzy spływają jej po policzkach. Wstał i otoczył dłońmi jej twarz.

- Abby, kochanie. Co... Położyła mu palec na ustach.

- Kocham cię, Colin - powiedziała łamiącym się głosem. - Chcę, byś wiedział, co czuję. Już się tego nie boję. Uwielbiam, kiedy mnie dotykasz. Teraz już wiem, że tak ma być. Mogę ci zaufać - a ty mnie.

Colin scałował jej łzy, a potem zrzucił koszulę, rozpiął pasek, lecz zanim zdjął spodnie, wyjął z kieszeni portfel i położył go na brzegu umywalki.

- Chcesz mi pomóc? - zapytał, widząc drobną zmarszczkę między jej czarnymi brwiami.

-Mhmm... tak. - Zawahała się, ale zebrała się na odwagę i podeszła do niego. Gdy się do niego przytuliła, nie potrafił stłumić westchnienia. Jej

rozpalone ciało niemal parzyło jego skapo okrytą męskość. Delikatnymi dłońmi zaczęła pieścić jego tors, wsunęła ręce do slipów i zaczęła go głaskać po pośladkach. Myślał, że będzie w stanie przyjąć wszystko, co chciała mu zaoferować, lecz gdy dotknęła ustami jego sutka i zaczęła go delikatnie pieścić zębami, musiał się poddać.

Rozpiął jej biustonosz, a potem błyskawicznie zdarł majtki i sam też zrzucił slipy. Spojrzeli na siebie zachwyceni i zażenowani.

- Marnujemy wodę - powiedział schrypniętym głosem. W odpowiedzi posłała mu zalotny uśmiech.

- Wydaje mi się, że marnujemy czas. Potrząsnął głową.

- O nie, nie. - Wszedł pod prysznic, pociągając ją za sobą. Odwrócił ją plecami do siebie, żeby jej umyć włosy, a także by uniknąć pokusy.

Popęłnił jednak ten błąd, że zerknął w dół na jej pośladki, oddalone zaledwie o kilka centymetrów od jego pobudzonej męskości.

Otrząsnął się, chwycił mydło i długą szczotkę i szybko się umył. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Abby patrzy na niego.

- Byłeś szybki jak błyskawica. Widzę, że nie chcesz marnować ani czasu ani wody - powiedziała to z lekkim wyrzutem w głosie.

Wtedy zrozumiał, co się stało. Przestała się już bać. Czy mógł sobie wymarzyć piękniejszą chwilę?

Namydliwszy ręce, zaczął myć Abby - jej zgrabne ramiona, proste plecy, biodra i piersi. Potem ukląkł, by namydlić jej nogi i trójkąt, strzegący tajemnicy, którą zamierzał odkryć ponownie tej nocy.

Gdy dotknął źródła jej kobiecości, Abby krzyknęła, wystawiając na próbę jego wytrzymałość - teraz już po raz ostatni. Wstał, chwycił prysznic



i opłukał ich oboje. Chciał sięgnąć po ręcznik, lecz Abby objęła go za szyję i zaczęła na powrót całować.

- Colin, nie mogę już dłużej czekać! Pragnę cię Wytarł ją, pomimo jej protestów, i zaniósł do łóżka. Mało brakowało, a sam byłby się położył obok, ale musiał zrobić jeszcze jedną rzecz. Nie zamierzał ryzykować, że znów ją utraci. Tym razem nie będzie żadnych niedomówień.

Abby próbowała pociągnąć go za sobą, lecz on tylko potrząsnął głową. Przedłużał chwilę, kiedy będzie ją miał tylko dla siebie, chciał zaznać z nią rozkoszy i ona czuła to, widziała jego podniecenie, lecz mimo to, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Och, jeszcze nie skończyłem.

Nawet jej się to spodobało. Otworzyła ramiona, a on ujął ją za ręce.

-Nie mogę tego pominąć. - Głos miał schrypnięty z podniecenia, jego pociemniałe oczy spoglądały na nią z powagą.

Co jest aż takie ważne? - spytała. I wtedy powiedział:

- Kocham cię, Abby. Chcę spędzić z tobą życie, a nie tylko tę jedną noc. Chcę mieć z tobą dzieci i chcę je wychowywać w „Torthuil”.

Remontowałem ten dom z myślą o tobie, kochanie. Miałem nadzieję, że będziesz chciała tego samego. Och, Abby, powiedz mi, że tego pragniesz.

Abby ze wzruszenia łzy stanęły w oczach. Już dawno chciała mu powiedzieć, że było to jej marzeniem, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Nie miało to już większego znaczenia, bo Colin odwrócił się i sięgnął po portfel. Myślała, że chodzi mu o zabezpieczenie, ale kiedy otworzył rękę, zobaczyła prześliczny pierścionek z brylantem. Wyglądał na antyk, ale Abby wiedziała, kto go wykonał. Scott Timmons. Zachwyciła się tym pierścionkiem, kiedy pokazał jej wstępny projekt.

- Myślałam, że Scott będzie musiał zamknąć na dłużej swój sklep. Colin uśmiechnął się.

- Zawarliśmy umowę wiążaną. Ja umacniam mu fundamenty, a on zrobił mi ten pierścionek. Powiedział, że to rzecz jedyna w swoim rodzaju. Jak kobieta, której chcę go ofiarować. Jest tylko jeden mały szkopuł. Jutro dowie się o tym całe miasto. - Pocałował ją w rękę. - Jak ja będę wyglądał, jeżeli mi odmówisz? - Ucałował wewnątrz jej dłoni. - Wróciłem tutaj, by zrealizować swoje marzenie o budowie „Torthuil Garden”. Osiedla nie będzie, ale to już nieważne. Mam nowe marzenie. Ty nim jesteś. Zechcesz mnie?

- Och, Colin, to zaszczyt być twoją żoną. - Usiadła, żeby go pocałować. - Jestem z ciebie taka dumna. Byłeś dziś cudowny, pomogłeś tylu ludziom. Jest mi przykro z powodu tego osiedla, ale jestem pewna, że wybudujesz coś równie pięknego w innym miejscu... A jeżeli komuś się to nie podoba. Może... może się utopić w tej cholernej rzece.

Colin roześmiał się, uniósł jej dłoń i wsunął pierścionek na serdeczny palec. A potem... pociągnął ją gwałtownie na łóżko, poczuła, jak ugięły się pod nimi sprężyny materaca, i nagle jego muskularny tors przygniótł jej piersi. Znowu roztoczył nad nią swój czar, pieszcząc i całując każdy centymetr jej ciała.

Nie wymagał już, by Abby go pieściła i dotykała, bo jego podniecenie narastało coraz szybciej, a ona wlatywała wyżej i wyżej.

A gdy wreszcie zaczęła go błagać, by przerwał tę słodką torturę, ułożył się pomiędzy jej udami i wszedł w nią. Zrobił to delikatnie, choć stanowczo. Trzymał ją w ramionach, patrzył w jej półprzymknięte,

szmaragdowe oczy i powtarzał, jak bardzo ją kocha. Tak, jak jej to obiecywał.

RS

## Epilog

---

Colin trzymał aparat fotograficzny w ręku i ustawił się za Abby, żeby zrobić kilka zdjęć. Jakże była piękna, gdy tak stała na misternie kutym balkonie w koronkowej sukni ślubnej i z perłowym diademem w czarnych włosach. Przez cały dzień, ilekroć na nią spojrzeł, zapierało mu dech.

- Widziałeś coś równie pięknego jak nasz ślub? - zapytała.

Pstryknął jeszcze jedno zdjęcie i położył aparat na ławce w nogach łóżka. A potem wyszedł na balkon i objawszy Abby, popatrzył na rzekę. - Wszystko to zbladło przy panie młodej.

Podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się.

- Pod względem komplementów nie masz sobie równych, przystojniaku - powiedziała, ściskając go za rękę. - Ale mówiąc poważnie, ogród Tracy jest po prostu idealny. To był genialny pomysł, żeby wydzierzawić farmę miastu i zamienić ją w publiczny ogród. Tracy byłaby zachwycona.

- Myślę, że masz rację - szepnął jej do ucha, po czym wycisnął pocałunek na jej nagim ramieniu, pachnącym słodko miętą i lawendą.

- Nie cieszysz się, że poczekaliśmy, żeby tam wziąć ślub? Ja miałam wrażenie, jakby Tracy była wśród nas. Pomyśl też, ilu mieszkańców Hopetown przyszło na tę ceremonię. Jak to miło z ich strony.

- Chcieli wiwatować na cześć nowego burmistrza.

- Przyszli też ze względu na ciebie. Przecież to był twój pomysł, żeby pogłębić koryto rzeki. Myślę, że to uratuje nasze miasto. Złożyłam

już podanie o fundusze na ten cel. Nie zostałabym burmistrzem na tyle wcześniej, żeby zdążyć z formalnościami, gdybyś nie kazał aresztować Harleya i jego szwagrów za przekrety przy budowie tych ohydnych domów.

- Ejże! - Zaprotestował, gryząc ją w ucho.

- No, niech ci będzie. Kiedyś były ohydne. Jak to możliwe, że zapomnieliśmy wszyscy o inspektorze budowlanym, którym był drugi szwagier Harleya.

- Przynajmniej wszyscy trafili do więzienia. Uwielbiam dobre finały.

- A skoro już mowa o dobrym zakończeniu, nie powiedziałaś mi, co poczułaś po oświadczeniu twojej mamy, kiedy złapała twój ślubny bukiet. Abby odwróciła się w jego ramionach i przyjrzała mu się uważnie.

- Jestem przeszczęśliwa. Mama wreszcie obiecała Willowi, że wyjdzie za niego. Nasze dzieci będą miały dziadka!

Colin musnął wargami jej szyję i zaczął rozpinać długi rząd guziczków na jej plecach. Kiedy suknia była już całkiem rozpięta, oprócz ostatniego guziczka, chwycił ją na rękę, a potem przeniósł i postawił przy łóżku.

- Skoro już mowa o obietnicach - wyszeptał jej do ust, przewlekając perłowy guziczek przez pętelkę. - Obiecałem coś Jessie. Ona chce jak najszybciej mieć braciszka albo siostrzyczkę.

Abby uśmiechnęła się, a jej oczy zaślnęły szmaragdowym blaskiem. Zanurzyła palce w jego włosy i jej suknia opadła na podłogę, tworząc atlasowo-koronkowy krąg wokół stóp.

- Ach, skoro chodzi o Jessie, bierzmy się do dzieła. Colin cofnął się i popatrzył z zachwytem na swoją śliczną żonę.

- No tak - powiedział z tkliwym uśmiechem. - Wszystko dla małej,  
ślicznej Jessie.

RS